

Alistair MacLean

Przełęcz złamanego serca.

OSOBY

John Deakin rewolwerowiec

Pułkownik Claremont oficer kawalerii

Pułkownik Fairchild komendant Fortu Humboldta

Gubernator Fairchild gubernator stanu Nevada

Marika Fairchild bratanica gubernatora

i córka pułkownika

Major O'Brien adiutant gubernatora

Nathan Pearce szeryf

Sepp Calhoun osławiony bandyta

Biała Ręka wódz Pajutów

Garrity hazardzista

Wielebny Theodore Peabody . . przyszły kapelan Virginia Cit

Doktor Molyneux lekarz wojskowy

Chris Banlon maszynista

Carlos kucharz

Henry kelner

Bellew sierżant

Devlin hamulcowy

Rafferty żołnierz

Ferguson, Carter, Simpson telegrafiści wojskowi

Benson, Carmody, Harris bandyci mniejszego kalibru

Kapitan Oakland,

Porucznik Newell występują biernie, choć nie

bez znaczenia dla akcji

OSOBY

John Deakin Pułkownik Claremont Pułkownik Fairchild

Gubernator Fairchild Marika Fairchild

Major O'Brien Nathan Pearce Sepp Calhoun Biała

Ręka Garrity Wielebny Theodore Peabody Doktor

Molyneux Chris Banlon Carlos Henry.....

Bellew Devlin Rafferty Ferguson,

Carter, Simpson Benson, Carmody, Harris Kapitan Oakland,

porucznik Newell

rewolwerowiec oficer kawalerii

komendant Fortu Humboldta gubernator stanu Nevada bratanica gubernatora

i córka pułkownika adiutant gubernatora szeryf

osławiony bandyta wódz Pajutów hazardzista przyszły kapelan Virginia City . lekarz wojskowy

maszynista kucharz kelner sierżant hamulcowy żołnierz telegrafiści wojskowi bandyci mniejszego kalibru

występują biernie, choć nie bez znaczenia dla akcji

osadzenie akcji niniejszej książki w roku 1893 podyktowały następujące wydarzenia:

gorączka złota w Kalifornii 1855-75

odkrycie pokładów złota w Comstock 1859

buunty Indian w Nevadzie 1860-80

proklamowanie stanu Nevada 1864

zakończenie budowy kolei Union Pacific 1869

odkrycie wielkiej żyły złota w kopalni Bonanza 1873

epidemia cholery w Górach Skalistych 1873

skonstruowanie pierwszego karabinu powtarzalnego

typu „Winchester” 1873

- założenie Uniwersytetu Stanu Nevada (w Elko) 1873

Katastrofalny pożar w Lake's Crossing

od 1879 roku zwanym Reno) 1873

notabene: Wysyłanie wojska do zwalczania epidemii cholery jest tylko ~.-a z pozoru dziwne - w Nevadzie służbę zdrowia zorganizowano dopiero w roku 1893.

Rozdział pierwszy

Bar hotelu w Reese City, górnolotnie nazwanego „Imperial”, zionął atmosferą porażki i rozkładu, bezbrzeżną tęsknotą za świetnością dni minionych, dni, które odeszły na zawsze. Z popękanych i brudnych ścian, tu i ówdzie otynkowanych, spoglądały wyblakłe podobizny osobników z sumiastymi wąsami, nieodparcie kojarzące się z szajką bandytów. Brak napisu „Poszukiwany” pod wizerunkami zakrawał na ironię. Obłupane deski, które udawały podłogę, były niemiłosiernie wypaczone, ich barwa zaś pozwalała przypuszczać, że ściany odmalowano względnie niedawno. Liczne spluwaczki, w które nikt jakoś nie trafiał, dawały się zauważyć gołym okiem, czego nie można powiedzieć o choćby najmniejszym nie zaśmieconym kawałku podłogi - pod nogami walały się setki niedopałków, a wypalone ślady na deskach świadczyły niezbicie, że palacze nie zawracali sobie głowy gaszeniem cygar. Klosze lamp naftowych, podobnie jak sufit, były czarne od sadzy, a wiszące nad szynkwasem długie lustro upstrzone przez muchy. Strudzonemu podróżnikowi, szukającemu schronienia bar oferował jedynie całkowity brak higieny, nastrój krańcowej dekadencji i obezwładniające poczucie przygnębienia i rozpacz.

Nie inaczej prezentowała się klientela lokalu, doskonale pasująca do ogólnej atmosfery. Przeważali nieprzyzwoicie wiekowi, apatyczni bywalcy, obdarci i nie ogoleni. Wszyscy jak jeden mąż kontemplowali niewesołą i beznadziejną przyszłość przez dno szklanek z whisky. Samotny barman - krótkowzroczny jegomość w sięgającym po pachy fartuchu, który, przewidując kłopoty z pralnią, przezornie ufarbował na czarno w zamierzchłej przeszłości - wyraźnie podzielał podły nastrój. Trzymał w ręku pamiętajką lepsze czasy ścierkę, na której od biedy można by się doszukać śladów bieli, i z ponurą miną usiłował doprowadzić do połysku straszliwie popękaną i wyszczerbioną szklanę.

Porwał się z motyką na słońce. Jego ślamazarne ruchy przywodziły na myśl wskrzeszonego nieboszczyka, który zapadł na artretyzm. Hotel „Imperial” i współczesne mu hulaszcze, gościnne i przytulne zajazdy wiktoriańskiej Anglii, znane z kart powieści Dickensa, dzieliła nieprzebyta przepaść.

W całym barze istniała tylko jedna oaza życia towarzyskiego. Wokół stołu przy samych drzwiach rozsiadło się sześć osób. Trzy z nich zajmowały biegnącą wzdłuż ściany ławę z wysokim oparciem. Siedzący pośrodku mężczyzna niewątpliwie grał pierwsze skrzypce przy stole. Wysoki i szczupły, nosił mundur pułkownika kawalerii Stanów Zjednoczonych. Ogorzała twarz i „kurze łapki” pod oczami zdradzały człowieka, który dużo przebywa na słońcu. Miał około pięćdziesięciu lat, orli nos, inteligentną twarz i bujne, zaczesane do tyłu włosy, a ponadto - rzecz na owe czasy niezwykła - był gładko ogolony. Właśnie patrzył z niechęcią na mężczyznę stojącego po drugiej stronie stołu.

Człowiek ten, olbrzymi ponurak ubrany od stóp do głów na czarno, nosił czarny, cienki jak kreska wąsik, a na piersi miał błyszczącą odznakę szeryfa.

- Ależ pułkownika Claremont! - protestował. - W tych okolicznościach...

- Przepisy są przepisami - przerwał mu Claremont uprzejmie, acz ostrym i ciętym tonem, który znakomicie pasował do jego powierzchowności. - Sprawy wojskowe leżą w gestii wojska, a w gestii cywilów - cywilne. Żałuję, szeryfie...

- Pearce. Nathan Pearce.

- A tak, oczywiście. Przepraszam, powinienem wiedzieć, jak pan się nazywa. - Claremont potrząsnął głową ze skruchą, lecz w jego głosie nie było śladu skruchy, kiedy mówił dalej: - Nasz pociąg wiezie wojsko. Cywile nie mogą nim podróżować... chyba że mają specjalne zezwolenie z Waszyngtonu.

- Czyż nie pracujemy wszyscy dla rządu federalnego? - zapytał Pearce łagodnie.

- W świetle przepisów wojskowych, nie.

- Rozumiem - bąknął szeryf, choć najwyraźniej nic nie rozumiał. Powoli, z namysłem, zlustrował pozostałą piątkę przy stole, w tym jedną kobietę. Nikt z nich nie nosił munduru. Zatrzymał wzrok na małym, chudym człowieczku w surducie i koloratce, którego wysokie czoło ścigało szybko ustępujące pola włosy. Duchowny, o wiecznie wylęknionej twarzy, wiercił się teraz niespokojnie pod badawczym spojrzeniem szeryfa, a jego wydatne jabłko Adama poruszało się w górę i w dół, jak gdyby bez przerwy przełykał ślinę.

- Wielebny Theodore Peabody ma zarówno specjalne zezwolenie, jak i kwalifikacje - wyjaśnił sucho Claremont. Było jasne, że szacunek pułkownika dla pastora ma swoje granice. - Jego krewny jest osobistym sekretarzem prezydenta. Wielebny Peabody będzie kapelanem w Virginia City.

- Kim?! - Pearce z niedowierzaniem przeniósł wzrok z pastora na Claremonta. - Chyba zwariował! Dłużej by się uchwalał wśród Pajutów. Peabody zwilżył językiem wargi, a jego grdyka znów zaczęła podskakiwać.

- Ale... ale podobno Pajuci natychmiast zabijają każdego białego, który im wpadnie w ręce - wyjąkał.

- Nie tak natychmiast. Zwykle robią to powolutku - pocieszył go szeryf i spojrzał na zwalistego, pękatego mężczyznę, który siedział obok pastora. Nosił on garnitur w krzykliwą kratę, miał wydatne, odpowiadające jego budowie szczęki i uśmiechał się wylewnie.

- Doktor Edward Molyneux, szeryfie, do usług - przedstawił się tubalnym głosem.

- Domyślam się, że pan też jedzie do Virginia City. Czeka tam pana sporo roboty... głównie wystawianie aktów zgonu. Szkoda tylko, że rzadko kiedy powodem zejścia będą przyczyny naturalne.

- Nie dla mnie te jaskinie grzechu - odparł Molyneux pogodnie. - Ma pan przed sobą nowo mianowanego lekarza Fortu Humboldta. Tyle że nie znaleźli jeszcze dla mnie munduru.

Pearce skinął głową, odmówił sobie paru nasuwających się komentarzy i znowu przesunął wzrok.

- Oszczędzę panu zachodu z przesłuchiowaniem wszystkich po kolei - odezwał się Claremont z lekką poirytowanym głosem. - Ale nie dlatego, że ma pan prawo wiedzieć. Ot, tak ze zwykłej uprzejmości. - Nie sposób ocenić, czy ta nagana była zamierzona i czy odniosła skutek.

Pułkownik wskazał na swego sąsiada po prawej ręce - mężczyznę o patriarchalnym wyglądzie

i falujących siwych włosach. Nosił on wąsy i brodę. Mógłby ni stąd, ni zowąd wejść do gmachu senatu Stanów Zjednoczonych i zająć miejsce na sali obrad, a nikt by nawet nie mrugnął. Gdyby nie broda, byłby uderzająco podobny do Marka Twaina.

- Zna pan zapewne gubernatora Nevady, pana Fairchilda - rzekł Claremont.

Pearce skłonił głowę i z niejakim zainteresowaniem spojrział na młodą, dwudziestokilkuletnią kobietę siedzącą po lewej ręce pułkownika. Miała bladą cerę i niezwykle czarne, zamglone oczy. Jej mocno ściągnięte włosy, prawie niewidoczne spod pilśniowego kapelusza o szerokim rondzie, były również czarne. Siedziała skulona, owinięta szczelnie w szary płaszcz o tym samym odcieniu co kapelusz - właściciel hotelu „Imperial” uważał, że jego dochody nie pozwalają na taką rozrzutność, jak zakup drewna na opał.

- Panna Marika Fairchild, bratanica gubernatora.

- Ach tak? - Pearce oderwał wzrok od dziewczyny i spojrział na pułkownika. - Pewnie nowy kwatermistrz? - zadrwił.

Panna Fairchild jedzie do ojca, komendanta Fortu Humboldta - wyjaśnił Claremont zwięźle. - Starsi rangą oficerowie mają ten przywilej. - Skinął ręką w lewo. - A to adiutant gubernatora i oficer łącznikowy, major Bernard O'Brien. Major...

Przerwał w pół zdania i popatrzył z zaciekawieniem na Pearce'a, który przyglądał się O'Brienowi - tęgiemu mężczyźnie o pulchnej, opalanej i wesołej twarzy.

O'Brien również przyglądał się Pearce'owi z rosnącym zainteresowaniem. Wreszcie, poznając go, zerwał się na równe nogi. Uśmiechnięci od ucha do ucha, obaj skoczyli ku sobie z wyciągniętymi rękami. Ściskali się i klepali po plecach jak bracia, którzy odnaleźli się po latach rozłąki. Stali bywalcy hotelu „Imperial” obserwowali ich ze zdumieniem - nawet najstarszy z nich nie pamiętał, by szeryf Nathan Pearce kiedykolwiek okazał choćby cień wzruszenia.

- Sierżant Pearce! - wykrzyknął O'Brien rozpromieniony. - Jak mogłem nie skojarzyć od razu?! Nathan Pearce we własnej osobie! W życiu bym cię nie poznał. Człowieku, pod Chattanooga miałeś brodę...

- Prawie tak długą jak ty, poruczniku.

- Majorze - poprawił go O'Brien z udaną powagą i dodał ze smutkiem: - Awans nierychliwy, ale sprawiedliwy. A niech mnie... Nathan Pearce! Najlepszy zwiadowca w całej armii, największy pogromca Indian, najszybszy rewolwer...

- Z wyjątkiem ciebie, majorze - wtrącił sucho szeryf. - Pamiętasz, jak... - i zapominając o reszcie towarzystwa, dziarskim krokiem ruszyli objęci do szynkwasu.

Tandetny przepych tego koszmarka projektanckiego był tak niebywały, że właściwie zasługiwał na podziw. Szynkwasy tworzyły trzy ogromne - i ogromnie ciężkie - podkłady kolejowe, osadzone bez żadnego zabezpieczenia na dwóch kozłach, na oko niezdolnych udźwignąć nawet drobnej części ciężaru, jakim je obarczono. Niegdyś klasyczną prostotę tego projektu ukrywało zielone linoleum na wierzchu i wiszące z trzech stron aksamitne zasłony, sięgające podłogi. Ale czas nieubłaganie rozprawił się zarówno z linoleum, jak z aksamitem i obecnie każdy mógł podziwiać tajemnicę zamysłu projektanta.

Pearce nie zląkł się wątlej konstrukcji szynkwasu. Bez wahania oparł na nim łokcie i dał stosowny znak czyszcicielowi szklanek. Dwaj znajomi pograżyli się w cichej rozmowie.

Przy stole koło drzwi nikt nie zabierał głosu. Po chwili Marika Fairchild przerwała milczenie.

- Co miał na myśli szeryf mówiąc „z wyjątkiem ciebie”? - zapytała ze zdziwieniem. - Rozmawiali o tropieniu, walce z Indianami, o strzelaniu, a przecież major potrafi tylko wypełniać formularze, śpiewać irlandzkie piosenki, opowiadać te swoje okropne anegdoty i... i...

- I zabijać sprawniej niż ktokolwiek ze znanych mi ludzi, prawda, gubernatorze?

- Prawda. - Gubernator oparł dłoń na ramieniu bratanicy. - Moja droga, podczas wojny secesyjnej O'Brien należał do tych oficerów Unii, którzy otrzymali najwyższe odznaczenia. Trzeba na własne oczy zobaczyć, jak radzi sobie ze strzelbą czy rewolwerem, żeby w to uwierzyć. Major O'Brien jest moim adiutantem, to prawda, ale adiutantem bardzo szczególny. W tych górskich stanach polityka - a w końcu jestem politykiem - przybiera czasami postać, jak by to powiedzieć... przemocy fizycznej. Dopóki jednak mam go przy sobie, mogę spać spokojnie.

- Ktoś mógłby cię skrzywdzić? Chcesz powiedzieć, że masz wrogów? - Wrogów! - Gubernator nieomal parsknął. - Znajdź mi gubernatora na zachód od Missisipi, który twierdzi, że ich nie ma, a pokażę ci wierutnego kłamcę.

Marika spojrzała na niego niepewnie i z niedowierzaniem przeniosła wzrok na szerokie bary

stojącego przy szynkwasiu O'Briena. Chciała coś powiedzieć, lecz rozmyśliła się, bo major i szeryf odwrócili się i ze szklankami w rękach ruszyli do stołu. Rozmawiali teraz z ożywieniem. O'Brien starał się uspokoić rozdrażnionego przyjaciela.

-- Do diabła, O'Brien - mówił szeryf - wiesz przecież, co to za jeden, ten Sepp Calhoun. Morderca, który rabował dylżanse i pociągi, podżegał do wojen, sprzedawał Indianom broń i alkohol...

- Wszyscy wiemy, co to za jeden - przerwał mu major pojednawczo. - Nikt bardziej od niego nie zasłużył sobie na stryczek. I będzie wisiał.

- Tyle że najpierw musi wpaść w ręce jakiegoś przedstawiciela prawa. Tutaj ja reprezentuję prawo, a nie ty i to twoje wojsko. Calhoun siedzi teraz w areszcie Fortu Humboldta. Ja tylko chcę go tu sprowadzić, nic więcej. Pojadę tam waszym pociągiem, a wrócę jakimś innym.

- Słyszałeś, Nathan, co powiedział pułkownik. - Zakłopotany i skępowany O'Brien zwrócił się do Claremonta: - Jak pan sądzi, czy moglibyśmy odesłać tego przestępcę do Reese City pod eskortą?

- Da się załatwić - odparł Claremont bez wahania. Pearce zmierzył go wzrokiem.

- Czy mi się zdawało, czy sam pan twierdził, że ta sprawa nie leży w gestii wojska? - wycedził zimno.

- Bo i nie leży. Robię panu tylko grzeczność. Wóz albo przewóz, szeryfie. - Oficer wyciągnął z kieszeni zegarek i spojrzał na niego z irytacją. - Nakarmiono już i napojono te przeklęte konie? Boże jedyny, dzisiejsze wojsko! Nikt nic nie robi, jeśli samemu wszystkiego się nie dopilnuje. - Wstał. - Wybacz pan, gubernatorze, ale za pół godziny musimy ruszać. Zaraz wracam.

- No proszę, rozkazuje mi, jakbym był na jego żołdzie, choć póki co to społeczeństwo na mnie płaci - zauważył Pearce po wyjściu Claremonta. - Pół godziny? - Ujął O'Briena pod ramię i poprowadził go do szynkwasiu. - Trochę to mało, żeby nadrobić te dziesięć lat.

- Chwileczkę, panowie - zatrzymał ich gubernator Fairchild. Sięgnął do teczki i wyciągnął zalakowaną kopertę. - Chyba o czymś zapomnieliśmy, majorze?

- Wie pan, jak to jest, gdy dwaj towarzysze broni spotkają się po latach - usprawiedliwił się jego adiutant, wziął kopertę i podał ją Pearce'owi. - Szeryf z Ogden prosił, żeby ci to przekazać.

Pearce podziękował skinieniem głowy i ruszył z majorem do szynkwasiu. Po drodze O'Brien rozejrzał się od niechcienia. Jego uśmiechnięte irlandzkie oczy niczego nie pominęły. W ciągu ostatnich pięciu minut nie zaszła tam najmniejsza zmiana, nikt nawet nie drgnął. Zdawało się, że starcy przy ladzie i stołach zastygli na wieki niczym postacie z gabinetu figur woskowych. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do baru weszło pięciu mężczyzn. Bez słowa zajęli stół w głębi sali. Jeden z nich wyciągnął talię kart.

- Ruchliwe tu macie towarzystwo, nie powiem - zauważył O'Brien. - Całe ruchliwe towarzystwo, w tym także ci, których trzeba było podsadzić na konie, wyjechało kilka miesięcy temu, kiedy w Comstock odkryto żyłę złota. Zostali sami starcy, choć Bóg świadkiem, że i tych jest niewielu; w tych stronach mało komu udaje się dożyć starości.

Włóczędzy, pijacy, niedołęgi, nicponie. Ale nie narzekam. Reese City potrzebuje szeryfa do utrzymywania spokoju mniej więcej tak, jak tutejszy cmentarz. - Pearce westchnął i uniósł dwa palce na znak, że zamawia następną kolejkę. Wyciągnął nóż, rozciął nim kopertę, którą dostał od majora, i wydobyl plik listów gończych z kiepskimi podobiznami. Rozprostował je na porysowanym linoleum przykrywającym szynkwias.

- Nie widać po tobie zachwyty - stwierdził O'Brien.

- Dziwisz się? Większość z nich zwała do Meksyku dobre pół roku przed rozesłaniem tych listów. Zresztą najczęściej dają nam zdjęcia i nie takie jak trzeba, i nie tych co trzeba.

Stacja w Reese City przedstawiała taki sam obraz nędzy i rozpacz, jak bar hotelu „Imperial”. Upalne lata i mroźne górskie zimy dały się we znaki skleconym z desek ścianom i choć budynek nie miał jeszcze czterech lat wyglądał, jak gdyby w każdej chwili miał się rozlecieć. Złota farba na tablicy z nazwą miasteczka złuszczyła się i wyblakła tak dalece, że napis był w zasadzie nieczytelny.

Pułkownik Claremont odsunął skrawek płótna zastępujący drzwi, które już dawno rozstały się z przerdzewiałymi zawiasami, i zawołał, lecz jego wołanie pozostało bez odpowiedzi. Gdyby lepiej znał zwyczaje panujące w Reese City, nie zdziwiłoby go to ani trochę. Wiedziałyby, że zawiadowca stacji, jedyny pracownik kolei Union Pacific w miasteczku, o ile akurat nie je, nie śpi lub nie odprawia sporadycznie kursujących pociągów - o przybyciu których uprzedzali go w porę życzliwi telegrafisci z sąsiednich stacji - przesiaduje stale w hotelu „Imperial”, gdzie trąbi whisky w takich ilościach, jak gdyby go nic nie kosztowała, co zresztą było zgodne z prawdą. Łączyła go bowiem z właścicielem hotelu milcząca przyjacielska umowa, polegająca na tym, że chociaż wszystkie dostawy trunków dla hotelu wysyłano koleją z Ogden, właściciel nie otrzymał rachunku za przewóz od blisko trzech lat.

Claremont z gniewną miną odsunął zasłonę, wyszedł przed budynek i przebiegł wzrokiem cały skład pociągu. Za lokomotywą z wysokim kominem i tendrem, na który załadowano porąbane drewno, stało siedem wagonów pasażerskich, a na końcu hamulcowy. Wagony czwarty i piąty nie były jednak przeznaczone dla ludzi, o czym dobitnie świadczyły łączące je z peronem dwa solidnie podparte pomosty. U stóp pierwszego z nich krzepki, ciemnowłosy mężczyzna w koszuli i ze wspaniałym wąsem pracowicie odfajkowywał kolejne pozycje zespisu, który trzymał w ręku.

Claremont szybko ruszył ku niemu. Uważał Bellewa za najlepszego sierżanta w całej kawalerii Stanów Zjednoczonych, Bellew natomiast był zdania, że Claremont jest najwspanialszym dowódcą, pod jakim służył. Obaj starannie ukrywali, co myślą o sobie nawzajem.

Pułkownik skinął sierżantowi głową, wszedł na pierwszy pomost i zajrzał do wagonu. Blisko

cztery piąte powierzchni zajmowały w nim boksy dla koni, a reszta wolnego miejsca przeznaczona była na paszę i wodę. Wszystkie boksy były puste. Claremont zszedł na peron.

- No i gdzie podzialiście konie, Bellew? I żołnierzy? Szukaj wiatru w polu, co?

Sierżant z niezmaconym spokojem zapinał kurtkę munduru.

- Konie nakarmione i napojone, pułkowniku. Ludzie wzięli je właśnie pod siodło. Po dwóch dniach w wagonie należy im się trochę ruchu. - Mnie też, ale ja nie mam na to czasu. No dobrze, konie to

wprowadźcie wasza sprawa, ale kaźcie już wprowadzić naszych czworonożnych przyjaciół do wagonów. Odjeżdżamy za pół godziny. Starczy prowiantu i wody dla zwierząt do samego fortu?

- Tak, pułkowniku. - Dla ludzi też?

- Też, pułkowniku.

- A drewna do wszystkich pieców? Także do tych w wagonach z końmi? W górach będzie piekielnie zimno.

- Pod dostatkiem, pułkowniku.

- Lepiej, żeby to była prawda... i dla was, i dla nas wszystkich. A gdzie jest kapitan Oakland? I porucznik Newell?

- Byli tu, kiedy zabierałem konie i ludzi do stajni. Widziałem, jak szli w stronę lokomotywy, jakby się wybierali do miasta. Nie ma ich tam? - A skąd mam wiedzieć, u licha? Gdybym wiedział, to bym was nie pytał! - Irytacja Claremonta wskazywała, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu. - Wyślijcie patrol, żeby ich odszukał. Niech się do mnie zgłoszą w hotelu „Imperial”. Imperial... a to dobre!

Odwrócił się i skierował do lokomotywy. Bellew wydał od dawna powstrzymywane, ciche, lecz wyraźne westchnienie ulgi. Pułkownik wszedł po żelaznych schodkach do kabiny. Chris Banlon, maszynista, był niski i chudy jak szczapa. Miał niewiarygodnie pomarszczoną, spaloną na ciemny brąz twarz, która stanowiła ze wszech miar niestosowne tło dla jego chabrowych oczu. Manipulował właśnie ciężkim kluczem francuskim. Widząc Claremonta, dokręcił sworzeń, przy którym majstrował, odłożył klucz do skrzynki z narzędziami i uśmiechnął się.

- Dzień dobry, pułkowniku. Jestem zaszczycony. - Jakież kłopoty?

- Nie, zwykły przegląd, tak na wszelki wypadek. - Kocioł pod parą?

Banlon otworzył drzwiczki paleniska. Claremont cofnął się mimowolnie, gdy buchnął na niego żar z

rozpalonego do czerwoności pieca. Maszynista zamknął drzwiczki.

- Możemy ruszać w każdej chwili, pułkowniku.

Claremont zerknął przez ramię na tender, gdzie piętrzyły się starannie ułożone szczapy.

- Opał? - zapytał.

- Wystarczy do najbliższej stacji. A nawet zostanie. - Banlon spojrział na tender z dumą. - Załadowaliśmy z Henrym ile się dało. Robota pali mu się w rękach.

- Z Henrym? Kelnerem? - Twarz pułkownika ani drgnęła, lecz w jego głosie zabrzmiała nuta gniewu. - A co z tym waszym pomocnikiem... Jacksonem czy jak mu tam? Palaczem?

- Ech, ten mój długi ozór - rzekł Banlon ze smutkiem. - Nigdy się nie nauczę trzymać języka za zębami. Henry sam zaproponował pomoc. A Jackson pomógł nam, no... później.

- Co znaczy później?

- No, jak już wrócił z miasta z piwem. - Wyjątkowo niebieskie oczy z niepokojem zerkały na pułkownika. - Chyba się pan nie gniewa? - Jesteście pracownikami kolei, a nie żołnierzami - odparł krótko Claremont. - Nie obchodzi mnie, co robicie... byle byście się nie popili tak, że zlecimy z mostu w tych piekielnych górach. - Ruszył do schodków, lecz nagle odwrócił się do maszynisty. - Nie widzieliście czasem kapitana Oaklanda albo porucznika Newella?

- Właściwie to widziałem ich obu. Wstąpili tu pogadać ze mą i z Henrym, a potem poszli do miasta.

- Mówili, dokąd idą?

- Niestety nie, pułkowniku.

- No trudno, dziękuję. - Claremont zszedł na peron i spojrział na tyły pociągu, gdzie Bellew siodłał swojego konia. - Powiedzcie patrolowi, że tamci są w mieście! - zawołał.

W odpowiedzi sierżant zasalutował niedbale.

W hotelowym barze O'Brien i Pearce odwrócili się od szynkwasu. Szeryf chował listy gończe do koperty. Nagle obaj zamarli i popatrzyli w głąb sali, skąd dobiegł gniewny okrzyk.

Potężny mężczyzna z ciemno rudą brodą, ubrany w welwetowe spodnie i kurtkę, wyglądające jakby je odziedziczył po dziadku, zerwał się na nogi i pochylił nad stołem, przy którym grano w

karty. W prawej ręce trzymał nieduże działo - bez zbytnej przesady można tak bowiem określić colta typu „Peacemaker - lewą zaś przyciskał do blatu nadgarstek człowieka, który siedział naprzeciwko. Wysoko postawiony kołnierz z baraniej skóry i nasunięty na oczy czarny stetson tak skutecznie maskowały twarz siedzącego, że nie sposób było rozróżnić jego rysów.

- Co za dużo, to niezdrowo, przyjacielu - rzekł rudobrody.

- O co chodzi, Garrity? - spytał Pearce łagodnie, podchodząc do stołu.

Garrity zbliżył rewolwer na piętnaście centymetrów do twarzy nieznajomego.

- Mamy tu szulera, szeryfie - powiedział. - W ciągu piętnastu minut ten drań okantował mnie na sto dwadzieścia dolarów.

Pearce obejrzał się, bardziej z przyzwyczajenia niż z ciekawości, bo otworzyły się drzwi od ulicy. Pułkownik Claremont wkroczył do baru, przystanął, w dwie sekundy zorientował się, że coś się dzieje, i bez wahania podszedł do stołu pokerzystów. Rola kibica nie leżała w jego naturze. Pearce odwrócił się z powrotem do Garrity'ego.

- Może on poprostu dobrze gra?

- Dobrze? - Garrity chyba się uśmiechnął, choć na temat jego miny ukrytej za rdzawą gęstwiną można było jedynie snuć przypuszczenia. - Aż za dobrze... Już ja się na tym znam. Sam pan wie, szeryfie, że przez ostatnie pięćdziesiąt lat zjadłem na kartach zęby.

Pearcy pokiwał głową.

- Rzeczywiście, po naszym spotkaniu przy pokerze wstałem od stołu uboższy - przyznał.

Garrity wykręcił nadgarstek siedzącego, który bezskutecznie próbował się uwolnić. Przycisnął grzbiet jego lewej ręki do stołu i oczom widzów ukazały się karty - same figury z asem kier na wierzchu.

- Na mój gust całkiem ładna karta - orzekł Pearce.

- Nie powiedziałbym tego. - Skinieniem głowy Garrity wskazał leżącą na stole talię. - Mniej więcej w środku, szeryfie...

Pearce wziął talię i zaczął ją przeglądać. Nagle przerwał i uniósł prawą rękę - trzymał w niej drugiego asa kier. Położył go na stole, zabrał asa nieznajomemu, położył go obok pierwszego i porównał. Karty były identyczne.

- Dwie takie same talie - stwierdził. - Kto je przyniósł?

- Zgadnij pan, szeryfie - burknął Garrity. Jego głos nie wróżył nic dobrego.

- Stary numer - odezwał się nieznajomy. Mówił cicho, lecz - biorąc pod uwagę nadzwyczajnie kompromitującą sytuację, w jakiej się znalazł - wyjątkowo spokojnie. - Ktoś go podłożył do talii. Ktoś, kto wiedział, że mam asa.

- Jak się nazywasz?

- Deakin. John Deakin. - Wstawaj, Deakin.

Nieznajomy usłuchał. Pearce bez pośpiechu okrążył stół i stanęli twarzą w twarz. Patrzyli sobie prosto w oczy.

- Masz broń? - spytał szeryf. - Nie.

- Zdziwiasz mnie, Deakin. Myślałem, że ludzie twojego pokroju nie rozstają się z bronią... chociażby dla samoobrony, jeśli już nie w innych celach.

- Ja nie uznaję przemocy.

- Mam wrażenie, że wkrótce doświadczysz jej na własnej skórze, czy ci się podoba, czy nie. - Pearce lewą ręką odchylił połę baraniego kozucha szulera, a prawą sięgnął do jego wewnętrznej kieszeni. Kilka sekund później wyciągnął i rozłożył w wachlarz interesującą kolekcję asów i figur.

- No, no - mruknął O'Brien. - jak to się mówi, trzymał karty przy orderach.

Pearce pchnął leżące przed Deakinem pieniądze w stronę Garrity'ego, ale on nie kwapił się, żeby je zabrać.

- Moje pieniądze to nie wszystko - powiedział ochryple.

- Wiem o tym. - Szeryf nie tracił cierpliwości. - Chyba wynika to jasno z tego, co powiedziałem. Znasz moją sytuację, Garrity. Szulerka nie jest przestępstwem federalnym, więc nie mogę się wtrącać. File jeżeli ktoś wywoła awanturę w mojej obecności, to jako miejscowy stróż porządku publicznego będę musiał zareagować. Oddaj broń.

- Z przyjemnością - odparł Garrity wyraźnie złowróżbnym tonem, Podał swój wielgachny rewolwer szeryfowi, łypnął spode łba na Deakina i kciukiem wskazał drzwi. Deakin ani drgnął. Garrity okrążył stół i powtórzył gest. Widząc prawie niedostrzegalny, ale wyraźnie przeczący ruch głowy szulera, na odlew uderzył go w twarz. Deakin nie zareagował. - Na dwór! - warknął rudobrody.

- Już mówiłem, że nie uznaję przemocy - rzekł Deakin. Rozwścieczony Garrity zamachnął się na

niego bez ostrzeżenia. Szuler zatoczył się, potknął o stojące za nim krzesło i runął jak kłoda na

podłogę. Leżał zupełnie przytomny, bez kapelusza, który spadł mu z głowy, wspierając się na łokciu, ale bynajmniej nie próbując wstać. Krew ciekła mu z kącika ust. Stali bywalcy hotelu zdobyli się na bezprecedensowy wysiłek - zerwali się na równe nogi i, przepychając się, ruszyli tłumnie do stolika karciarzy, by z bliska obserwować przebieg wypadków. Malujące się na ich twarzach niedowierzanie stopniowo ustąpiło miejsca najgłębszej pogardzie. Jasnoczerwony strumyczek, ta oznaka przemocy, był nieodłącznym, integralnym składnikiem życia na pograniczu. Gwałt nie odwzajemniony, puszczanie płazem zniewag i krzywd bez najmniejszej próby fizycznego odwetu, równało się ostatecznej degradacji - zaprzeczeniu męskości.

Zawiedziony Garrity z niedowierzaniem gapił się na nieruchomego Deakina. Wzbierający w nim gniew błyskawicznie odbierał mu resztki zdrowego rozsądku. Widząc, że rudobrody jest żądny krwi, Pearce zbliżył się szybko, choć sam wyraźnie łamał sobie nad czymś głowę. Wtem doznał olśnienia. Kiedy Garrity zamachnął się prawą nogą do śmiertelnego ciosu, odruchowo zrobił krok w przód i niezbyt łagodnie wyrzucił go prawym łokciem w splot słoneczny. Powstrzymując wymioty, rudzielec jęknął z bólu i zgiął się wpół, trzymając się za brzuch. Nie mógł złapać tchu.

- Ostrzegałem cię, Garrity - powiedział Pearce. - Żadnych awantur w obecności szeryfa Stanów Zjednoczonych. Jeszcze raz, a przenocujesz u mnie w areszcie. Zresztą teraz to już nieważne. Ten ptaszek wymknął ci się niestety z rąk.

Garrity spróbował się wyprostować. Widać było, że sprawia mu to wątpliwą przyjemność. Jego głos, kiedy go wreszcie odzyskał, przypominał rechot żaby chorej na zapalenie krtani.

- Jak to wymknął mi się z rąk? Co wy mi tu gadacie? - Teraz to już sprawa federalna.

Pearce wysunął z koperty listy gończe, przerzucił je szybko, wybrał jeden, a pozostałe schował z powrotem. Zerknął na kartkę, potem na Deakina, odwrócił się i skinął ręką na pułkownika Claremonta, który bez zmruczenia oka podszedł do niego i O'Briena. Szeryf bez słowa pokazał mu list. Zdjęcie poszukiwanego, niewiele lepsze od dagerotypu, było szarobrazowe, niewyraźne i zamazane, a jednak z całą pewnością była to wierna podobizna człowieka, który przedstawił się jako John Deakin.

- I co pan na to, pułkowniku? - rzekł Pearce. - Zdaje się, że właśnie trzymam w ręku bilet na pański pociąg.

Claremont spojrział na niego, ale się nie odezwał. Jego mina także niewiele mówiła, wyrażała jedynie uprzejme oczekiwanie.

- „Poszukiwany za długi karciane, kradzież, podpalenie i mordertwo - odczytał szeryf.

- Niezła kolejność - mruknął O'Brien.

- „John Houston, alias John Murray, alias John Deakin, alias...” Mniejsza z tym, ma wiele innych alias. „Były wykładowca na wydziale medycyny Uniwersytetu Stanu Nevada”.

- Uniwersytet? - przerwał Claremont. Jego mina i głos zdradzały zdumienie. - W tych zapomnianych przez Boga i ludzi górach?

- Postępu się nie zatrzyma, pułkowniku. Założyli go w Elko. W tym roku. „Zwolniony z pracy za długi karciane i nielegalny hazard - czytał dalej szeryf. - Przypisuje mu się sprzeniewierzenie funduszy uniwersyteckich, stwierdzone po jego wyjeździe. Ścigany do Lake's Crossing, został osaczony w sklepie z artykułami żelaznymi. Uciekając, oblał go naftą i podpalił dla odwrócenia uwagi. Pożar rozprzestrzenił się i strawił centrum miasta. Zginęło siedem osób”.

Wśród słuchaczy i widzów słowa te wywołały całą gamę uczuć - od niedowierzania do przerażenia, od gniewu do odrazy. Tylko Pearce, O'Brien i - co dziwniejsze - sam Deakin przyjęli to ze stoickim spokojem.

- „Wytropiony w warsztatach kolejowych w Sharps, wysadził w powietrze wagon z materiałami wybuchowymi, niszcząc trzy baraki i cały tabor kolejowy - czytał dalej Pearce. - Obecnie miejsce pobytu nieznane”.

- To... to jest ten człowiek, który spalił Lake's Crossing i wysadził Sharps? - odezwał się Garrity. Jego głos wciąż przypominał ochryply rechot.

- Jeżeli wierzyć w to, co tu jest napisane, a ja wierzę, to faktycznie on - odparł szeryf. - Wiadomo, 'ze przypadki chodzą po ludziach, ale to już by była przesada. Inaczej teraz patrzysz na swoje marne sto dwadzieścia dolarów, co, Garrity? Na twoim miejscu schowałbym je czyn prędzej, bo nieprędko zobaczysz znowu Deakina. - Złożył list gończy i spojrzał na pułkownika. - I co pan na to?

- Jego winy są tak oczywiste, że nie trzeba nawet zwoływać ławy przysięgłych. Ale to wciąż nie jest nasza sprawa.

Pearce rozłożył kartkę i podał ją Claremontowi.

- Nie przeczytałem wszystkiego, bo za długie. Na przykład opuściłem to... - Wskazał na pewien akapit.

- „Wagon z materiałami wybuchowymi w Sharps był w drodze do składu armii Stanów Zjednoczonych w Sacramento, w Kalifornii” - odczytał na głos pułkownik. Złożył list gończy, oddał go szeryfowi i pokiwał głową. - Tak, teraz to już nasza sprawa.

Rozdział drugi

Pułkownik Claremont, którego wybuchowy temperament często dawał o sobie znać, heroicznie starał się utrzymać go na wodzy. Była to jednak z góry przegrana walka. Pedantyczny i skrupulatny oficer, dla którego rozkaz i porządek dzienny były rzeczą świętą, nie znosił, kiedy coś mu zakłócało, a tym bardziej niweczyło raz powzięte plany. Dodając zaś do tego skrajną nietolerancję wobec głupoty i nieudolności, trudno się dziwić, że nie potrafił on znaleźć jakiegoś wentyla bezpieczeństwa, przez który mógłby dawać upust swojej jedynej wadzie, niegodnej tak oficera, jak mężczyzny. Stopniowe uwalnianie albo sublimacja gwałtownego - i gwałtownie narastającego - gniewu wywołanego frustracją w jego wypadku nie wchodziły w rachubę, mimo iż oscylująca wokół punktu wrzenia wściekłość nie wpływała najlepiej na jego ciśnienie. Przenosząc to na grunt geologii można by powiedzieć, że ani nie wypuszczał gazów wulkanicznych, ani nie usuwał nadmiaru energii poprzez gejzery; niczym Krakatau, po prostu eksplodował, a rezultaty tej erupcji, przynajmniej dla najbliższego otoczenia, zazwyczaj były nie mniej katastrofalne.

Claremont miał właśnie ósmioosobowe audytorium. Wystraszony gubernator, Marika, lekarz i kapelan stali tuż przed głównym wejściem do „Imperialu, a nieco dalej, na chodniku z desek, O'Brien, Pearce i Deakin. Wszyscy obserwowali rozsierzonego pułkownika i tylko szeryf poświęcał więcej uwagi Deakinowi. Ostatnim uczestnikiem tego wydarzenia był nieszczęsny sierżant Bellew. Sztywno wyprostowany, starał się utrzymać postawę zasadniczą - o ile to w ogóle możliwe, jeśli ktoś siedzi na mocno narowistym koniu - i niewzruszenie wpatrywał się w punkt za lewym ramieniem pułkownika, oddalony o dobre parę lat świetlnych. Mimo chłodnego popołudnia, pocił się obficie.

- Wszędzie? - Pułkownik ani myślał ukrywać skrajnego niedowierzania. - Szukaliście wszędzie?!

- Tak jest.

- Oficerowie kawalerii to raczej rzadki widok w tych stronach. Ktoś musiał ich zauważyć!

- Nikt z tych, z którymi rozmawialiśmy. A pytaliśmy wszystkich. - Niemożliwe, człowieku! Po prostu niemożliwe!

- Tak jest, pułkowniku. To znaczy nie. - Bellew zaprzestał kontemplacji wszechświata, spojrzął w oczy swemu dowódcy i bliski rozpaczy wykrztusił: - Nie możemy ich znaleźć.

Twarz Claremonta przybrała niebezpieczny odcień. Nie trzeba było szczególnie bujnej wyobraźni, by zrozumieć, że erupcja jego wściekłości nastąpi lada chwila.

- Może ja ich poszukam, pułkowniku - zaproponował Pearce, podchodząc szybko do oficera. - Zbiorę ze dwudziestu, trzydziestu ludzi, którzy znają to miasto jak własną kieszeń... a Bóg świadkiem, że zakamarków mamy tu niewiele. Góra dwadzieścia minut i znajdziemy ich. Jeżeli tu są. - Jeżeli?! Co pan chce przez to powiedzieć?

- Dokładnie to, co powiedziałem. - Widać było, że szeryf nie jest usposobiony pokojowo. - Proponuję pomoc... chociaż wcale nie muszę. Nie oczekuję podziękowania, nie spodziewam się nawet, że przyjmie pan moją propozycję, choć trochę uprzejmości skądinąd nie zawadzi. Więc tak, czy nie?

Claremont zawahał się, a jego ciśnienie co nieco opadło, Szorstki ton Pearce'a kazał mu się opamiętać i pułkownik niechętnie, wręcz z oporem, uświadomił sobie, że ma do czynienia z cywilem, przedstawicielem - niestety! - większości, która nie podlega jego władzy i rozkazom. Claremont ograniczał swoje kontakty z cywilami do niezbędnego minimum i w rezultacie prawie zapomniał, jak z nimi rozmawiać. Ale główną przyczyną jego chwilowego niezdecydowania była irytująca i upokarzająca perspektywa, że tym nie domytm, niezdiscyplinowanym wyrzutkiem z Reese City uda się to, co nie udało się jego ukochanemu wojsku. Ostateczna odpowiedź kosztowała go dużo zdrowia.

- A więc dobrze, szeryfie. Proszę ich poszukać. L.. dziękuję. Wobec tego odjazd za dwadzieś cia minut. Zaczekamy na stacji.

- Wrócę na czas. Ale przysługa za przysługę, pułkowniku. Czy mógłby pan wyznaczyć paru swoich ludzi, żeby odstawili więźnia do pociągu pod eskortą?

-Pod eskortą? - Claremont nie krył pogardy.

- Zdawało mi się, szeryfie, że on nie uznaje przemocy

- Zależy, co pan rozumie przez przemoc - odparł Pearce łagodnie. - Widzieliśmy, że nie przepada za karczemnymi burdami, jeśli miałyby na tym ucierpieć jego skóra. Ale jeśli sądzić po jego przeszłości, to starczy, że spuszczę go z oka, a podpali „Imperial"... albo wysadzi w powietrze pański bezcenny pociąg.

I zostawiwszy Claremonta sam na sam z tą radosną perspektywą, pośpieszył do hotelu.

- Odwołajcie ludzi - rozkazał pułkownik sierżantowi. - Odprowadzić więźnia do pociągu. Związać mu ręce z tyłu, a nogi spętać półmetrowym sznurem. Wygląda na to, że nasz przyjaciel ma zwyczaj rozpływać się w powietrzu.

- Za kogo pan się ma? Za Pana Boga? - W głosie Deakina pobrzmiwała fałszywa nuta gniewu i buntu. - Nie może mi pan tego zrobić! Pan nie reprezentuje prawa. Jest pan tylko żołnierzem!

- Tylko?! Ty... - Claremont opanował się w porę. - Trzydziestocentymetrowy sznur, sierżancie! - polecił z satysfakcją.

- Z największą przyjemnością - odparł Bellew, lecz najwyraźniej jeszcze większą przyjemność sprawił mu fakt, że oto wspólny wróg, choćby nawet nieszkodliwy, ściągając na siebie niezadowolone pułkownika ratował go przed gniewem dowódcy. Wyciągnął gwizdek z kieszeni munduru, wziął głęboki oddech i zagwizdał przeraźliwie trzy razy. Claremont skrzywił się, skinął ręką na pozostałych i poprowadził ich ku stacji. Sto metrów dalej, z O'Brienem u boku, zatrzymał się i obejrzał. Potok ludzi, wylewający się przez drzwi hotelu, należałoby utrwalić w kronikach Reese City jako zjawisko bez precedensu. Obserwując wymarsz tych barwnych postaci chciałoby się rzec: „wiódł ślepy kulawego”, bo też nie byłoby to dalekie od prawdy.

Ponieważ doprawianie whisky wodą skończyłoby się dla hotelu „Imperial natychmiastowym i nieodwracalnym bojkotem wiernej klienteli, co najmniej połowa ochotników sunęła chwiejnym, rozkołysanym krokiem żeglarza, który od dawna nie schodził na ląd. Dwaj spośród nich ciężko utykali, a inny, nie mniej wstawiony od całej reszty, nader żwawo pomykał o kulach. Ten przynajmniej miał podporę, której pozostałym wyraźnie brakowało.

Szeryf zbliżył się do nich i wydał stosowne polecenia. Patrząc, jak zgraja siwobrodych rozpełza się w różnych kierunkach, O'Brien pokręcił głową.

- Gdyby ci poszukiwacze skarbów mieli odnaleźć zakopaną butelkę bourbona, postawiłbym na nich ostatni grosz. Ale tak...

- Wiem, wiem. - Claremont odwrócił się z rezygnacją i bez pośpiechu ruszył dalej ku stacji. Z lokomotywy buchały kłęby dymu i pary. Banlon najwyraźniej pilnował, by odjazd mógł nastąpić w każdej chwili. Wychylił się ze swej kabiny.

- Są już, pułkowniku? - Niestety, nie. Maszynista zawahał się.

- To może zdejmę parę z kotła? - A niby po co?

- Chce pan powiedzieć, że... w razie czego odjeżdżamy bez kapitana i porucznika?

- Otóż to, Banlon. Za piętnaście minut. Pamiętajcie, piętnaście minut! - Ale kapitan Oakland i porucznik Newell...

- Zabiorą się następnym pociągiem.

- Ależ pułkowniku, będą musieli czekać wiele dni...

- W tej chwili mało mnie obchodzi los kapitana i porucznika. - Claremont odwrócił się do pozostałych i wskazał na schodki prowadzące do pierwszego wagonu. - Zrobiło się zimno, a będzie jeszcze zimniej - powiedział. - Gubernatorze, pozwoli pan, że zatrzymam na chwilę majora O'Briena. Tylko dopóki nie sprowadzą więźnia. Nie mam nic przeciwko moim ludziom, to najlepsi żołnierze pod słońcem, ale nie jestem pewny, czy dadzą sobie radę z taką chytrą sztuką jak Deakin. Natomiast nie wątpię, że major poradzi sobie znakomicie... i to bez trudu. Zatrzymam go tylko do powrotu

Pearce'a.

O'Brien uśmiechnął się bez ~ słowa. Gubernator Fairchild skinieniem głowy wyraził zgodę i czym prędzej wszedł do wagonu. Zbliżał się wieczór i w ciągu ostatnich piętnastu minut wyraźnie się ochłodziło.

Claremont skinął głową na O'Briena i powoli ruszył wzdłuż pociągu, od czasu do czasu uderzając szpicrutą o swoje buty do jazdy konnej: Ten jakże angielski rekwizyt był jedynym przejawem jego indywidualizmu czy - jak kto woli - ekscentryczności. Pułkownik Claremont zupełnie nie znał się na pociągach, miał za to wrodzony dar obserwacji, który wykorzystał przy każdej sposobności. Co więcej, był komendantem tego pociągu, a wyznawał zasadę, że „pańskie oko konia tuczy”, choćby nawet ów tylko czasowo był pod jego opieką.

Pierwszy wagon składał się z przedziału dziennego dla oficerów - w którym właśnie schronił się gubernator - dalej z sypialni gubernatora i jego bratanicy oraz z jadalni oficerów, usytuowanej na samym końcu. W drugim znajdowała się kuchnia, sypialnie Henry'ego i Carlosa - to znaczy kelnera i kucharza - oraz oficerów. Trzeci wagon wiozł prowiant, natomiast czwarty i piąty - konie.

Z przodu szóstego mieściła się kuchnia dla wojska, a pozostałą jego część, jak również wagon siódmy, zajmowali żołnierze. Niewiele mądrzejszy niż przed inspekcją, Claremont dotarł do zamykającego skład pociągu hamulcowego i obejrzał się, słysząc za sobą tętent koni. To Bellew zaganiał swe zagubione owieczki. Pułkownik ocenił, że prowadził on ze sobą cały oddział kawalerii.

Sierżant jechał na czele, trzymając w lewej ręce koniec lassa, którego pętla opasywała szyję Deakina. Z powodu trzydziestocentymetrowego sznura krępującego mu nogi, więzień sztywno dreptał komicznie małymi kroczkami, bardziej podobny do marionetki niż do człowieka. Claremont nie wzruszył się widokiem szulera w sytuacji, która byłaby wstydliva i upokarzająca dla każdego, kto wkroczył w wiek męski. Przystanął na chwilę, lecz widząc, że O'Brien wychodzi sierżantowi na spotkanie, bez zwłoki wszedł po schodkach do wagonu hamulcowego.

W przeciwieństwie do chłodu panującego na zewnątrz, w wagonie było duszno i gorąco. Przyczyny tego stanu rzeczy nie trzeba było daleko szukać - stojący w kącie piec wyładowano drewnem tak umiejętnie i z takim zapalem, że jego okrągła ruchoma pokrywa z litego żelaza była rozpalona niemal do białości. Obok pieca znajdowała się skrzynia wypełniona po brzegi szczapami, za nią szafka na żywność, a jeszcze dalej olbrzymie koło hamulcowe. Jeśli sądzić po zawartości skrzyni, to i szafka pewnie nie świeci pustkami - pomyślał Claremont. Po drugiej stronie pieca umieszczono przepastny, nadmiernie wypchany fotel i materac, na którym piętrzył się stos koców z przydziałów wojskowych oraz coś, co wyglądało na dwie skóry niedźwiedzie.

Człowieka, który zanurzony w fotelu czytał książkę przez okulary w stalowej oprawce, można by, z całym szacunkiem dla staroświeckiego zwrotu, określić jako pana w podeszłym wieku. Na twarzy miał czterodniowy siwy zarost, a jego włosy - o ile takowe posiadał - były ukryte pod czymś, co

przypominało spiczasty kapelusz holenderskiego flisaka. Starowina - niewątpliwie chroniąc się przed zimnem - naciągnął go sobie na uszy i siedział spowity jak w kokon w liczne, bliżej nieokreślone warstwy odzieży, na które zarzucił wzorowaną na eskimoskich anorakach kurtkę z bliżej nieokreślonych skór. Aby udaremnić nieczne zakusy nawet najbardziej podstępnych przeciągów, otulił się od pasa w dół grubym indiańskim pledem.

Gdy Claremont wszedł do wagonu, hamulcowy wzdrygnął się, przez grzeczność zdjął okulary i przyjrzał mu się badawczo jasnoniebieskimi, wodnistymi oczyma. Zamrugał ze zdziwienia.

- Wielki to dla mnie zaszczyt, pułkowniku - powitał gościa. Mówił z tak silnym irlandzkim akcentem, jak gdyby zaledwie wczoraj opuścił rodzinną wyspę, choć od czasu, gdy po raz pierwszy i ostatni przekroczył Atlantyk, minęło z górą sześćdziesiąt lat. Nie bacząc na związane z tym trudności, spróbował dźwignąć się z fotela, lecz Claremont dał mu znak, żeby nie wstawał. Starowina usłuchał skwapliwie i wymownie spojrział na otwarte drzwi.

Oficer zamknął je czym prędzej.

- To wy jesteście Devlin? - zapytał. - Seamus Devlin, do usług.

- Nie doskwiera wam tu samotność?

- Zależy, co pan przez to rozumie, pułkowniku. Siedzę tu sam, to prawda, ale nie jestem samotny. - Zamknął książkę, którą przed chwilą czytał, i ścisnął ją oburącz. - To maszynista jest samotny, nie ja. Pewnie, że ma do pomocy palacza, ale nawet nie może z nim pogadać, taki tam hałas. A jeśli pada śnieg lub deszcz, musi cały czas wyglądać na zewnątrz, żeby widzieć, co ma przed sobą, więc albo marznie, albo się poci. Już ja wiem, jak to jest, czterdzieści pięć lat stałem na pomoście, ale od paru lat mam to wreszcie za sobą. - Rozejrzał się z dumą. - Dostałem chyba najlepszą posadę w Union Pacific. Własny piecyk, własne jedzenie, własne łóżko, własny fotel...

- Właśnie chciałem was o to zapytać - wtrącił Claremont z zaciekawieniem. - Nie sądzę, żeby w Union Pacific mieli takie fotele na wyposażeniu.

- Gdzieś, kiedyś wpadł mi w nęcę - odparł Devlin wymijająco. - Dużo brakuje wam do emerytury?

Devlin uśmiechnął się niemal konspiracyjnie.

- Z pana pułkownika jest wielki - jak to się mówi? - dyplomata. Tak, dobrze mówię, dyplomata. Ma pan rację, za stary jestem do tej roboty, ale już lata całe, jak zapodziałem gdzieś metrykę urodzenia, no i ci z Union Pacific mają ze mną ambaras. To moja ostatnia podróż, pułkowniku. Jak wrócę na wschód, czeka mnie już tylko dom wnuczki i miejsce przy kominku.

- Niech Bóg cię drewnem obsypie! - mruknął Claremont pod nosem.

- Hę? Znaczy się, nie dosłyszałem, pułkowniku.

- Nic takiego. Powiedzcie mi, Devlin, jak spędzacie tu czas? - No... gotuję, jem, śpię i...

- Ano właśnie! Jak to jest z tym spaniem? Jeżeli zaśniecie, a po drodze wypadnie akurat ostry zakręt czy stromy zjazd, to...

- Bez obawy, pułkowniku. Ja i Chris - znaczy się Banlon, maszynista - mamy takie urządzenie, co to je teraz nazywają łącznością. Najzwyklejszy drut w rurze, ale działa. Chris ciągnie za niego sześć razy, tutaj dzwoni dzwonek, a ja ciągnę jeden raz, dwa, trzy albo cztery razy, zależnie od tego, jak mocno mam hamować. To jeszcze nigdy nie zawiodło.

- Ale przecież nie możecie tylko jeść i pić?

- I dlatego czytam, pułkowniku. Bardzo dużo. Całymi godzinami. Claremont rozejrzał się.

- Dobrze ukryliście swoją bibliotekę - stwierdził.

- Ja nie mam biblioteki. To moja jedyna książka. I tylko ją czytam. - Odwrócił trzymaną książkę i pokazał ją pułkownikowi. Była to bardzo stara i zniszczona Biblia.

- Rozumiem. - Claremont, który z zasady nie chodził do kościoła, a o religię ocierał się często wprawdzie, lecz tylko i wyłącznie podczas odprawiania nabożeństw żałobnych, był teraz wyraźnie zakłopotany. - No nic, Devlin, miejmy nadzieję, że dotrzemy cali i zdrowi do Fortu Humboldta, a wy bezpiecznie wróćcie na wschód.

- Dziękuję za dobre słowo - rzekł Devlin, nałożył okulary i otworzył Biblię, zanim jeszcze oficer zamknął za sobą drzwi.

Pułkownik dziarskim krokiem ruszył do lokomotywy. Po drodze przystanął koło Bellewa i kilku żołnierzy, którzy rozbierali pomosty prowadzące do wagonów z końmi.

- Sprawdziliście stan ludzi i zwierząt? Wszyscy obecni? - Tak jest.

- Wystarczy wam pięć minut? - Jak najbardziej, pułkowniku.

Claremont skinął głową i odszedł. Zza rogu budynku stacji wyłonił się Pearce i szybko ruszył ku niemu.

- Wiem, że pan tego nie zrobi, pułkowniku, ale powinien pan przeprosić Bellewa i jego ludzi - oświadczył.

- Jak to? Zniknęli bez śladu?

- W każdym razie głowę daję, że nie ma ich w Reese City.

W pierwszej chwili, o dziwo, Claremont poczuł ulgę - ulgę, że Pearce i ta zgraja wyrzutków nie zanotowali sukcesu tam, gdzie jego żołnierze doznali porażki. Lecz pełne znaczenie pozornej dezercji lub niewybaczalnego spóźnienia obu oficerów szybko dotarło do niego ze zdwojoną siłą.

- Oddam ich za to pod sąd polowy i zdymisjonuję! - warknął przez zaciśnięte zęby.

Szeryf przyglądał mu się z namysłem.

- Nie znam ich, rzecz jasna - powiedział. - Czy takie zachowanie jest do nich podobne?

- Nie, psiakrew! - Claremont z wściekłością uderzył się szpicrutą w but i z trudem powstrzymał okrzyk bólu. - Oakland i Newell to najlepsi oficerowie, jacy pode mną służyli. Ale nie będzie żadnych wyjątków, żadnych! Choć szkoda, to jednak dobrzy oficerowie, bardzo dobrzy... Chodźmy, szeryfie. Komu w drogę, temu czas.

Pearce wsiadł do pociągu. Pułkownik obejrzał się, by sprawdzić, czy drzwi wagonów z końmi są dobrze zamknięte, po czym odwrócił się i uniósł rękę. W odpowiedzi Banlon pomachał do niego, wszedł do lokomotywy i otworzył regulator pary. Koła napędowe pośliznęły się na szynach raz, dwa, trzy razy, aż wreszcie złapały przyczepność.

Rozdział trzeci

O zmierzchu pociąg zostawił Reese City daleko za sobą. Płaskowyż, na którym leżało miasteczko, zniknął za horyzontem, ustępując miejsca podgórzu. Pociąg łagodnie piał się w górę długą, szeroką, porośniętą sosnami doliną, wzdłuż krętej, kamienistej rzeki. Na ciemnym niebie nie widać było ani śladu zorzy wieczornej, którą najwidoczniej skryły nisko wiszące chmury. Zapowiadała się bezgwiezdna i bezksiężycowa noc, a ołowiane niebo wróżyło tylko jedno - śnieg.

Ani ponura beznadzieja i ziąb za oknami, ani wyraźne pogorszenie pogody nie obchodziły podróżnych w przedziale dziennym dla oficerów - i trudno się temu dziwić. W otoczeniu ciepła, wygody i komfortu zaprzątanie sobie głowy tym, co dzieje się na zewnątrz, byłoby bezcelowe, wręcz niestosowne. Luksus wywiera nadzwyczaj kojące działanie, a jak na pociąg wojskowy, przedział dla oficerów był bez wątpienia luksusowy.

Znajdowały się w nim dwie głębokie kanapy z rozkładanymi oparciami oraz fotele, pokryte wspaniałym zielonym aksamitem. Haftowane zasłony, z tego samego materiału, przytrzymały w oknach jedwabne, ozdobione frędzlami sznury. Podłogę wyścielał puszysty ciemno rudy dywan. W pobliżu kanap i foteli rozmieszczono kilka wypolerowanych na wysoki połysk stolików z mahoni, a widoczny w prawym rogu barek stał tam nie tylko dla ozdoby. Cały przedział skąpany był w ciepłym, bursztynowym świetle zwisających z sufitu miedzianych lamp.

Spośród ośmiu osób w przedziale, siedem trzymało szklanki z trunkami. W głębi, na kanapie obok Mariki, siedział Nathan Pearce. Drugą kanapę zajmowali gubernator i pułkownik Claremont, a doktor Molyneux i major O'Brien rozparli się w fotelach. Z wyjątkiem dziewczyny, która zadowolona się porto, wszyscy oni pili whisky. Trzeci i ostatni fotel przypadł wielebnemu Peabody, który siedział ze szklanką wody mineralnej i pełną wyższości miną świętoszka. Tylko John Deakin nic nie pił. Okazywanie gościnności takiemu zbrodniarzowi byłoby nie do pomyślenia, a zresztą mając ręce skrepowane na plecach, i tak nie mógłby podnieść szklanki do ust. Nogi też miał związane. Niewygodnie zgarbiony, siedział na podłodze koło przejścia prowadzącego do sypialni. Oprócz Mariki, która od czasu do czasu zerknęła na niego z troską, nikt z obecnych nie przejmował się jego sytuacją. Na pograniczu życie było tanie, a cierpienie tak powszechne, że nie budziło niczyjej ciekawości, a tym bardziej współczucia.

Nathan Pearce uniósł szklankę.

- Wasze zdrowie - powiedział. - Słowo daję, pułkowniku, nie wiedziałem, że wojsko podróżuje w takich warunkach! Nic dziwnego, że podatki są...

- Nie, szeryfie, wojsko tak nie podróżuje - przerwał mu szorstko Claremont. - To jest prywatny wagon gubernatora Fairchilda. Za plecami ma pan dwie sypialnie, zwykle zarezerwowane dla

gubernatora i jego żony - tym razem jedną z nich zajmuje panna Fairchild - a dalej znajduje się prywatna jadalnia. Gubernator łaskawie zezwolił nam podróżować i jeść razem z nim.

Pearce znów uniósł szklanę.

- Bardzo to przyzwoicie z pańskiej strony, gubernatorze - oświadczył. Nagle zamilkł i obrzucił Fairchilda kpiarskim spojrzeniem. - Co się stało? Wygląda mi na to, że pan się czymś gryzie.

Gubernator rzeczywiście wyglądał, jakby się czymś gryzł. Bledszy niż zwykle, twarz miał ściągniętą, a usta zaciśnięte. Uśmiechnął się z przymusem, dopił whisky i nalał sobie drugą szklaneczkę.

- Sprawy państwowe, szeryfie, sprawy państwowe - odparł, przybierając niefrasobliwy ton. - Rozumie pan, życie senatora składa się nie tylko z balów i przyjęć.

- Z pewnością, gubernatorze. -- Obojętność Pearce'a ustąpiła miejsca zaciekawieniu. - Ale dlaczego wybrał się pan w tę podróż? Przecież jako cywil...

- Każdy gubernator ma w swoim stanie pełną władzę wojskową - wtrącił się O'Brien. - Powinieneś o tym wiedzieć, Nathan.

- Pewne sprawy wymagają mojej natychmiastowej obecności w Forcie Humboldta - wyjaśnił Fairchild z namaszczeniem i zerknął na pułkownika, który ledwie dostrzegalnie pokręcił głową. - Więcej nie mogę powiedzieć... przynajmniej na razie.

Pearce skinął głową, najwyraźniej zadowolony z odpowiedzi, i porzucił temat. W przedziale zapadła krępująca cisza. Dwukrotnie zakłócił ją Henry - wysoki, nieprawdopodobnie chudy i trupioblady kelner - który najpierw przyszedł dolać pasażerom trunków, a później pod łożyc do pieca.

Deakin siedział z opuszczoną na piersi głową i zamkniętymi oczami. Albo odcinał się w ten sposób od świata i ludzi, albo naprawdę zasnął, co w wypadku człowieka tak niewygodnie związanego byłoby sztuką nie lada, zwłaszcza że musiałby on podświadomie amortyzować wstrząsy rzucającego na wszystkie strony wagonu. Pociąg wjechał bowiem na względnie płaski teren, nabrał szybkości i coraz gwałtowniej kołysał się na boki. nawet tym, którzy siedzieli w pluszowych fotelach i kanapach, zaczęła już doskwierać taka jazda.

- Czy musimy tak pędzić, stryju Charles? - odezwała się Marika. - Skąd ten pośpiech?

- Stąd, panno Fairchild, że maszynista ma rozkaz jechać z możliwie największą szybkością - wyręczył gubernatora Claremont. - I stąd, że ten pociąg wiezie posiłki. Mamy już dwa dni spóźnienia, a kawaleria Stanów Zjednoczonych tego nie lubi.

Podniósł wzrok, bo Henry po raz trzeci wszedł do przedziału. Kelner - uosobienie złożonego niestrawnością melancholika, dla którego życie stanowi ciężar ponad siły - zatrzymał się w progu i oznajmił:

- Panie gubernatorze, panie pułkowniku, obiad podano.

Niewielka jadalnia wyposażona była równie luksusowo jak przedział dzienny, choć znajdowały się w niej tylko dwa czteroosobowe stoły. Przy jednym zasiedli gubernator, jego bratanica, Claremont i O'Brien, przy drugim zaś Pearce, doktor Molyneux i wielebny Peabody. Na obu stołach czekały już butelki czerwonego i białego wina. Sobie tylko znanymi sposobami Henry schłodził białe do odpowiedniej temperatury, a teraz z grobową miną cicho i sprawnie obsługiwał pasażerów.

Gdy chciał nalać wina kapelanowi, ten powstrzymał go surowym ruchem ręki i postawił swój kieliszek do góry dnem. Licząc, że gest ten jest dostatecznie wymowny, Peabody z powrotem wlepił wzrok w szeryfa. Na jego twarzy malował się przestach zmieszany z fascynacją.

- Tak się składa, szeryfie - podjął przerwany na chwilę wątek - że doktor i ja pochodzimy z Ohio. I nawet tam, w tych dalekich stronach, wszyscy o panu słyszeli. Słowo daję, cóż za niezwykle przeżycie! To niebywale, to po prostu niebywale! Siedzieć tu, że tak powiem, oko w oko z naj słynniejszym... eee stróżem prawa na Zachodzie.

Pearce uśmiechnął się.

Chciał pan powiedzieć: osławionym.

- Ależ nie, nie! Słynnym, zapewniam pana. - Zapewnienia pastora były cokolwiek zbyt pospieszne. - Jestem wprawdzie człowiekiem pokoju, sługą bożym, jeśli pan woli, ale zdaję sobie sprawę, że te dziesiątki Indian zabił pan tylko z obowiązku...

- Wolnego, pastorze, wolnego. Nie dziesiątki, zaledwie garstkę, a i to tylko z braku innego wyjścia. Poza tym nie zabijałem Indian, lecz białych sprzedawczyków i wyjętych spod prawa... a zresztą to już stara historia. Dzisiaj, tak jak i pan, jestem człowiekiem pokoju. Pan gubernator może to potwierdzić.

Peabody zebrał się na odwagę.

- Więc dlaczego nosi pan dwa rewolwery, szeryfie? - zapytał.

- Dlatego, że inaczej już bym nie żył. Co najmniej tuzin przestępców,

których posadziłem za kratki, o niczym tak nie marzy jak o mojej głowie. Większość z nich wyszła ostatnio na wolność. I choć żaden nie stanie ze mną do walki, ponieważ zyskałem sobie opinię nie najgorszego strzelca, to jednak cała ta moja sława psu na buty by się zdała, gdyby któryś z nich spotkał mnie bez broni. Pearce poklepał rewolwery. - To nie jest broń zaczepna, pastorze. To moja polisa ubezpieczeniowa. Peabody usilnie starał się ukryć niedowierzanie. - A więc jest pan

człowiekiem pokoju?

- Teraz? Tak. Kiedyś byłem w wojsku zwiadowcą, inaczej mówiąc, tropicielem Indian. Do tej pory jest ich zresztą niemało. Ale w końcu człowiek ma powyżej uszu zabijania.

- Człowiek? - Pastor zapewne wyobrażał sobie, że siedzi z twarzą pokerzysty, tymczasem jego mina dobitnie świadczyła, że ani trochę nie jest przekonany. - To znaczy pan?

- Indian można poskramiać na różne sposoby, nie trzeba od razu dziurawić ich kulami. Prosiłem pana gubernatora, żeby mianował mnie przedstawicielem Indian na tym terytorium. Rozstrzygam teraz kwestie sporne pomiędzy Indianami i białymi, wyznaczam rezerwaty, próbuję zlikwidować handel bronią i whisky, a także czynię wszystko, żeby niepożądani biali wynieśli się z tych okolic. - Pearce uśmiechnął się. - Co zresztą i tak należy do moich obowiązków jako szeryfa. Ta praca nie daje szybkich wyników, ale chyba robię postępy. Myślę, że Pajuci prawie mi ufają. A skoro już o nich mowa... - Przeniósł wzrok na drugi stolik. - Pułkowniku?

Claremont pytająco uniósł brew.

- Chyba nie od rzeczy będzie zasłonić okna. Jedziemy przez wrogie terytorium i nie ma sensu zwracać na siebie uwagi.

- Tak wcześnie? No cóż, pan wie lepiej. Henry? Słyszałeś? To idź do sierżanta i powiedz mu, żeby zrobił to samo.

Duchowny pociągnął Pearce'a za rękaw. Jego mina zdradzała lęk. - Wrogie terytorium, powiada pan? - wyjąkał. - Wrogie plemiona Indian?

- Przeważnie nazywamy ich po prostu wrogami. Obojętność szeryfa pogłębiła tylko obawy pastora. - Ale... ale sam pan mówił, że oni panu ufają!

- Zgadza się, ufają. Mnie - rzekł Pearce z naciskiem.

- Aaa... - Nie wiadomo, co to miało oznaczać, ale pastor nie kwapił się z wyjaśnieniem. Kilkakrotnie przełknął tylko ślinę i pogrążył się w milczeniu.

Henry podał kawę do przedziału dziennego, gdzie O'Brien odczo zabrał się do częstowania wszystkich brandy i likierami z dobrze zaopatrzonego barku. Teraz, kiedy zamknięto wszystkie okna, a pokrywa pieca rozpałała się do czerwoności, temperatura podskoczyła do blisko trzydziestu stopni, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Nieznośne upały i przenikliwie zimno nieodłącznie wiązały się z życiem na pograniczu, więc przyjmowano je ze stoickim spokojem. Zielone aksamitne zasłony były dokładnie zaciągnięte.

Deakin miał oczy otwarte i wspierając się na łokciu, na wpół leżał w jeszcze bardziej niewygodnej pozycji niż przed obiadem. Lecz w tamtych stronach niewygody spletały się z życiem równie

nierozzerwalnie, jak upały i mróz, dlatego też nikt nie okazywał więźniowi zainteresowania, a tym bardziej współczucia. Jedynie Marika co pewien czas zerkała na niego z niepokojem.

Po kilku zdawkowych uwagach doktor Molyneux odstawił szklanę na stolik, wstał, przeciągnął się i ziewnął, dyskretnie zasłaniając usta.

- Państwo wybaczą - powiedział. - Czeka mnie jutro ciężki dzień, a w moim wieku trudno obejść się bez snu.

- Ciężki dzień, doktorze? - odezwała się uprzejmie Marika.

- Niestety. Większość lekarstw załadowano dopiero wczoraj w Ogden. Muszę je sprawdzić, zanim dotrzemy do fortu.

- Po cc ten pośpiech? - zapytała, spoglądając na niego z rozbawieniem. - Czy nie można z tym zaczekać, aż będziemy na miejscu? -- A widząc, że lekarz nie kwapi się z odpowiedzią, dorzuciła wesoło: - Czyżby ta epidemia w Forcie Humboldta, o której pan wspominał, grypy czy też gorączki plamistej, wymknęła się spod kontroli?

Molyneux nie odwzajemnił uśmiechu.

- Epidemia w Forcie Humboldta... - Przerwał w pół zdania, z namysłem spojrzął na dziewczynę i zwrócił się do Claremonta: - Uważam, że dalsze ukrywanie prawdy jest nie tylko bezcelowe i dziecinne, ale wręcz uwłaczające dla dorosłych i ponoć inteligentnych ludzi. Przyznaję, że utrzymywanie tej sprawy było konieczne, żeby nie wywoływać niepotrzebnej - czy, jak kto woli, usprawiedliwionej - paniki, ale ponieważ wszyscy w tym pociągu są odcięci od reszty świata i pozostaną odcięci aż do samego fortu, gdzie tak czy inaczej się dowiedzą...

Claremont ze znużeniem uniósł dłoń, by powstrzymać ten potok słów. - Doskonale rozumiem, o co panu chodzi, doktorze - powiedział. - No cóż, chyba możemy ujawnić prawdę. A wygląda ona tak, że doktor Molyneux nie był, nie jest i nie będzie lekarzem wojskowym. Podobnie jak nie jest pierwszym lepszym konowalem, lecz wybitnym specjalistą chorób tropikalnych. Żołnierze, którzy z nami jadą, to nie żadne posiłki. Mają zastąpić tych, którzy umarli w Forcie Humboldta.

Zdumienie na twarzy Mariki błyskawicznie przeistoczyło się w strach. - Żołnierze... - wyszeptała. - Żołnierze umarli w Forcie Humboldta...

- Bóg mi świadkiem, panno Fairchild, że wolelibyśmy pani nie odpowiadać na pytanie, dlaczego tak pędzimy i dlaczego doktor tak się śpieszy, ani na pytanie szeryfa, czym martwi się gubernator - rzekł Claremont. Przetarł oczy i potrząsnął głową. - W Forcie Humboldta wybuchła epidemia śmiertelnej choroby... cholery.

Spośród siedmiu słuchaczy pułkownika tylko dwoje zareagowało na tę wiadomość jak należy. Gubernator, Molyneux i O'Brien już wcześniej wiedzieli o epidemii. Pearce ledwie dostrzegalnie

uniósł brew: A Deakin nadal wspierając się na łokciu, był po prostu zamyślony. Swą niechęcią do okazywania uczuć bił na głowę nawet szeryfa. Gdyby jednak postronny obserwator poczuł się rozczarowany takim obrotem sprawy to reakcje Mariki i pastora z nawiązką wynagrodziłyby mu ten zawód - ona zmartwiała z przerażenia, on zaś osłupiał, nie wierząc własnym uszom. Dziewczyna odezwała się pierwsza.

- Epidemia cholery! Cholery! Mój ojciec...

- Wiem, moje dziecko, wiem. - Gubernator wstał, podszedł do niej i oparł jej dłoń na ramieniu. - Oszczędziłbym ci tego, Marika, ale pomyślałem sobie, że... że gdyby też zachorował, to wolałabyś...

W tym momencie wielebny Peabody nad podziw szybko i efektownie otrząsnął się z szoku. Jak oparzony zerwał się z głębin fotela, z twarzą wykrzywioną oburzeniem i niedowierzaniem. Jego głos przeszedł w falset.

- Jak pan śmie, gubernatorze Fairchild! Jak pan śmie narażać to biedactwo na takie ryzyko... ryzyko, że nie ustrzeże się tej straszliwej zarazy! Brak mi słów! Stanowczo domagam się, żebyśmy natychmiast wrócili do Reese City i... i...

- Niby jak? - O'Bxien z wystudiowaną obojętnością wpadł mu w słowo. - To nie takie proste zawrócić na pojedynczym torze.

- Na miłość boską, ojczu, za kogo pan nas ma?! - Claremont nie musiał bić w dzwony, żeby wszyscy dostrzegli, jak bliski jest wybuchu. - Za morderców?! Niedoszłych samobójców?! A może za zwyczajnych durniów?! Wieziemy prowiantu na miesiąc. I wszyscy zostaniemy tutaj w pociągu, dopóki doktor Molyneux nie uzna, że epidemia wygasła.

- Ależ pan nie może tam pójść! - Marika wstała i uczepliła się kurczowo ramienia doktora. W jej głosie brzmiała rozpacz. - Wiem, że pan jest lekarzem, ale lekarz ma takie same szanse zachorowania na cholere jak wszyscy... co ja mówię, większe!

Molyneux łagodnie poklepał jej drżącą dłoń.

- Nie ten lekarz - powiedział. - Ja już miałem cholere... i przeżyłem. Jestem uodporniony. Dobranoc państwu.

- Gdzie pan ją złapał, doktorze? - odezwał się z podłogi Deakin. Wszyscy wybałuszyli na niego oczy. Wiadomo - dzieci i przestępcy głosu nie mają. Pearce uniósł się z fotela, lecz Molyneux dał mu znak, żeby nie wstawał.

- W Indiach, gdzie prowadziłem badania nad tą chorobą - odparł ze smutnym uśmiechem. - Bardzo gruntowne badania. Dlaczego pan pyta? - Przez ciekawość. Kiedy?

- Jakies osiem, dziesięć lat temu. Ale dlaczego pan pyta?

- Słyszał pan chyba, jak szeryf czytał list gończy? Znam się co nieco na medycynie, więc jestem ciekawy. Po prostu.

Przez dłuższą chwilę Molyneux wpatrywał się w Deakina z dziwnym napięciem. Potem szybko skinął głową towarzystwu i wyszedł.

- Nieprzyjemna historia z tą epidemią - stwierdził Pearce z zadumą. - Ilu zmarło według ostatnich informacji, pułkowniku? Myślę o żołnierzach z garnizonu.

Claremont zerknął pytająco na O'Briena, który, jak zwykle szybki i autorytatywny, odparł:

- Według ostatnich danych - a otrzymaliśmy je mniej więcej sześć godzin temu - zmarło piętnastu. Cały garnizon liczy siedemdziesięciu sześciu żołnierzy. Nie wiemy, ilu dokładnie zachorowało, ale Molyneux, który ma w tych sprawach wielkie doświadczenie, na podstawie liczby zgonów ocenia, że choruje między dwie trzecie a trzy czwarte garnizonu.

- Czyli że do obrony fortu zdolnych jest nie więcej niż piętnastu ludzi? - spytał Pearce.

- To całkiem możliwe.

- Wymarzona okazja dla Białej Ręki. Gdyby tylko o tym wiedział. - Dla Białej Ręki? Tego krwiożerczego wodza Pajutów? - Widząc potakujący gest szeryfa, O'Brien potrząsnął głową. - Rozpatrywaliśmy taką możliwość, ale odrzuciliśmy ją. Wszyscy wiemy, jak obsesyjnie Biała Ręka nienawidzi białych, a zwłaszcza kawalerii Stanów Zjednoczonych, ale wiemy też, że nie brakuje mu rozumu. Inaczej wojsko albo - w tym miejscu major pozwolił sobie uśmiech - nasi nieustraszeni stróże prawa już dawno dobraliby mu się do skóry. Jeżeli Biała Ręka wie, że Fort Humboldta jest tak beznadziejnie osłabiony, to zna również przyczynę i będzie unikał fortu jak zarazy. - Kolejny uśmiech, tym razem chłodny. - Przepraszam, to nie miało być dowcipne.

- A mój ojciec? - zapytała Marika drżącym głosem. - Nie. O nim na razie cisza.

- To znaczy...

- Przykro mi. - O'Brien delikatnie dotknął jej ramienia. - To znaczy, że wiem na ten temat tyle samo co pani.

- Piętnaście dusz Bóg powołał do siebie J- odezwał się Peabody grobowym głosem. - Ciekawe, ile jeszcze zabierze przed świtem.

- O świcie się dowiemy - stwierdził szorstko Claremont, który błyskawicznie utwierdzał się w przekonaniu, że pastor nie jest akurat tym, kogo chciałby mieć pod ręką w takiej chwili.

- Dowiemy się? - Prawa brew Pearce'a znów powędrowała nieznacznie w górę. - A to w jaki sposób?

- Bardzo prosty. Mamy ze sobą przenośny telegraf. Połączymy go kablem z drutami biegnącymi wzdłuż toru i w ten sposób uzyskamy łączność na całej linii, poczynając od fortu na zachód od Reese City, aż po Ogden na wschodzie - wyjaśnił Claremont i spojrzął na odwróconą od nich Marikę. - Opuszcza nas pani, panno Fairchild?

- Jestem.. jestem zmęczona - wytłumaczyła się i uśmiechnęła blado. - To nie pańska wina, pułkowniku, że nie jest pan zwiastunem dobrych wieści. - Wychodząc, przystanęła w drzwiach i zatrzymała wzrok na więźniu. Przez dłuższą chwilę przyglądała mu się z namysłem, po czym odwróciła się gwałtownie do szeryfa. - Czy ten biedak w ogóle nie dostanie jeść ani pić?

- Biedak! - Jawna pogarda w głosie Pearce'a odnosiła się do Deakina, a nie do dziewczyny. - Może powtórzy to pani rodzinom tych, którzy spalili się w Lake's Crossing? Póki co, ten łotr jest

aż za dobrze odkarmiony. Przeżyje.

- Ale nie zostawi go pan chyba związanego na całą noc?

- I owszem, tak właśnie zrobię. - Ton szeryfa wskazywał, że jest to decyzja nieodwołalna. - Rozwiążę go rano.

- Rano?!

- Właśnie. I to wcale nie z powodu nagłego przyływu uczuć do naszego ptaszka. Będziemy już wtedy tak głęboko na terytorium wroga, że nie odważy się uciekać. Samotny biały, bez konia i broni, nie przetrzyma wśród Pajutów nawet dwóch godzin. Dwuletnie dziecko potrafiłoby go wytropić na tym śniegu, a zresztą i tak albo zginąłby z głodu, albo zamarznął na śmierć. Szanowny pan John Deakin pod wieloma względami stanowi dla nas zagadkę, to prawda, ale na własne oczy widzieliśmy, jak dba o swoją skórę.

- A więc będzie tu leżał i cierpiał przez całą noc?

- To morderca, podpalacz, złodziej, oszust, a na dodatek tchórz - tłumaczył cierpliwie szeryf. - Zupełnie nie nadaje się na obiekt pani litości.

- A pan zupełnie nie nadaje się na obrońcę prawa, panie Pearce! - Sądząc po zdumionych minach słuchaczy, gwałtowny wybuch dziewczyny był do niej zgoła niepodobny. - A może pan nie zna prawa? Nie, stryju, nie będę cicho. Prawo amerykańskie mówi wyraźnie: ten, komu nie udowodniono winy, jest niewinny. Ale pan Pearce zdążył już osądzić i skazać tego człowieka i prawdopodobnie powiesi go na pierwszym drzewie, jakie mu się nawinie. Prawo! Niech mi pan pokaże takie prawo, które upoważnia pana do traktowania kogokolwiek jak wściekłego psa!

I zakręciwszy długą spódnicą, zagniewana Marika opuściła przedział. - A ja myślałem, Nathan, że prawo nie jest i obce - rzucił O'Brien z kamienną twarzą.

Pearce zerknął na niego spode łba, uśmiechnął się ponuro i sięgnął po szklanę.

Ciężkie, ołowiane chmury zaciągnęły niebo od zachodu. Na tym złowieszczym tle rysowały się mgliście białe szczyty dalekich gór. Sosny na zboczach doliny, przez którą wzdłuż meandrów częściowo zamarzniętej rzeki prowadziły tory kolejowe, były już pokryte śniegiem. Pociąg z trudem wpełzał na stromy stok, w siarczysty mróz i lodowatą ciemność gór.

Trudno o bardziej jaskrawy kontrast niż warunki panujące na dworze i w pociągu, lecz Deakin, zostawiony samopas w przedziale dziennym, nie potrafił się z tego cieszyć. Na głowie miał daleko ważniejsze sprawy niż rozkoszowanie się ciepłym piecyka lub łagodnym blaskiem jedynej, zwisającej z sufitu lampy naftowej. Wciąż leżał na boku. Po raz kolejny bezskutecznie spróbował zrzucić więzy, które krępowały mu ręce na plecach, lecz skrzywił się tylko z bólu i zrezygnował równie nagle, jak zaczął.

Nie tylko on czuwał tej nocy w wagonie gubernatora. Marika siedziała na wąskim łóżku, zajmującym ponad połowę maleńkiej sypialni, w zamyśleniu przygryzając dolną wargę i popatrując z wahaniem na drzwi. Jej myśli skupiały się na tym samym problemie, który zaprzętał Deakina

na niewygodnym położeniu, w jakim się znalazł. Podjąwszy decyzję, dziewczyna wstała raptownie, otuliła się szalem i wymknęła cicho na korytarz, bezszelestnie zamykając za sobą drzwi.

Przyłożyła ucho do drzwi sąsiedniej sypialni i stwierdziła, że cisza nie jest tam w cenie: stentorowe pochrapywanie gubernatora stanu Nevada świadczyło niezbicie, że wszelkie zmartwienia postanowił on odłożyć do rana. Zadowolona z takiego stanu rzeczy Marika podeszła do drzwi przedziału dziennego, otworzyła je i zamknęła za sobą. Popatrzyła na leżącego Deakina, który z kamienną twarzą odwzajemnił jej spojrzenie.

- Jak pan się czuje? - zapytała, starając się, żeby wypadło to chłodno i spokojnie.

No, no... - Deakin przyjrzał jej się z niejakim zainteresowaniem. - Czyżby bratanica gubernatora nie

była jednak taką mimozką, na jaką wygląda? Wie pani, co by z panią zrobił gubernator, pułkownik, albo taki Pearce, gdyby tu panią zastał?

- Nie wiem, ale chętnie posłucham - odcięła się zgryźliwie. - nie sędzę, panie Deakin, żeby pańska sytuacja upoważniała pana do ostrzegania czy pouczenia innych. Chciałabym też panu przypomnieć, że świat sto lat temu i dzisiaj to dwie różne rzeczy. Potrafię radzić sobie w życiu, nawet jeśli nie jest usłane różami. Pytałam, jak pan się czuje.

- Ano właśnie... nie ma to jak kopać leżącego - odparł Deakin z westchnieniem. - Czuję się wspaniale. Nie widać? Zawsze śpiam w takiej pozycji.

- Pańskie sarkastyczne uwagi wcale mnie nie bawią - odparowała zimno. - Wygląda na to, że tracę

tylko czas. Przyszłam zapytać, czy czegoś panu nie potrzeba.

- Przepraszam. Bez urazy. John Deakin nie jest w najlepszej formie. A wracając do pani propozycji... słyszała pani chyba, co powiedział szeryf? Nade mną nie warto się litować.

- To, co mówi szeryf, jednym uchem wpuszczam, a drugim wypuszczam. - Nie bacząc na jego lekkie zdziwienie i coraz większe zainteresowanie, ciągnęła: - W kuchni zostało trochę jedzenia.

- Straciłem apetyt. Ale dziękuję. - A może chce pan się napić?

- Czy mnie uszy mylą? Nareszcie! - Uniósł się z trudem, a po chwili siedział już prosto. - Patrząc przez cały wieczór, jak inni piją, to średnia przyjemność. Mogłaby mi pani rozwiązać ręce? Nie lubię, jak mnie karmią łyżką.

- Czy mogłabym... pan mnie uważa za wariatkę? Jeżeli rozwiążę panu ręce, to... to...

- Obejmę panią za śliczną szyjkę? - Nie speszony lodowatym milczeniem dziewczyny ani tym, że przeszywa go wzrokiem, wlepił oczy w jej szyję. - A jest naprawdę śliczna. Ale nie w tym rzecz. Wątpię, czy w tej chwili dałbym radę objąć szklanekę whisky. Widziała pani moje ręce?

Odwrócił się i pokazał jej sine, niemal groteskowo spuchnięte dłonie. Sznur wrzynał się głęboko w obrzmiałe nadgarstki.

- Przyzna pani, że cokolwiek o nim mówić, szeryf z zapalem wypełnia obowiązki.

Marika zacisnęła usta. W jej oczach mieszały się gniew i współczucie. - Obiecuje pan, że...

- Teraz ja panią zapytam: czy pani mnie uważa za wariata? Boi się pani, że ucieknę? Kiedy dookoła roi się od Pajutów? Dziękuję, to już wolę zaryzykować szklaneczkę bimbrowego gubernatora.

Zaryzykował jednak dopiero pięć minut później. Rozwiązanie więzów zajęło dziewczynie najwyżej minutę, ale Deakin potrzebował aż czterech, żeby pokuśtykać do najbliższego fotela i przywrócić zdrętwiałym dłoniom krążenie krwi. Mimo rozdzierającego bólu, na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. - Myślę, że John Deakin jest o wiele twardszy niż się wszystkim wydaje - stwierdziła Marika, obserwując go uważnie.

- Dorosłemu mężczyźnie nie uchodzi wyć z bólu w obecności kobiety - odparł zginając i rozprostowując palce. - Zdaje się, że coś pani wspominała o picciu, panno Fairchild.

Dała mu szklanekę whisky. Jednym haustem wypił połowę, westchnął z zadowoleniem, odstawił szklanekę na podręczny stolik i zaczął roz

wiązywać pęta na nogach. Marika zerwała się rozwścieczona, z zacisniętymi pięściami. Znieruchomiała na mgnienie oka, po czym wybiegła z przedziału. Kiedy wróciła po kilku sekundach,

Deakin wciąż jeszcze zmagał się ze sznurem. Spojrzał z dezaprobatą na wycelowany w siebie mały, lecz groźnie wyglądający pistolet, którego kolbę zdobiła masa perłowa.

- Po co to pani nosi? - zapytał.

- Stryj powiedział, że gdybym wpadła w ręce Indian... - umilkła, a wściekłość znów wykrzywiła jej twarz. - A żeby pan pękł! Obiecał pan...

- Kiedy ktoś jest mordercą, podpalaczem, złodziejem, oszustem, a na dodatek tchórzem, to nic dziwnego, że okazuje się także kłamcą. Szczerze mówiąc, byłaby pani skończoną idiotką, gdyby się pani tego nie spodziewała.

Zrzucił pęta z nóg, wstał chwiejnie i zrobiwszy dwa kroki w jej kierunku, od niechcenia odebrał jej pistolet, zupełnie jak gdyby wiedział, że ona i tak do niego nie strzeli. Popchnął ją łagodnie na fotel, pistolet zostawił jej na kolanach i kuśtykając wrócił na swoje miejsce. Gdy siadał, po twarzy przemknął mu grymas bólu.

- Spokojnie, panienko. Tak się składa, że nigdzie się nie wybieram. Mam drobne kłopoty z krążeniem. Chce pani zobaczyć, jak wyglądają moje nogi?

- Nie! - Dziewczyna wprost kipiała z gniewu, zła na siebie za brak stanowczości.

- Prawdę mówiąc, ja też nie mam ochoty ich oglądać. Czy pani matka żyje? - zapytał nagle.

- Czy moja... - Nieoczekiwane pytanie zupełnie wytrąciło ją z równowagi. - A cóż panu do tego?

- Próbuję tylko podtrzymać rozmowę. Wie pan, jakie to trudne, gdy dwoje ludzi spotyka się po raz pierwszy. - Znów wstał i ze szklanką w ręku zaczął krążyć po przedziale. - Więc jak, żyje?

- Tak - odparła krótko.

- Ale nie czuje się najlepiej?

- Skąd pan wie? A w ogóle, co to pana obchodzi?

- Nic mnie to nie obchodzi. Po prostu toczy mnie robak ciekawości. - Cóż za wyszukane słowa! - Trudno powiedzieć, czy Marika potrafiła parsknąć szyderczo, choć tym razem prawie jej się to udało. - Doprawdy, niezwykle wyszukane, panie Deakin.

- Swego czasu wykładałem na uniwersytecie. Studentów należy utwierdzać w przekonaniu, że nauczyciel jest bystrzejszy od nich, więc wyrażałem się górnolotnie. No i tak. Pani matka nie czuje się

najlepiej. To oczywiste, bo inaczej to żona, a nie córka jechałaby teraz do komendanta fortu. Ale, na

zdrowy rozum, pani miejsce powinno być przy chorej matce. Poza tym wydaje mi się co najmniej dziwne, że zgodzili się na pani wyjazd akurat teraz, kiedy w forcie panuje cholera, a Indianie się buntują. Pani to nie dziwi, panno Fairchild? Widocznie pani ojciec ma jakieś niezwykle pilne i ważne powody, żeby ściągać panią do siebie, chociaż Bóg jeden wie jakie. Zaprosił panią listownie?

- Nie muszę odpowiadać na pańskie pytania - odparła, lecz widać było, że jest nimi zaintrygowana.

- Wymieniając moje rozliczne wady szeryf nie wspomniał, że na domiar złego jestem natrętny i bezczelny. Więc jak, listownie? Oczywiście, że nie. Nadał telegram. Pilne wiadomości zawsze przesyła się telegraficznie. - Nagle zmienił temat. - Ten pani stryj, pułkownik Claremont i major O'Brien... dobrze ich pani zna?

- No wie pan! - Marika gniewnie zacisnęła usta.. - Tego już za wiele...

- W porządku, nie ma o czym mówić. - Deakin opróżnił szklanekę, usiadł i zaczął związywać sobie nogi w kostkach. - To wszystko, co chciałem wiedzieć. - Wstał, podał dziewczynie drugi sznur i odwrócił się do niej tyłem, splatając ręce na plecach. - Można panią prosić... ale tym razem nie tak mocno.

- A skąd ta nagła troska o mnie, to zainteresowanie? - spytała powoli. - Myślałam, że ma pan dość własnych zmartwień i kłopotów... - Ażebyś wiedziała, że mam, moja droga. I dlatego staram się myśleć o czym innym. - Zacisnął powieki, gdy sznur wpił mu się w piekące nadgarstki. - Hej, ostrożnie! - zaprotestował.

W milczeniu zawiązała ostatni supeł, pomogła mu usiąść, a później położyć się, i wyszła bez słowa. W sypialni cicho zamknęła za sobą drzwi i patrząc przed siebie pustym wzrokiem długo siedziała na łóżku, nieruchoma i zamyślona.

Równie zamyślony Banlon w oświetlonej czerwonym blaskiem kabiny maszynisty z jednakową uwagą obserwował przyrządy kontrolne, szyny i horyzont. Zwały czarnych, przesuwających się szybko na wschód chmur zasnuły dobrze ponad pół nieba. Wszystko wskazywało na to, że już wkrótce ciemność pogłębi się na tyle, na ile to możliwe w okolicy, gdzie szczyty gór, wierzchołki sosen, a nawet samą ziemię pokrywa biały dywan.

Palacz Jackson - nienaturalnie chudy, o ciemnej cerze i z twarzą przeciętą od uszu aż po czubek nosa dwiema głębokimi bruzdami - był niemal sobowtórem Banlona. Mimo dotkliwego chłodu, splotywał potem. Utrzymanie kotła pod parą, nieodzowne na tak stromym podejździe, pochłaniało opał w takim tempie, że z trudem nadażał dorzucać do przepastnego brzuszyska pieca. Czuł się sprowadzony do roli niewolnika, który haruje dla nader wymagającego pana. Nałożył ostatnią porcję drewna na rozżarzone palenisko, otarł twarz brudną szmatą i zatrzasnął drzwiczki pieca. Na pomoście lokomotywy natychmiast zapanował półmrok.

Banlon odsunął się od okna i podszedł do przyrządów kontrolnych. Nagle rozległ się głośny,

metaliczny i wyraźnie złowieszczy stukot. Maszynista posłał wiązaną niecenzuralnych słów pod adresem źródła tego dźwięku.

- Co się stało?! - spytał ostro Jackson.

Banlon nie odpowiedział. Gwałtownie szarpnął za hamulec i wkrótce rozległ się zgrzyt, pisk i łoskot zderzających się buforów, gdy pociąg zwolnił bieg i stanął. Z wyjątkiem związanego Deakina wszyscy - a więc i ci nieliczni, którzy nie spali, i ci brutalnie wyrwani ze snu awaryjnym hamowaniem - rozpaczliwie starali się czegoś przytrzymać. Nie brakowało też takich, którzy zmorzeni twardym snem obudzili się na podłodze, bezceremonialnie wyrzuceni z łóżek.

- Znów ten cholerny regulator pary! - warknął Banlon. - Pewnie puściła nakrętka. Zadzwon na Devlina, niech hamuje z całych sił. - Zdjął z haka niewielką lampę naftową i przyjrzał się z bliska sprawcy przestoju. - I otwórz piec..., więcej światła dają robaczki świętojańskie niż to draństwo!

Jackson wykonał polecenia i wychylił się przez okno.

- Ciągnie tu kupa chłopa - oświadczył. - Ale szczęśliwych to ukoś nie widzę.

- A czego się spodziewał? - odburknął maszynista. - Delegacji, która nam podziękuje za uratowanie życia? - Wyrzał przez okno po swojej stronie. - Z tej też leci paru szczęśliwych.

A jednak nie wszyscy biegli w tę samą stronę. W ciemności zamajaczyła biała sylwetka człowieka, który wyskoczył z pociągu, rozejrzał się szybko, przemknął chyłkiem na pobocze toru i zsunął się z nasypu. Wcisnął na uszy dziwną spiczastą czapkę z szopów i brzegiem rzeki pobiegł na tyły pociągu.

Pułkownik Claremont, mimo iż od niedawna wyraźnie utykał - należał bowiem do tych, którzy spali snem sprawiedliwego i jego biodro gwałtownie nawiązało bezpośredni kontakt z podłogą

jako pierwszy dopadł kabiny maszynisty i nie bez trudu wgramolił się na pomost.

- Co wy sobie, u diabła, myślicie, Banlon, straszac nas w ten sposób?!

- Przepraszam, pułkowniku. - Ton głosu maszynisty był bardzo formalny, bardzo poprawny i nienaganny. - Ale zarządzenia firmy na wypadek awarii są jednoznaczne. Zepsuł się regulator. Nakrętka...

- Mniejsza o szczegóły. - Claremont ostrożnie pomasażował obolałe biodro. - Ile wam zajmie naprawa? Pewnie całą noc, jak was znam? Banlon, jak przystało na prawdziwego fachowca, uśmiechnął się z wyższością.

- Najwyżej pięć minut - odparł.

Gdy maszynista sprawdzał w praktyce swoją fachowość, człowiek w czapce z szopów dobiegł do słupa telegraficznego, zatrzymał się raptownie i obejrzał za siebie. Od końca pociągu dzieliło go co najmniej pięćdziesiąt metrów. Zadowolony z takiego stanu rzeczy, wyciągnął długi pas, przypiął się nim do słupa i szybko zaczął się wspinać. Na szczycie wyjął z kieszeni obcęgi, przeciął druty po przeciwnej niż pociąg stronie izolatorów i zsunął się na ziemię prawie równocześnie ze spadającymi drutami.

Na pomoście lokomotywy Banlon wyprostował się z kluczem francuskim w ręku.

- Gotowe? - spytał pułkownik.

Maszynista uniósł czarną od brudu dłoń, by ukryć szerokie ziewnięcie.

- Gotowe - potwierdził.

- Jesteście pewni, że dacie radę prowadzić całą noc? - spytał Claremont, przenosząc część swojej troskliwości z obolałego biodra na maszynistę.

- Gorąca kawa postawi nas na nogi. Możemy ją sobie zaparzyć w kabinie, mamy tu wszystko co trzeba. Ale gdyby tak jutro znalazł pan kogoś na moje miejsce... i Jacksona...

- Postaram się. - Szorstki ton pułkownika nie wynikał z niechęci do maszynisty, lecz z tego, iż ból w nodze znów dał o sobie znać, pochłaniając całą jego uwagę. Claremont zszedł sztywno na ziemię, cofnął się wzdłuż torów i równie sztywno wgramolił się po żelaznych schodkach do pierwszego wagonu. Pociąg ruszył powoli.

Na nasypie po prawej stronie przyspieszającego pociągu człowiek w czapce z szopów rozejrzał się, rozpędził i wskoczył na stopnie trzeciego wagonu.

Rozdział czwarty

Wstał świt. Późny świt, tak typowy dla schyłku jesieni i dużych wysokości. W przeciwieństwie do poprzedniego wieczoru szczyty dalekich gór były niewidoczne, choć teraz dzieliła je od pociągu znacznie mniejsza odległość. Szare, nieprzejrzyste niebo na zachodzie wskazywało, że pada tam śnieg, a sądząc po łagodnym falowaniu ośnieżonych wierzchołków sosen, poranny wiatr stale się wzmacniał. Stojące wody w rozlewiskach na obu brzegach rzeki ściał lód, który niemal zbiegał się pośrodku nurtu. W górach zima była już za pasem.

W przedziale dziennym dla oficerów Henry kończył rozpalać piecyk, gdy z korytarza wszedł Claremont. Pułkownik minął śpiącego na podłodze Deakina, jak gdyby go tam nie było, i dziarsko zatarł ręce. Po jego utykaniu z ubiegłej nocy nie zostało ani śladu.

- Zimno dziś, Henry.

- Jeszcze jak. Podać śniadanie? Carlos już wszystko przygotował. Claremont podszedł do okna, odsunął zasłonę, przetarł zaparowaną szybę i wyjrzał bez entuzjazmu. Potrząsnął głową.

- Później. Wygląda na to, że pogoda się psuje. Zanim spaskudzi się na dobre, chciałbym połączyć się z Reese City i Fortem Humboldta. Zawołaj telegrafistę Fergusona, dobrze? Powiedz mu, żeby tu przyszedł ze sprzętem.

Henry ruszył do drzwi, lecz usunął się na bok, by przepuścić gubernatora, O'Briena i Pearce'a. Szeryf podszedł do Deakina, potrząsnął nim bez pardonu i zaczął rozwiązywać mu ręce.

- Dzień dobry, witam panów. - Claremont jak zwykle promieniował energią. - Właśnie mam zamiar wyrwać ze snu Fort Humboldta i Reese City. Telegrafista zaraz tu będzie.

- Zatrzymać pociąg, pułkowniku? - spytał O'Brien.

- Jeśli pan łaskaw.

O'Brien wyszedł na przedni pomost, zamknął za sobą drzwi i pociągnął wiszący nad głową sznur. Kilka sekund później Banlon wychylił się ze swojej kabiny i spojrzał do tyłu. Widząc, że major unosi i opuszcza prawą rękę, pomachał w odpowiedzi i zniknął. Pociąg zaczął zwalniać. O'Brien wrócił do przedziału dziennego, zabijając ręce.

- Chryste Panie, ależ ziąb na dworze!

- Lekki przymrozek tylko dodaje animuszu, mój drogi - dociął mu serdecznie Claremont, który nie wystawił jeszcze nosa za drzwi. Popatrzył, jak Deakin masuje obolałe ręce, i spojrzał na Pearce'a. -

Gdzie go pan chce ulokować, szeryfie? Może wezwać Bellewa, żeby trzymał nad nim straż?

- Z całym szacunkiem dla sierżanta, pułkownika, mając do czynienia z takim specjalistą od zapalek, nafty i materiałów wybuchowych - a zdziwiłbym się, gdybyśmy ich nie wieźli, w końcu to pociąg wojskowy - wolę sam mieć na niego oko.

Claremont skinął tylko głową, bo do przedziału zapukali i weszli dwaj żołnierze. Telegrafista Ferguson niósł składany stolik, zwój kabla i małą teczkę z przyborami do pisania. Za nim młody żołnierz o nazwisku Brown taszczył olbrzymi aparat telegraficzny.

- Dajcie znać, jak będziecie gotowi - rzekł pułkownik.

Ferguson był gotów dwie minuty później. Siedział na oparciu kanapy, mając przed sobą telegraf, którego kabel wychodził przez minimalnie uchylone okno. Claremont wytarł chusteczką zaparowaną szybę i wyjrzał. Kabel biegł na szczyt słupa telegraficznego, gdzie siedział przypięty pasem Brown. Żołnierz skończył majstrować przy drutach, odwrócił się i machnął ręką.

- W porządku, najpierw z fortem - rozkazał pułkownik.

Ferguson trzy razy pod rząd wystukał sygnał wywoławczy. Prawie natychmiast z jego słuchawek doleciały słabe trzaski alfabetu Morse'a. Telegrafista zdjął słuchawki.

- Za moment, pułkowniku - rzekł. - Szukają pułkownika Fairchilda. Do przedziału weszła Marika, której deptał po piętach wielebny Peabody. Pastor miał tradycyjnie grobową minę. Wyglądało na to, że spędził bezsenną noc. Marika zerknęła obojętnie na Deakina i spojrzała pytająco na stryja.

- Mamy łączność z Fortem Humboldta, moja droga - powiedział gubernator. - Za chwilę powinniśmy dostać najświeższe wiadomości.

W słuchawkach znów rozległ się cichy stukot sygnałów Morse'a. Ferguson szybko i starannie zapisał, treść depeszy, wyrwał kartkę z notesu i podał ją Claremontowi..

Tymczasem w sali telegraficznej w Forcie Humboldta, do którego pociąg miał jeszcze ponad dzień drogi przez góry, znajdowało się ośmiu ludzi. Pierwsze skrzypce niewątpliwie grał mężczyzna rozparty na krześle obrotowym, z nogami na krytym skórą blacie wspaniałego biurka z mahoniem. Niepotrzebne ostrogi przy brudnych butach do jazdy konnej sponiewierały skórę, ale nie przeszkadzało mu to w najmniejszym stopniu. Jego powierzchowność ze wszech miar usprawiedliwiała wrażenie, że osobnik ten nie zalicza się do estety. Nawet gdy siedział, widać było, że jest wysoki, gruby i barczysty. Rozchylone poły wyświechtanej kurtki z sarniej skóry ukazywały nisko zwisający pas, obciążony parą coltów typu „Peacemaker”. Nad kurtką, a pod stetsonem, przy którym wyglądała ona jak gdyby wciąż jeszcze przeżywała pierwszą młodość, wydatne kości policzkowe, haczykowany nos, zimne bladoszare oczy i tygodniowy zarost pokrywający ogorzałą twarz pozwalały sądzić, że oto ma się przed sobą bezlitosnego bandytę - i rzeczywiście, trudno o trafniejsze określenie dla Seppa Calhouna.

Z boku biurka siedział mężczyzna w mundurze kawalerzysty Stanów Zjednoczonych, a nieco dalej, koło telegrafu, jeszcze jeden żołnierz. Calhoun spojrzał na tego przy biurku.

- Jazda, Carter, sprawdź, czy Simpson naprawdę nadał to, co mu kazałem - polecił. Carter łypnął na niego spode łba i podał mu depezę. - „Trzy dalsze zachorowania - odczytał bandyta. - Nikt więcej nie umarł. Mamy nadzieję, że epidemia przekroczyła już punkt krytyczny. Podajcie spodziewany czas przyjazdu”. - Spojrzał na radiotelegrafistę. - Kto ma dobrze poukładane w głowie, ten nie próbuje przedobrzyć, co, Simpson? Ty wiesz, że żaden z nas nie może sobie pozwolić na błąd.

W przedziale dziennym pułkownik Claremont przeczytał na głos tę samą depezę i odłożył kartkę.

- No proszę, a jednak dobre wieści - powiedział. - Spodziewany czas przyjazdu? - Zerknął na O'Briena. - W przybliżeniu?

- Z jedną lokomotywą, która ciągnie tyle wagonów? - Major zastanowił się. - Myślę, że za jakieś trzydzieści godzin, pułkowniku. Mogę jeszcze zapytać Banlona.

- Nie ma potrzeby. To wystarczy. - Claremont odwrócił się do Fergusona. - Słyszeliście? Odpowiedzcie im..

- A mój ojciec... - wpadła mu w słowo Marika.

Ferguson pokiwał głową i nadał depezę. Wysłuchał odpowiedzi, zsunął słuchawki i podniósł wzrok.

- „Oczekujemy was jutro po południu - rzekł. - Pułkownik Fairchild zdrowy”.

Marika uśmiechnęła się z ulgą, a Pearce zwrócił się do telegrafisty: - Moglibyście zawiadomić pułkownika, że jadę aresztować Seppa Calhouna?

W sali telegraficznej w Forcie Humboldta Sepp Calhoun także się uśmiechał, chociaż z zupełnie innego powodu. Ani myślał kryć złośliwego rozbawienia w oczach, gdy podawał blankiet telegraficzny wysokiemu, szpakowatemu pułkownikowi kawalerii o siwych wusach.

- Jak babcię kocham, pułkowniku Fairchild, to przechodzi ludzkie pojęcie! Przyjeżdżają aresztować poczciwego Seppa Calhouna! I cóż ja biedny teraz pocznę?

Pułkownik Fairchild w milczeniu przeczytał depezę. Jego twarz była bez wyrazu. Z pogardą rozchylił palce i upuścił kartkę na podłogę. Calhoun zwęził oczy, lecz zaraz odprężył się i uśmiechnął. Mógł sobie na to pozwolić. Spojrzał na czterech mężczyzn stojących przy drzwiach - dwóch białych obdartusów i dwóch równie niechlujnych Indian. Wszyscy czterej mieli w rękach strzelby wycelowane albo w Fairchilda, albo w któregoś z obu żołnierzy.

- Nasz pułkownik pewnie głodny - rzekł bandyta. - Odprowadźcie go, niech dokończy śniadanie.

- A teraz połączcie się z telegrafistą na stacji w Reese City - polecił Claremont. - Dowiedzcie się, czy ma dla nas jakieś informacje na temat kapitana Oaklanda i porucznika Newella.

- Ze stacją, pułkowniku? - odparł Ferguson. - To pewnie z zawiadowcą. W Reese City nie ma już telegrafisty. Ponoć wyjechał jakiś czas temu do Bonanzy.

- A niech tam, może być z zawiadowcą.

- Tak jest. - Ferguson zawahał się. - Powiadają, pułkowniku, że rzadko kiedy można go złapać na stacji. Zdaje się, że zwykle przesiaduje w hotelu „Imperial.

- W każdym razie spróbujcie.

Ferguson spróbował. Wystukał sygnał wywoławczy dobre dziesięć razy, zanim podniósł wzrok.

- Zdaje się, że nic z tego nie będzie, pułkowniku.

- Może powinni przenieść telegraf do hotelu - O'Brien mruknął cicho do Pearce'a, choć sądząc po zaciśniętych ustach pułkownika, wypadło to głośniejsz niż zamierzał. Jednakże Claremont pominął milczeniem uwagę majora.

- Próbuje dalej - rozkazał.

Ferguson próbował, lecz jego słuchawki uparcie milczały. Potrząsnął głową i spojrzał na swego dowódcę.

- Nikt nie odbiera po drugiej stronie, tak? - uprzedził go Claremont.

- Nie pułkowniku, nie w tym rzecz. - Telegrafista był autentycznie zdziwiony. - Linia jest uszkodzona. Zerwana. Prawdopodobnie wysiadł jakiś przekaźnik.

- Nie rozumiem, jak to możliwe. Śnieg nie pada, wiatru prawie nie ma... a zresztą wczoraj wszystko było w porządku, kiedy w Reese City łączyliśmy się z fortem. Próbuje dalej, a my tymczasem zjemy śniadanie. - Claremont zamilkł, zerknął bez entuzjazmu na Deakina i spojrzał pytająco na szeryfa. - A ten przestępca? Houston? Chyba nie musi jeść razem z nami?

- Deakin, a nie Houston - sprostował więzień.

- Stul pysk! - warknął na niego Pearce i zwrócił się do pułkownika: - Jeśli o mnie chodzi, to może zdechnąć z głodu, ale niech siedzi przy moim stole... oczywiście jeżeli wielebny i doktor nie mają nic przeciwko temu. - Rozejrzał się. - Widzę, że nasz doktorek nie należy do rannych ptaszków. - Szarpnął Deakina za ramię. - Jazda!

Przy śniadaniu wszyscy siedzieli tak samo, jak poprzedniego dnia wieczorem, z tą tylko różnicą, że

miejsce doktora zajął Deakin. Obok niego Peabody ciężko przeżywał tę zamianę - bez przerwy zerkał na więźnia ukradkiem, z miną sługi bożego, który w każdej chwili spodziewa się ujrzeć rogi, widlasty ogon i kopytka. Natomiast Deakin nie zwracał na niego uwagi - jak przystało na człowieka, którego przemocą odsunięto od rozkoszy stołu, skoncentrował się bez reszty na zawartości swojego talerza.

Claremont skończył jeść, oparł się wygodnie i skinął głową na Henry'ego, by dolał mu kawy. Następnie zapalił krótkie cygaro i rzucił okiem na sąsiedni stolik.

- Coś mi się widzi, że doktorowi niełatwo będzie się przyzwycząić do wstawania na śniadanie razem z wojskiem - stwierdził i pozwolił sobie na rzadki u niego chłodny uśmiech.

- Obudź go, Henry. - Odwrócił się na krześle i zawołał: - Ferguson!

- Bez zmian, pułkowniku. Nic. Cisza na linii.

Przez chwilę Claremont w rozterce bębnił palcami po stole. W końcu podjął decyzję. . '

- Rozmontujcie sprzęt! - krzyknął w głąb korytarza i odwrócił się do reszty towarzystwa. - Ruszamy jak tylko skończy. Majorze, czy byłby pan tak dobry...

Nagle przerwał, zaskoczony widokiem Henry'ego, który zapomniawszy o miarowym kroku, jaki powinien cechować kelnera, jak bomba wpadł do jadalni. Wytrzeszczone oczy służącego odzwierciedlały strach malujący się na jego długiej, ponurej twarzy.

- Na miłość boską, Henry, co się stało?!

- On nie żyje, pułkowniku! Leży tam martwy! Doktor Molyneux!

- Nie żyje? Doktor nie żyje?! Jesteś... jesteś pewny, Henry? Dotykałeś go?

Henry skinął głową, wzdrygnął się i wskazał kciukiem okno.

- Jest zimny jak ten lód na rzece - wyjąkał. Usunął się na bok, by przepuścić O'Briena. - Mnie się zdaje, że to serce, pułkowniku. Wygląda tak, jakby odszedł we śnie.

Claremont wstał i zaczął krążyć po ciasnej jadalni.

- Mój Boże! To straszne, straszne. - Niezależnie od szoku na wiadomość o zgonie Molyneux, przerażała go myśl o tym, co niesie ze sobą śmierć lekarza. Jego obawy wyraził słowami wielebny Peabody:

- W pełni życia... - Jak na kogoś o posturze niedożywnego stracha na wróble, pastor wyróżniał się nadzwyczaj głębokim, grobowym głosem, który dobywał się niczym z czeluści mogiły. - To

straszne, pułkownika, straszne, odejść tak w sile wieku, ale o ile straszniejsze dla wszystkich tych chorych i umierających nieszczęśników w forcie, których życie zależy tylko i wyłącznie od niego! O, gorzka ironio losu! Życie jest tylko chodzącym cieniem. - Sens ostatniego zdania pastora nie był całkiem jasny, za to jasne było, że Peabody nie zamierza go wyjaśnić - złożył tylko ręce, zacisnął powieki i pogrążył się w cichej modlitwie.

Do jadalni wrócił O'Brien. Twarz miał poważną, skupioną. Skinął głową w odpowiedzi na pytające spojrzenie Claremonta.

- Moim zdaniem umarł we śnie, pułkownika. Jak mówi Henry, wygląda to na niespodziewany atak serca i to ciężki. Sądząc po jego twarzy, niczego nie podejrzewał.

- Czy mógłbym rzucić na niego okiem? - zapytał nagle Deakin.

Natychmiast zwróciło się na niego siedem par oczu, w tym wielebny Peabody, który chwilowo powrócił duchem z zaświatów, lecz w niczym wzroku nie było tyle zimnej wrogości, co w spojrzeniu pułkownika Claremonta.

- Wy? A niby po co?

- Może po to, żeby ustalić przyczynę zgonu - wyjaśnił Deakin, wzruszając ramionami. Był swobodny, niemal obojętny. - Wiecie, że kiedyś byłem lekarzem.

- Dyplomowanym?

- Potem odebrano mi prawo do wykonywania zawodu. - Nie dziwota.

- Ale nie za brak kwalifikacji. Ani za naruszenie etyki zawodowej. - Deakin milczał przez chwilę. - Powiedzmy, że z innych powodów. W każdym razie lekarz nigdy nie przestaje być lekarzem.

- Pewnie tak. - Claremont dostatecznie mocno stał na ziemi, by jego pragmatyzm wziął górę nad uczuciami. - No cóż, właściwie to czemu nie? Zaprowadź go, Henry.

Po wyjściu obu mężczyzn w jadalni zapadła głęboka cisza. Tyle słów cisnęło się na usta, lecz dotyczyły spraw zbyt oczywistych, żeby je wypowiadać. Za milczącą zgodą wszyscy unikali nawzajem swojego wzroku i wpatrywali się w bliżej nie określoną przestrzeń. Nawet pojawienie się kelnera z dzbankiem świeżo zaparzonej kawy nie rozwiało grobowej atmosfery, być może dlatego, że Henry na każdym pogrzebie mógłby grać rolę pierwszego żałobnika. Siedem par oczu oderwało się od przestrzeni wraz z powrotem Deakina.

- Atak serca? - zapytał Claremont. Deakin zastanowił się.

- Można to i tak nazwać. Coś w tym rodzaju -- odparł po chwili i zerknął na Pearce'a. - Dobrze się składa, że jest z nami przedstawiciel prawa.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - odezwał się gubernator Fairchild, jeszcze bardziej oszołomiony niż poprzedniego dnia wieczorem. Wyraźnie czymś się trapił, ale też miał po temu aż nadto powodów.

- Ktoś dał doktorowi po głowie, wyjął sondę z jego torby lekarskiej, wprowadził mu ją do klatki piersiowej i pchnął tak, że przebiła serce. Śmierć nastąpiła w zasadzie natychmiast. - Deakin leniwie powiódł wzrokiem po zebranych. - Moim zdaniem sprawcą jest ktoś, komu nie jest obca medycyna, a w każdym razie anatomia. Czy ktoś z państwa wyznaje się na anatomii?

- Cóż wy nam tu, u licha, opowiadacie? - Szorstki ton Claremonta był całkowicie usprawiedliwiony.

- Uderzono go w głowę czymś ciężkim i twardym... na przykład kolbą rewolweru. Nad lewym uchem ma przeciętą skórę. Ale śmierć nastąpiła wcześniej, niż zdążył powstać siniak. Tuż pod żebrami widać maleńkie, sino czerwone nakłucie. Zresztą, sprawdźcie sami.

- To absurd. - Mina pułkownika przeczyła jego słowom, gdyż w głosie Deakina brzmiała niepokojąca pewność siebie. - Czysty absurd!

- Naturalnie. Bo tak naprawdę to sam zadźgał się na śmierć, a potem wyczyścił sondę i schował ją z powrotem do torby. Schludny aż po grób.

- To nie czas na...

- W pociągu jest morderca. Czemu sam pan nie pójdzie sprawdzić? Claremont zawahał się, lecz już po chwili szedł do drugiego wagonu, na czele nieomal pospolitego ruszenia. Nawet wielobny Peabody, choć wylękniony, dreptał niespokojnie na szarym końcu. Deakin został w jadalni sam na sam z Mariką, która siedziała spięta, zaciskając dłonie na kolanach i przyglądając mu się z przedziwnym wyrazem twarzy.

- Morderca! - odezwała się cicho, prawie szeptem. - To pan jest mordercą! Tak twierdzi szeryf, tak podano w liście gończym. To dlatego namówił mnie pan, żebym pana rozwiązała. Żebym potem oswobodzić się i...

- Boże dopomóż! - Deakin ze znużeniem dolał sobie kawy. - Motyw, oczywiście, widać jak na dłoni... Chciałem zająć jego miejsce, więc wstałem i załatwiłem go w środku nocy. Zabiłem go, pozorując śmierć z przyczyn naturalnych, żeby potem udowodnić wszem i wobec, jak naprawdę zginął. A jak już było po wszystkim, zawiązałem się z powrotem, rzecz jasna palcami stóp. - Wstał, podszedł do zaparowanego okna i przetaił szybę. Mijając dziewczynę, pogładził ją delikatnie po ramieniu. - Ja też jestem zmęczony. Pada śnieg. Ściemnia się, wiatr się wzmaga, a za tymi szczytami czai się zamieć. Nie ma mowy o pogrzebie przy takiej pogodzie.

- Nie będzie żadnego pogrzebu. Zabiorą go z powrotem do Salt Lake.

- Co takiego?

- Zabiorą doktora Molyneux z powrotem. I wszystkich, którzy zmarli w Fortcie Humboldta. Taki jest zwyczaj w czasie pokoju. Krewni i przyjaciele, oni... no, chcą przy tym być.

- Ale to przecież potrwa wiele dni, zanim...

- W wagonie z prowiantem jedzie ze trzydzieści pustych trumien - przerwała unikając jego wzroku.

- Naprawdę? A niech mnie... Karawan na szynach!

- Mniej więcej. Powiedziano nam, że wysyłają te trumny do Elko. Ale teraz już wiemy, że jadą tylko do Fortu Humboldta. - Pomimo ciepła panującego w jadalni, dziewczyna zadrżała. - Cieszę się, że nie wracam tym pociągiem... Niech mi pan powie, kto według pana to zrobił?

- Co zrobił? A, myśli paru o doktorze. Naślij jednego mordercę na drugiego, to go złapiesz, tak sobie to pani wyobraża?

- Nie. - Ciemne oczy patrzyły na niego otwarcie. - Nic takiego sobie nie wyobrażam.

- Skoro tak, to cóż... pani tego nie zrobiła i ja też nie. Zostaje więc tylko szeryf i z siedemdziesięciu innych podejrzanych... nie wiem, ilu dokładnie żołnierzy z nami jedzie. O proszę, właśnie niektórzy wracają.

Do jadalni wszedł Claremont, a za nim Pearce i O'Brien. Deakin podchwycił jego wzrok. Pułkownik ciężko skinął głową, równie ciężko opadł na krzesło i bez słowa sięgnął po dzbanek z kawą.

Jak to przewidział Deakin, w miarę upływu czasu sypał coraz gęstszy śnieg. Ponieważ jednak wiatr wzmagął się znacznie wolniej niż śnieżycy, groźba zamieci oddaliła się, choć nie zniknęła.

Pociąg wjechał już w przepiękną scenerię gór. Skończyła się jazda dolinami, wzdłuż meandrów rzek - teraz trasa wiodła przez strome urwiska i tunele, a tam, gdzie wysadzono litą skałę, biegła nad przepaściami opadającymi na dno kanionów.

Marika wyglądała przez względnie czyste okno po zawietrznej, nie po raz pierwszy myśląc sobie, że w tych górach nie ma miejsca dla ludzi o słabym sercu lub podatnych na zawroty głowy. Pociąg, kołysząc się i turkocząc, wjechał właśnie na ażurowy pomost nad zdawałoby się bezdenным przełomem, tak głębokim, że podpory mostu ginęły z widoku w mrocznym, zasypanym śniegiem kanionie.

Pokonawszy most, lokomotywa skręciła na prawo i zaczęła piąć się w górę zboczem stromej doliny. Po lewej górowały ośnieżone sosny, po prawej majaczył kanion. Zaledwie wagon hamulcowy zjechał z mostu, Marika zatoczyła się i niemal upadła, bo pociąg szarpnął i zatrzymał się z piskiem hamulców. Mężczyźni w jadalni nie odczuli aż tak gwałtownie skutków hamowania, z tego prostego powodu, że siedzieli, ale dosadny język Claremonta wyraził uczucia ich wszystkich. W ciągu paru

sekund pułkownik, O'Brien i Pearce wstali, wyszli na tylny pomost pierwszego wagonu i zeskoczyli na pobocze w głęboki po kostki śnieg. Za nimi bez pośpiechu ruszył Deakin

Banlon biegł wzdłuż torów. Jego pomarszczoną twarz wykrzywiało niepokój. Szarpnął się, gdy O'Brien złapał go i zatrzymał.

- Puszczaj pan, na miłość boską! - krzyknął. - On wypadł! - Kto taki?

- Jackson, mój palacz! - Banlon wyrwał się, podbiegł do mostu i zajrzał w mroczną otchłań. Przebiegł jeszcze kilka kroków i znów spojrział w dół. Tym razem pozostał już na miejscu. Przyklęknął i położył się na śniegu. Natychmiast dołączyli do niego pozostali, w tym sierżant Bellew i kilku żołnierzy. Wszyscy ostrożnie wyjrżeli za krawędź mostu.

Dwadzieścia, może dwadzieścia pięć metrów pod nimi na występie skalnym bezwładnie leżał poskręcany człowiek. Dalsze trzydzieści metrów niżej pieniały się ledwie widoczne z mostu wody rzeki.

- No i co, doktorze Deakin? - odezwał się Pearce, kładąc ledwie dostrzegalny, niemniej wyraźny akcent na słowie „doktor.

- On nie żyje - stwierdził sucho Deakin. - Każdy głupi to widzi. - Nie uważam się za głupca, ale jakoś tego nie widzę - odparł łagodnie szeryf. - Być może potrzebna mu jest pomoc lekarska. Zgadza się pan, pułkowniku Claremont?

- Nie mam prawa żądać od tego człowieka...

- Pearce też nie - przerwał mu Deakin. - A jeśli nawet byłbym skłonny opuścić się tam na dół, to jaką mam gwarancję, że on nie postara się, żeby lina pękła? Wszyscy wiemy, co o mnie sędzi, i wiadomo, że po procesie wyląduję na szubienicy. Szeryf zaoszczędziłby sobie masę czasu i kłopotów, gdyby udało mu się tak to urządzić, żebym wylądował już teraz... na dnie przepaści.

- Sześciu moich żołnierzy będzie trzymało linę, Deakin - zachnął się Claremont. - Pan mnie obraża.

- Naprawdę? - Deakin spojrział na niego z namysłem. - Tak, chyba rzeczywiście pana obraziłem. Przepraszam. - Wziął koniec liny, zrobił podwójny węzeł bosmański, wsunął nogi w pętlę i obwiązał się w pasie. - Dajcie mi jeszcze jedną linę.

- Jeszcze jedną? - Wojskowy skrzywił się z dezaprobatą. - Na tej można by podnieść konia.

- Nie myślałem akurat o koniach. Czy zostawiłby pan tam jakiegoś Pókwownika, żeby sępy objadły go do kości? A może tylko kawalerzyści zasługują na przyzwoity pogrzeb?

Claremont przeszył go wściekłym spojrzeniem, okręcił się na pięcie i skinął głową na Bellewa. Po chwili jeden z żołnierzy przyniósł linę i wkrótce, kończąc przyprawiającą o zawrót głowy podróż,

Deakin stanął bezpiecznie na występie skalnym, obok zmasakrowanych zwłok Jacksona.

Przez blisko minutę, zmagając się z porywami wiatru w kanionie, pochylał się nad leżącym twarzą w dół człowiekiem. W końcu obwiązał Jacksona liną, wyprostował się i uniósł rękę na znak, że jest gotów. Wyciągnięto go z powrotem na most.

- No i! - rzucił niecierpliwie Claremont.

Deakin rozwiązał swoją linę i pomasaował boleśnie obtarte kolana.

- Uszkodzona czaszka, połamane prawie wszystkie żebra - odparł i spojrzał pytająco na Banlona. - Na prawym nadgarstku miał zawiązaną jakąś szmatę.

- To prawda. - Banlon jakby się skurczył o parę centymetrów. - Zanim spadł, stał na zewnątrz i ścierał śnieg z szyby. Palacze zawsze tak przywiązują szmatę do ręki, to stary numer. Można się wtedy przytrzymać oburącz.

- Ale tym razem się nie przytrzymał, co? Chyba wiem dlaczego. Szeryfie, niech pan lepiej pójdzie ze mną, jako przedstawiciel prawa będzie pan musiał podpisać akt zgonu. Lekarz pozbawiony uprawnień traci ten przywilej.

Pearce zawahał się, skinął głową i ruszył za więźniem. Tuż za nimi trzymał się O'Brien. Deakin minął lokomotywę, odwrócił się i podniósł wzrok. Okno maszynisty i tył osłony kotła były oczyszczone ze śniegu. Więzień wszedł do kabiny i pod baczynym okiem Pearce'a, O'Briena i Banlona, który tymczasem do ruchu dołączył, rozejrzał się i przeszedł na tył. Tender był już w dwóch trzecich pusty, tylko w głębi piętrzyły się jeszcze stosy szczap. Po prawej stronie walały się kawałki drewna, jak gdyby jeden stos się rozsypał.

Deakin zatrzymał na nich czujny wzrok. Zmarszczył nos i zlustrował podłogę. Nachylił się, sięgnął za kilka szczap i wyprostował się z butelką w ręku.

- Tequila - wyjaśnił. -- Śmierdział nią jak diabli, całe ubranie miał zalane. - Spojrzał z niedowierzaniem na Banlona. - A pan nic o tym nie wiedział?

- Właśnie miałem zapytać o to samo - wtrącił Pearce. Jego mina i głos nie wróżyły nic dobrego.

- Jak Boga kocham, szeryfie, ja nie mam węchu... każdy to panu powie. - Banlon kurczył się w takim tempie, że było tylko kwestią czasu, kiedy zniknie na dobre. - Jacksona poznałem dopiero w Ogden i nie wiedziałem, że pije.

- Teraz już wiecie - odezwał się Claremont, który właśnie wszedł do kabiny. - Wszyscy wiemy.

Szkoda tego Jacksona. A co do was, Banlon, od tej pory obowiązuje was rygor wojskowy. Jeśli jeszcze raz zajrzycie do butelki, to skończycie w celi w Forcie Humboldta, a ja osobiście dopilnuję, żeby was wyrzucili z Union Pacific.

Banlon bez przekonania próbował udawać skrzywdzoną niewinność. - Ja nigdy nie piję na służbie, pułkowniku.

- Piliście wczoraj na stacji w Reese City. - Ale kiedy prowadzę pociąg...

- Dość! Ma pan jakieś pytania, szeryfie?

- Żadnych, pułkowniku. Wszystko jasne jak słońce.

- Świetnie. - Claremont znów zwrócił się do maszynisty: - Bellew przyśle wam któregoś z żołnierzy na miejsce palacza. - Odprawił go ruchem ręki i skierował się do wyjścia.

- Jeszcze dwie sprawy, pułkowniku - rzucił Banlon pośpiesznie. Claremont zatrzymał się. - jak pan widzi, opał się kończy, a ze trzy kilometry stąd jest skład...

- W porządku. Odkomenderuję kilku ludzi do ładowania. Jeszcze coś?

- Ledwie się trzymam na nogach, pułkowniku. A do tego ta historia z Jacksonem... Gdyby tak Devlin, to znaczy hamulcowy, mógł mnie zmienić za parę godzin...

- Załatwione.

Żołnierz w kawaleryjskiej czapce z daszkiem wyjrzał przez boczne okienko lokomotywy, usiłując przebić wzrokiem gęsto padający śnieg.

- Chyba zbliżamy się do składu drewna - poinformował Banlona. Maszynista podszedł do niego, też wyjrzał na zewnątrz i skinął głową. Wrócił na swoje stanowisko i zatrzymał pociąg tak, by lokomotywa i tender stanęły dokładnie przed otwartym barakiem o trzech ścianach, w którym zmagazynowano porąbane drewno.

- Sprowadź ludzi do ładowania - polecił.

W ciągu paru sekund stawiło się ponad dziesięciu żołnierzy. Wszyscy byli wyraźnie markotni. Odnosiło się wrażenie, że mając wybór, woleliby zmagać się z dwukrotnie liczniejszą od siebie bandą Indian niż z czekającą ich pracą. Ten brak zapалу był zresztą całkowicie zrozumiały - mimo iż dochodziło południe, niebo tylko tak ciemne, a gnany wichrem śnieg tak gęsty, że widoczność nie przekraczała metra. Mróz wzmagał się z każdą chwilą. Drżąc z zimna i przytupując, żołnierze stali w szeregu, tyłem do szalejącej zamieci, i podawali sobie drewno z rąk do rąk od składu do tendra. Uwijali się jak w ukropie - nie trzeba im było przypominać, że im szybciej skończą, tym szybciej wrócą do względnie ciepłych wagonów.

Tymczasem po drugiej stronie pociągu jakaś niewyraźna postać przemknęła się wzdłuż torów i wskoczyła na przedni pomost wagonu z prowiantem. Drzwi były zamknięte. Człowiek w wojskowym płaszczu i kawaleryjskiej czapce z daszkiem pochylił się, obejrzał zamek i wyciągnął pęk ciężkich kluczy. Wybrał jeden z nich i włożył go do zamka. Drzwi otworzyły się natychmiast i równie szybko zamknęły za intruzem.

Trzasnęła zapalka, zamigotała i rozbłysła mała lampka naftowa. Deakin strząsnął śnieg z płaszcza, który dostał od O'Briena, i rozejrzał się.

Tył wagonu, po obu stronach przejścia, zajmowały trzydzieści dwie trumny, ustawione na prowizorycznych stojakach w dwóch szeregach, po cztery jedna na drugiej. Sztuka w sztukę były identyczne - najwyraźniej wytwórca trumien dla wojska uważał, że wszyscy kawalerzyści są tego samego wzrostu, budowy i wagi. Pozostałą część wagonu przeznaczono na różnorakie zapasy. Z prawej strony starannie ułożono worki i skrzynie z żywnością. Po lewej zgromadzono okute mosiądzem skrzynki z impregnowanego drewna, które zajmowały stosunkowo niewiele miejsca, oraz niezidentyfikowane przedmioty nakryte brezentem. Na skrzyniach widniały napisy: ZAOPATRZENIE KORPUSU MEDYCZNEGO ARMII STANÓW ZJEDNOCZONYCH. Deakin uniósł róg pierwszego brezentu. Tam również znajdowały się skrzynki z impregnowanego drewna, opatrzone wielkimi czerwonymi napisami: NIEBEZPIECZEŃSTWO! NIEBEZPIECZEŃSTWO! NIEBEZPIECZEŃSTWO! Tak samo oznakowane skrzynki znalazł pod następnymi plandekami, natomiast ostatnia płachta przykrywała wysokie, wąskie szare pudło ze skórzaną rączką i napisem: POCZTA I TELEGRAF ARMII STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

Deakin zdjął brezent, zwinął go i wsunął pod płaszcz. Podniósł szare pudło, zgasił lampę i wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz. Nawet w tak krótkim czasie, jaki spędził w wagonie, widoczność na dworze wyraźnie się pogorszyła. Całe szczęście, że prowadzą nas szyny, pomyślał, przy takiej pogodzie każdy jeździec albo dyliżans niechybnie skończyłby na dnie kanionu.

Dźwigając ciężki aparat telegraficzny nie próbował się ukryć w drodze na przedni pomost pierwszego wagonu z końmi. Tutaj drzwi były otwarte. Wszedł do środka, zamknął drzwi i postawił telegraf na podłodze. Następnie odszukał i zapalił lampę naftową.

Prawie wszystkie konie stały, ponuro przeżuwając siano ze żłobów ustawionych wzdłuż wagonu. W boksach miały dla siebie niewiele miejsca, ale nie przejmowały się tym, podobnie jak nie przejmowały się obecnością Deakina. Te nieliczne, które zareagowały na jego wizytę, popatrzyły na niego bez zainteresowania i leniwie odwróciły głowy.

Deakin również nie zwracał na nie uwagi. O wiele bardziej interesowało go miejsce, skąd pochodziła ich pasza - zbita z desek skrzynia po jego prawej ręce, sięgająca niemal do sufitu. Usunął dwie górne deski, wdrapał się na siano i wykopał w nim głęboką dziurę przy samej ścianie. Zeskoczył na podłogę, zawinął aparat telegraficzny w brezent, wtaszczył go na górę i zagrzebał w dziurze, przysypując metrową warstwą siana. Uznał, że nawet przy wyjątkowo pechowym zbiegu okoliczności nikt nie odkryje telegrafu co najmniej przez dwadzieścia cztery godziny - a tyle czasu w zupełności powinno mu wystarczyć.

Zgasił lampę i wrócił na tylny pomost drugiego wagonu. Otrzeptał płaszcz, wszedł do środka, powiesił okrycie na kołku w korytarzu prowadzącym do sypialni oficerów i ruszył naprzód, z uznaniem pociągając nosem. Mijając otwarte drzwi po prawej ręce zatrzymał się i zajrzał do środka.

Kuchnia była niewielka, lecz lśniła czystością. Na opalonym drewnem piecu pyrkotały garnki. Deakin ujrzał przed sobą ruskiego, grubego Murzyna w kitlu kucharskim i wysokiej białej czapie. Ten przepisowy strój wydał mu się zupełnie nie na miejscu. Kucharz odwrócił się do niego i uśmiechnął szeroko, błyskając śnieżnobiałymi zębami.

- Dzień dobry panu.

- Dzień dobry. Jesteście Carlos, szef kuchni?

- Zgadza się - potwierdził rozpromieniony Murzyn. - A pan jest Deakin, morderca. Trafił pan w sam raz na kawę.

Banlon, z Claremontem u boku, stał na pomoście lokomotywy i uważnie sprawdzał tender. Skończył oględziny i wychylił się na zewnątrz.

- Starczy. Wyładowany po brzegi. Bardzo wam dziękuję.

Sierżant Bellew uniósł rękę na znak, że zrozumiał, odwrócił się do swoich ludzi i powiedział kilka słów. Żołnierze natychmiast z wdzięcznością powlekli się do swych wagonów, w jednej chwili niknąc w mroku i białej zadymce.

- Możemy ruszać, Banlon? - zapytał oficer.

- Jak tylko uspokoi się ta śnieżycy, pułkowniku.

- Naturalnie. Chcieliście, żeby was zmienił Devlin. Akurat nadarza się okazja.

- Chciałem, to fakt, ale teraz nie pora na to, pułkowniku - sprzeciwił się stanowczo maszynista. - Przez następne trzy mile Devlin musi pozostać na miejscu.

- Przez następne trzy mile? Dlaczego?

- Aż wjedziemy na szczyt Przełęczy Kata. To najbardziej stromy podjazd w tych górach.

Claremont pokiwał głową.

- Hamulcowy będzie mógł się wykazać.

Rozdział piąty

Fort Humboldta leżał u wylotu wąskiej, kamienistej doliny, przechodzącej od zachodu w równinę. Ze strategicznego punktu widzenia było to znakomicie wybrane miejsce. Od północy osłaniało je skalne urwisko, a od wschodu i południa wąski, lecz głęboki kanion, którego wschodnią część przecinał most kolejowy wsparty na wysokich filarach. Sama linia kolejowa biegła tuż przed fortem, ze wschodu na zachód. Położenie obronne tej twierdzy było najkorzystniejsze z możliwych - można się było do niej dostać tylko przez most albo od strony doliny. W obu wypadkach niewielka grupa gotowych na wszystko, dobrze okopanych ludzi z łatwością mogła odeprzeć atak dziesięciokrotnie liczniejszych nieprzyjaciół.

Architektonicznie fort nie rościł sobie pretensji do oryginalności. Zbudowano go na wiele lat przed ukończeniem w 1869 roku linii kolejowej Union Pacific i dlatego też wykorzystano dostępny na miejscu budulec, którego dostarczyły niewyczerpane zasoby drzew iglastych. Drewniana palisada miała typowy kształt pustego w środku kwadratu. Od wewnątrz, metr dwadzieścia poniżej szczytu ostrokołu, biegł dookoła zбитy z desek pomost. Za masywnymi wrotami, które wychodziły od południa na tory i rzekę, po prawej stronie znajdowała się wartownia, po lewej zaś magazyn broni, amunicji i materiałów wybuchowych. Całą wschodnią stronę fortu zajmowały stajnie, natomiast zachodnią - koszary i kuchnia. Po stronie północnej usytuowano kwatery oficerów, biuro administracji, salę telegraficzną, izbę chorych oraz dodatkowe pomieszczenia dla strudzonych drogą podróżnych, którzy zaglądali tam nader często, lecz nie w tym dziwnego - do najbliższej osady był naprawdę szmat drogi.

Grupka takich właśnie strudzonych drogą podróżnych zbliżała się do fortu od zachodu, z utęsknieniem wypatrując choćby najskromniejszej gościny i schronienia. Byli to Indianie. Opatuleni po uszy, daremnie próbowali osłonić się przed siarczystym mrozem i zadymką. Widać było, że są zmęczeni, bardzo zmęczeni, ale nie tak, jak ich konie, które dosłownie powłóczyły nogami brnąc przez sięgający im do pęcin śnieg. Jedyne uderzająco przystojny Indianin o niezwykle bladej twarzy, jadący na czele, trzymał się w siodle prosto. Jak przystało na wodza Pajutów, nie okazywał zmęczenia.

Wjechał ze swymi ludźmi przez otwartą, nie pilnowaną bramę, odprawił ich ruchem ręki i zatrzymał się przed drewnianym budynkiem po drugiej stronie dziedzińca. Napis nad drzwiami informował: KOMENDANT. Indianin zsiadł z konia, wszedł po kilku schodkach do domku i szybko zamknął drzwi, żeby nie wdarły się za nim tumany śniegu.

W fotelu pułkownika Fairchilda, z nogami na jego biurku, siedział Sepp Calhoun. W jednej ręce trzymał pułkownikowskiego papierosa, w drugiej - pułkownikowską whisky. Spojrzał na przybysza, opuścił nogi na podłogę i wstał. Był to jak na niego zupełnie niezwykle gest szacunku, bo też Sepp Calhoun nigdy nikomu szacunku nie okazywał. Ale tego Indianina nie wolno było lekceważyć. Ci,

którzy popełnili ten błąd, nie mieli okazji go powtórzyć.

- Witaj, Biała Ręko - odezwał się Calhoun. - Szybko się uwinąłeś. - Mądry człowiek nie marudzi w taką pogodę.

- Wszystko w porządku? Linia do San Francisco...

- Zerwana. - Biała Ręka wyniośle, niemal z pogardą odtrącił zaproponowaną mu butelkę. - Zniszczyliśmy most nad przełomem Anitoba.

- I dobrze zrobiliście, Biała Ręko, ty i twoi wojownicy. Ile mamy czasu?

- Zanim przybędą żołnierze z zachodu?

- Tak. Wprawdzie nie ma powodu zakładać, że się zjawią, bo niby dlaczego mieliby podejrzewać, że w Forcie Humboldta coś się stało. Ale nie wolno nam ryzykować.

- Gra idzie o wielką stawkę, Calhoun. - Indianin zastanowił się. - Trzy dni. Najmniej.

- Więc mamy aż nadto czasu. Pociąg przyjeżdża jutro po południu,

a przed zachodem.

- A żołnierze w pociągu?

- Jeszcze nie wiadomo. - Bandyta zawahał się i odchrząknął ze skruchą. - Dobrze by było, Biała Ręko, gdybyś odpoczął kilka godzin ze swymi wojownikami. Być może będziecie musieli jeszcze raz ruszyć w drogę przed zmierzchem.

Zapadła cisza. Indianin z kamienną twarzą przyglądał się białemu, który stał przed nim wyraźnie nieswój. W końcu powiedział:

- Czasami, Calhoun, Biała Ręka wątpi w twój rozsądek. Zawarliśmy układ, że zdobędziemy ten fort, chyba pamiętasz. Ty i twoi ludzie mieliście tu przybyć o zmroku i prosić o nocleg. Liczyliśmy, że pozwolą wam zostać do rana, bo jesteście biali, a noc była pełna śniegu. I tak się stało. Ale potem mieliście zabić wartowników, otworzyć bramę, wpuścić nas do środka i razem z nami spać na śpiących żołnierzy.

Calhoun sięgnął po butelkę bourbona.

- To była zwariowana noc, Biała Ręko - usprawiedliwił się. - Prawie nic nie widzieliśmy. Jak to określiłeś, noc była pełna śniegu, a do tego szalała burza. Myśleliśmy...

- Burza szalała w waszych głowach, a śnieg wziął się z butelki wody ognistej. Węch mnie nie

mylił. Nie zabiliście dwóch wartowników, którzy zdążyli ostrzec innych. Czasu mieli niewiele, ale dość, żeby zginęło piętnastu moich najlepszych wojowników. Woda ognista! Bourbon! I biali uważają się za lepszych od nas!

- Posłuchaj, Biała Ręko. Musisz zrozumieć...

- Ja wszystko rozumiem. Rozumiem, że dbasz tylko o siebie i swoich przyjaciół, którzy są złymi ludźmi, a Pajuci cię nie obchodzą. Jechaliśmy dzień i noc, żeby zniszczyć most na Anitoba. I zniszczyliśmy go. A teraz znowu każesz nam jechać...

- Powiedziałem: być może, Biała Ręko, tylko być może. - Bandyta nerwowo próbował ułagodzić wodza. - Za wszelką cenę należy uniemożliwić przybycie wojska. Sam wiesz.

- Mogę stracić jeszcze więcej wojowników i na pewno ich stracę. Mogę stracić ich bardzo wielu. Ale nie za ciebie, Calhoun, ani za twoją nędzną whisky, lecz za to, co zrobili z moim ludem. Dopóki żyję, wojsko białych jest i będzie wrogiem Białej Ręki. Ale z nich też są dobrzy ludzie i dzielni wojownicy. Jeśli dowiedzą się, że to Biała Ręka i Pajuci na nich napadli, nie spoczną, póki nie wytropią nas i nie wybiją do ostatniego. To zbyt wysoka cena, Calhoun.

- A gdyby nie pozostał przy życiu żaden biały? Żaden świadek?

- Calhoun odczekał, aż Indianin przetrawi tę myśl, i szepnął kusząco: - Korzyść byłaby jeszcze większa.

Po dłuższej chwili Biała Ręka pokiwał głową.

- Tak, korzyść byłaby jeszcze większa - przyznał.

Marika stała w przedziale dziennym i - nieświadoma obecności współpasażerów ani tego, że opiera czoło o lodowatą szybę - wyglądała przez okno. Pociąg już od kwadransa pracowicie wpelzał na Przełęcz Kata.

- Cóż za fantastyczny widok! - powiedziała sama do siebie.

Nie sposób było odmówić jej racji. Zamieć i nawałnica już przeszły i z miejsca, gdzie stała dziewczyna, rozciągał się zapierający dech w piersiach widok na białą dolinę, obrysowaną drzewami iglastymi. Przez blisko dwie mile tory wiły się po zboczu, opadając aż do pajęczej konstrukcji mostu na samym dole. Jak to się często zdarza po śnieżycy, widoczność była wręcz nadnaturalna.

Claremont daleki był od podziwiania krajobrazu. Na głowie miał ważniejsze, niepokojące sprawy.

- Czy śledztwo posunęło się naprzód, szeryfie? - zapytał.

- Nie, pułkowniku. - Pearce nie demonstrował wprawdzie przygnębienia, ponieważ okazywanie takich uczuć nie leżało w jego naturze, ale też nie można powiedzieć, żeby tryskał entuzjazmem. - Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Nikt nic nie wie ani nie podejrzewa. Nie, pułkowniku, w tej sytuacji śledztwo musiało utknąć w martwym punkcie.

- Czy ja wiem? - wtrącił Deakin pełnym otuchy tonem. - Jest jeszcze metoda eliminacji, prawda, szeryfie? Na przykład ja nie mogłem tego zrobić, bo leżałem związany. I już ma pan tylko osiemdziesięciu paru podejrzanych. Dla kogoś o pańskich...

Przerwał, bo rozległ się głośny wybuch. Claremont skoczył na równe nogi.

- Psiakrew, a to co znowu?! - zapytał głosem człowieka, który wie, że oto nadchodzi koniec świata.

Marika nie pozostawiła mu złudzeń co do trafności jego diagnozy. - Nie! Nie! Nie! - krzyknęła przeraźliwie.

Oprócz pułkownika, szeryfa i Deakina w przedziale znajdowało się jeszcze trzech mężczyzn - O'Brien, gubernator i wielebny Peabody. W ciągu dwóch sekund wszyscy co do jednego rzucili się do najbliższego okna. Twarze całej szóstki odzwierciedlały tę samą konsternację, szok i przerażenie, jakie brzmiały w głosie dziewczyny.

Ostatnie trzy wagony - to znaczy oba wiozące żołnierzy i wagon hamulcowy - oderwały się od pociągu i coraz szybciej sunęły w dół długiego, stromego zbocza prowadzącego na Przełęcz Kata. Błyskawicznie powiększający się odstęp między nimi a resztą składu najlepiej świadczył o przyspieszeniu, z jakim się staczały.

- Na miłość boską, skaczcie! - krzyknął Deakin. - Skaczcie, zanim będzie za późno!

Ale nikt nie wyskoczył.

Środkowy z trzech uciekających wagonów - ten, w którym jechał sierżant Bellew - kiwał się i trzeszczał niepokojąco. Koła stukotały na złączach kompensacyjnych w coraz szybszym tempie, a ponieważ szyny przytwierdzono do pokładów hakami, a nie sworzniami, z każdą chwilą rosło niebezpieczeństwo oderwania się całego toru.

Wśród żołnierzy zapanował totalny chaos. Ich miny wyrażały całą gamę uczuć, od osłupienia do paniki. Usiłując zachować równowagę, prawie wszyscy miotali się po wagonie bez składu i ładunku, lecz czterej żołnierze, popędzani przez Bellewa, desperacko szarpali się z drzwiami. Po kilku bezowocnych próbach dali za wygraną.

- Boże Wszechmogący! - zawołał jeden z nich, przekrzykując zgiełk. Jego głos przeszedł w histeryczny wrzask. - Drzwi są zamknięte na klucz! Od zewnątrz!

Mężczyźni i dziewczyna w przedziale dziennym ze zgrozą obserwowali uciekające wagony, nie

mogąc oderwać od nich oczu. Widzieli, że nie są w stanie nic zrobić. Wagony przebyły już jedną czwartą podjazdu na Przełęcz Kata i staczały się dalej, przyspieszając bezlitośnie. Kołysały się tak, że koła niemal wyskakiwały z szyn.

- Devlin! - krzyknął Claremont. - Hamulcowy!!! Dlaczego on nic nie robi, na miłość boską?!

Ta sama myśl, tyle że bardziej natarczywie, zaświtała sierżantowi. - Hamulcowy! - ryknął - Hamulcowy!!! Dlaczego on nic nie robi, do ciężkiej cholery?!

Pobiegł, a raczej zataczając się pokuśtykał na drugą stronę wściekle rozhuśtanego wagonu. Przyszło mu to o tyle łatwo, że niemal wszyscy żołnierze stłoczyli się przy oknach, zostawiając na środku wolne przejście. Przyciskali twarze do szyb, zahipnotyzowani migającym krajobrazem i sparaliżowani szokiem. Pogodzili się już z tym, co ich nieuchronnie czeka.

Bellew dotarł do drzwi z tyłu wagonu i rozpaczliwie szarpnął za klamkę. Bez skutku - te drzwi również były zamknięte na klucz. Wyciągnął colta i strzelił, mierząc tuż powyżej i nieco z boku zamka. Strzelił cztery razy, nie przejmując się dwoma potencjalnie śmiertelnościami rykoszetami, które z gwizdem przeleciały przez wagon - teraz groziło im już większe niebezpieczeństwo. Po czwartym strzale drzwi ustąpiły pod rozpaczliwym naciskiem jego dłoni.

Wyskoczył na tylny pomost. Natychmiast odrzucił go podmuch wiatru, który osiągnął bez mała siłę huraganu, oraz wyjątkowo gwałtowny przechył wagonu. W ostatniej chwili oburącz przytrzymał się poręczy. Colt, którego ścisnął w prawej ręce, wyleciał na pobocze, koziołkując w powietrzu.

Sierżant zdecydował się na samobójcze ryzyko, lecz między samobójstwem a nagłą śmiercią z innych powodów nie ma istotnej różnicy. Skoczył na przedni pomost wagonu hamulcowego, chwycił poręcz, podciągnął się i z tego chwilowo jeszcze bezpiecznego miejsca sięgnął do klamki. Przekręcał ją, ciągnął i pchał brutalnie, oszalały ze strachu, ale jak można się było spodziewać, także i te drzwi były zamknięte. Rozpłaszczył twarz na szybie obok drzwi, zajrzał do środka wagonu i rozszerzył oczy. Jego twarz pokryła maska całkowitej, ostatecznej rozpaczyny wynikającej z wiedzy, która przyszła za późno.

Wielkie koło hamulcowe znajdowało się na swoim miejscu, po drugiej stronie wagonu, lecz nie trzymała go niczyja ręka. Zamiast niego, ręka ścisnęła otwartą Biblię, leżącą grzbietem do góry na podłodze. Sam Devlin, także grzbietem do góry, leżał obok swego prowizorycznego posłania. Między jego chudymi łopatkami sterczała rękojeść noża.

Bellew odwrócił napiętą twarz i wpatrzył się tępo w ośnieżone sosny na poboczu toru, mijające go ze świstem z prędkością stu mil na godzinę. Przeżegnał się, choć nie robił tego od dzieciństwa, i strach zniknął z jego twarzy. Zastąpiła go rezygnacja - sierżant pogodził się z nieuchronną śmiercią.

W przedziale dziennym siedem przerażonych osób w milczeniu śledziło bieg wypadków. Nikt się nie odzywał, bo też nie było nic do powiedzenia. Podobnie jak Bellew, także i oni - choć naturalnie całkiem inaczej - pogodzili się z czekającą żołnierzy nieuchronną śmiercią.

Rozpędzone wagony były już dwie mile od pociągu. Cudem jakimś trzymając się na szynach, wpadły w ostatni zakręt przed mostem. Widząc, na co się zanosi, Marika odskoczyła od okna jak oparzona i ukryła twarz w dłoniach. Wagony wyskoczyły z szyn - z tej odległości nie było widać, czy zerwały tor - przetoczyły się na bok i poszybowały nad przepaścią, leniwie obracając się w powietrzu, aż wszystkie trzy, wciąż spięte ze sobą, wróciły do pozycji pionowej, pozycji, w której roztrzaskały się o urwisko po drugiej stronie przełomu. Rozległ się huk przypominający eksplozję arsenału. Nie ulegało wątpliwości, że wszyscy ponieśli śmierć na miejscu. Przez mgnienie oka, które na pozór trwało całą wieczność, zdawało się, że spłaszczone, zgruchotane wagony zastygły przypięte do ściany kanionu, jak gdyby chciały tak pozostać na zawsze. A potem statecznie, groteskowo powoli w porównaniu z ich niedawną prędkością, oderwały się niechętnie od urwiska i runęły w niewidoczną otchłań.

Z tych, którzy wyruszyli z Reese City, pozostało przy życiu jedenastu, przeważnie roztrzęsionych ludzi. Wszyscy zgromadzili się wokół tylnego pomostu drugiego wagonu z końmi - czyli teraz już praktycznie na końcu pociągu - i przyglądali się uważnie łańcuchom sprzęgającym. Wolny ich koniec jeszcze niedawno połączony był sworzniami z płytą przyśrubowaną do przedniej ścianki pierwszego wagonu wiozącego żołnierzy. Trzy z czterech potężnych sworzni wciąż jeszcze tkwiły luźno w płycie. Claremont oglądał je z niedowierzaniem.

- Ale jak, jak mogło do tego dojść!?! - wykrzykiwał. - Spójrzcie na wielkość tych sworzni!

- Nie mam zamiaru schodzić do kanionu, żeby to zbadać, zwłaszcza że wszystko i tak jest kompletnie pogruchotane, ale chętnie rzuciłbym okiem na drewno, do którego te sworznie były przybite - rzekł O'Brien.

- Ale zdawało mi się, że słyszę wybuch...

- Albo trzask pękającej grubej belki - odpowiedział Deakin.

- Oczywiście. - Pułkownik upuścił na ziemię łańcuchy i płytę. - Oczywiście. Na pewno tak było. Ale dlaczego... Banlon, to wy jesteście maszynistą. A właściwie jedynym kolejjarzem, jaki nam został.

- Nie mam pojęcia, jak Boga kocham. Może zbutwiało drewno - czasami butwieje tak, że nic nie widać - a to jest najbardziej stromy podjazd w całych górach. Tak się tylko domyślam. Natomiast zupełnie nie rozumiem, dlaczego Devlin nic nie zrobił.

- Tego się chyba nigdy nie dowiemy. Co się stało, to się nie odstanie. Teraz musimy przede wszystkim połączyć się z Reese City albo z Ogden... żeby natychmiast przysłali nam posiłki na miejsce tych biedaków, Panie świeć nad ich duszami! Co za śmierć! Tylko śmierć na polu walki jest godna kawalerzysty. - Claremont zdawał sobie sprawę, że nie jest tak pragmatyczny, jakby sobie tego życzył, dlatego też z oporem wrócił do spraw bieżących. Bogu dzięki, że przynajmniej ocalały lekarstwa.

Deakin nie miał zamiaru litować się nad pułkownikiem.

- Niczego by to nie zmieniło, gdyby je pan stracił - oświadczył. - Co pan chce przez to powiedzieć?

- Co komu przyjdzie z lekarstw, jeżeli na ma lekarza, który by je podawał?

Claremont milczał przez chwilę. W końcu stwierdził:

- Pan jest lekarzem.

- Nic podobnego, już nie jestem.

Inni przysłuchiwali się ich rozmowie. Po twarzy nadal wstrząśniętej Mariki przemknął cień zainteresowania.

Claremont stracił panowanie.

- Do diabła, Deakin, tam panuje cholera! - wybuchnął. - Twoi rodacy...

- Moi rodacy chcą mnie powiesić. Prawdopodobnie na pierwszej lepszej gałęzi, mimo wszelkich protestów szeryfa. Mam gdzieś rodaków. Zresztą sam pan powiedział, że tam panuje cholera.

- Więc to dlatego pan odmawia? - rzekł wojskowy z tak bezgraniczną pogardą, jak to tylko możliwe bez uciekania się do szyderstwa.

- Nie sądzi pan, że to wystarczający powód?

Claremont odwrócił się z niesmakiem i spojrział na trzęsące się z zimna towarzystwo.

- Nie znam alfabetu Morse'a - powiedział. - Czy ktoś z was...

- Daleko mi do Fergusona - przerwał mu O'Brien - ale jeśli nikt mnie nie będzie poganiał...

- Dziękuję, majorze. Henry, w wagonie z prowiantem jest telegraf. Stoi z przodu, przykryty brezentem. Zanieś go do przedziału dziennego. - Pułkownik odwrócił się do Banlona. - Wygląda na to, że dzięki tej strasznej historii szybciej dotrzemy do fortu - stwierdził z goryczą. - Bez tych wagonów...

- Niestety, nie - wpadł mu w słowo maszynista. - Oprócz mnie tylko Devlin mógłby poprowadzić ten pociąg... a ja też muszę się czasem przespać.

- Prawda, na śmierć zapomniałem. Teraz?

- Za dnia możemy jechać dwa razy szybciej niż w nocy. Postaram się jakoś wytrzymać do wieczora. Wtedy już będziemy z Raffertym padać na twarz, pułkowniku. - Skinieniem głowy Banlon wskazał

żołnierza, którego przydzielono mu na miejsce palacza.

- Rozumiem. - Oficer spojrział na wiszące łańcuchy i płytę na ziemi. - A co z bezpieczeństwem jazdy?

Maszynista przez dłuższą chwilę pocierał białą szczecinę na zaszuszonej twarzy.

- Ja tam nic nie widzę, pułkowniku -rzekł wreszcie. - Znaczy się, nie widzę problemu. Z czterech powodów. Nie słyszałem jeszcze o takim wypadku, to się zdarza raz na milion, więc mamy jedną szansę na milion, że znów się powtórzy. Ciągniemy teraz mniejszy ciężar, więc

będzie mniejsze naprężenie na sprzęgłach. Poza tym jest to największa stromizna na trasie, więc jak miniemy szczyt, będzie dużo łatwiej.

- Mówiliście o czterech powodach. Wymieniliście dopiero trzy.

- Przepraszam, pułkowniku, pomyliłem się. - Banlon przetarł oczy. - To ze zmęczenia. Wezmę teraz hak i młotek i sprawdzę drewno dookoła każdego sprzęgła. To jedyny pewny sposób, żeby się przekonać, czy nie zbutwiało.

- Dziękuję, Banlon. - Claremont odwrócił się do kelnera, który właśnie wrócił z taką miną, jakby los nie mógł go już ciężiej doświadczyć. - Gotowe?

- Nie.

- Co to ma znaczyć? - Telegraf zniknął. - Co takiego?!

- W każdym razie nie ma go w wagonie z prowiantem. - To niemożliwe!

Henry bez słowa wpatrywał się w przestrzeń.

- Jesteś pewny? - Głos wojskowego odzwierciedlał nie tyle jego niedowierzanie, ile kompletną pustkę w głowie. Świadczył o tym, że Claremont nic a nic nie rozumie, jak człowiek, któremu przydarzyło się za dużo niepojętych rzeczy naraz.

Henry przybrał minę skrzywdzonej niewinności, która doskonale pasowała do jego ponurej twarzy.

- Pan pułkownik pewnie uzna, że jestem bezczelny, ale proponuję, żeby pan pułkownik sam poszedł i sprawdził.

Claremont mężnie zdusił w zarodku atak apopleksji. - Przeszukać pociąg! - warknął. - Wszyscy!

- Chwileczkę, pułkowniku, dwie sprawy - wtrącił się Deakin. Rozejrzał się i policzył na palcach. - Po pierwsze, z dziesięciu ludzi, do których się pan zwraca, tylko Rafferty'emu .może pan rozkazywać.

Reszta z nas nie podlega panu ani bezpośrednio, ani pośrednio, co takiemu służbiście, przyzwyczajonemu do ślepego posłuszeństwa, musi być nie w smak. A po drugie, może pan sobie dać spokój z poszukiwaniami.

Claremont z jeszcze większym męstwem zdusił kolejny atak i bez słowa obrzucił więźnia zimnym, pytającym wzrokiem.

- Kiedy stanęliśmy rano, żeby załadować opał, widziałem, jak ktoś wynosił z tamtego wagonu pudło wielkości telegrafu i szedł z nim na tyły pociągu - wyjaśnił Deakin. - Padał gęsty śnieg, a widoczność... wszyscy pamiętamy, jaka była. Nie rozpoznałem tego człowieka.

- Czyżby? Załóżmy, że to był Ferguson. Po co miałby robić coś takiego?

- Skąd mam wiedzieć? Kimkolwiek był, nie rozmawiałem z nim. Zresztą dlaczego ja mam myśleć za pana?

- Pan jest coraz bardziej bezczelny, Deakin.

- I nic pan na to nie poradzi. - Więzień wzruszył ramionami. - Może chciał go naprawić?

- To po co go wynosił?

Deakin okazał tak niezwykłą u niego irytację.

- Skąd, u diabła, mam... - wybuchnął, lecz pohamował się. - Czy wagon z prowiantem jest ogrzewany?

- Nie.

- Temperatura spadła dobrze poniżej zera. Jeżeli Ferguson miał w planie naprawę czy konserwację sprzętu, to musiał go zabrać do jakiegoś ciepłego pomieszczenia, czyli do któregoś z wagonów żołnierzy. A one leżą sobie teraz na dnie kanionu... razem z telegrafem. Ot i cała odpowiedź.

Claremont panował nad sobą.

- Sypie pan odpowiedziami jak z rękawa, Deakin - rzekł w zamyśleniu.

- Chryste Panie! To przeszukaj pan sobie ten cholerny pociąg!

- Nie. Chyba ma pan rację, chociażby dlatego, że nie widzę innego wytłumaczenia. - Zbliżył się do więźnia. Ja pana chyba skądś znam. Więzień zerknął na niego i bez słowa odwrócił wzrok.

- Służył pan w wojsku, Deakin? - Nie.

- Ani po stronie Unii, ani konfederatów? - Nigdzie.

- Nigdzie?

- Mówiłem już, że nie uznaję przemocy.

- To gdzie pan się podziewał w czasie wojny?

Więzień zamyślił się, jakby przywoływał dawne wspomnienia.

- W Kalifornii - odparł w końcu. - To, co się działo na wschodzie, nikogo tam nie obchodziło.

Wojskowy potrząsnął głową.

- Nie ma co, potrafi pan dbać o własną skórę.

- Niektórzy dbają o dużo gorsze rzeczy - skwitował Deakin obojętnie. Odwrócił się i powoli ruszył wzdłuż toru. Zamyślony Henry odprowadził go ponurym wzrokiem i szepnął do O'Briena:

- Pułkownik ma rację. Ja też go skądś znam.

- Kto to jest?

- Nie wiem. Wyleciało mi z głowy jego nazwisko i nie pamiętam, gdzieśmy się spotkali. Ale przypomnę sobie.

Wczesnym popołudniem znów się rozpadało, lecz tym razem śnieg był tak drobny, że nie ograniczał maszyniście widoczności. Pociąg, ciągnący za tendrem już tylko pięć wagonów, szybko posuwał się krętą doliną, wlokąc za sobą długą smugę dymu. Pasażerowie, którzy pozostali przy życiu, zasiedli w jadalni do niewesołego posiłku. Wszyscy z wyjątkiem jednego.

- Powiedz panu Peabody, że siedzimy przy stole - rozkazał Claremont Henry'emu, a kiedy kelner wyszedł, nachylił się do gubernatora. - Choć Bóg mi świadkiem, że straciłem apetyt. - Ja też, pułkowniku, ja też. - Wygląd gubernatora potwierdzał jego słowa. Niepokój malujący się na jego twarzy ubiegłego wieczoru nie zniknął, choć przesłaniały go teraz bladość i zmęczenie. Worki pod oczami nabiegły mu krwią, a szczeka, ledwie widoczna spod wspaniałej siwej brody, wyraźnie obwisła. Z minuty na minutę coraz mniej przypominał Buffalo Billa. - A cóż to za straszna, okropna podróż! - ciągnął. - Ci żołnierze, wszyscy ci wspaniali chłopcy zginęli. Kapitan Oakland i porucznik Newell przepadli bez wieści... a kto wie, być może i oni nie żyją. Dalej doktor Molyneux... on też zginął. Mało tego, został zamordowany! A szeryf nie ma pojęcia, kto... kto... o mój Boże! Możliwe nawet, że siedzi tu pośród nas. Morderca, ma się rozumieć.

- Dziesięć do jednego, że nie, gubernatorze - odezwał się łagodnie Pearce. - Dziesięć do jednego, że leży teraz na dnie kanionu.

- Skąd pan wie? - Zrozpaczony Fairchild potrząsnął głową. - Skąd to można wiedzieć? Ciekawe, co jeszcze nam się przydarzy.

- Tego nie wiem - odparł szeryf. - Ale sądząc po minie Henry'ego, już coś się stało.

Kelner, który właśnie wrócił, wyglądał, jakby zobaczył ducha. Nerwowo otwierał i zaciskał dłonie.

- Nie mogę go znaleźć, pułkowniku - wykrztusił ochryple. - To znaczy pastora. Nie ma go w sypialni.

Gubernator Fairchild jęknął głośno i wymienił spojrzenie z Claremontem. Wzrok obu mężczyzn wyrażał te same złe przeczucia. Natomiast twarz Deakina była niczym wykuta w kamieniu, a jego oczy lodowate. Po chwili więzień odprężył się i powiedział niedbale:

- Musi być gdzieś w pobliżu. Rozmawiałem z nim piętnaście minut temu.

- Zauważyłem - wtrącił cierpko Pearce. - Ciekawe o czym?

- O zbawieniu duszy - odparł Deakin. - Nawet jak mu powiedziałem, że mordercy dusz nie mają, on...

- Spokój! - uciał Claremont. Prawie krzyczał. - Przeszukać pociąg! - I chyba zatrzymać, pułkowniku?

- Zatrzymać, majorze? Po co?

- Tu się dzieją dziwne rzeczy, pułkowniku - wyjaśnił O'Brien. Nie próbował nadać swoim słowom jakiegoś specjalnego znaczenia, to nie było konieczne. - Pastor albo jest w pociągu, albo nie. Jeśli nie, to musi być gdzieś w pobliżu torów. Nie mógł spaść do kanionu, bo ostatni minęliśmy godzinę temu. Jeżeli przyjdzie nam go szukać na zewnątrz, to będziemy musieli się cofnąć, a każda sekunda jazdy oddala nas...

- Racja, Henry, zawiadom Banlona.

Kelner wybiegł z przedziału w kierunku lokomotywy, a gubernator, Claremont i O'Brien ruszyli w przeciwną stronę. Deakin pozostał na miejscu - najwyraźniej nigdzie się nie wybierał. Marika spoglądała na niego wzrokiem, który trudno byłoby określić jako przyjazny. Jej ciemne oczy były tak zimne, jak to tylko możliwe, a usta zaciśnięte. W końcu odezwała się wrogim głosem, doskonale pasującym do jej miny:

- Możliwe, że pastor jest chory, ranny albo nawet umiera. A pan sobie tak po prostu siedzi. Nie pomoże im pan w poszukiwaniach? Deakin rozparł się na krześle, skrzyżował nogi i zapalił krótkie cygaro.

- Ja? - odparł ze szczerym zdziwieniem. - W żadnym wypadku. Kim on dla mnie jest? Albo ja dla niego? Niech sobie wielebny idzie do diabła!

- To taki przemiły człowiek! - Trudno powiedzieć, co bardziej oburzyło dziewczynę: bezbożne słowa Deakina czy jego nieczułość. - Przecież rozmawiał tu z panem...

- Sam się wprosił. Niech teraz sam się troszczy o siebie.

- Pana to wcale nie obchodzi - stwierdziła Marika powoli, z niedowierzaniem.

- Właśnie.

- Więc jednak się pomyliłam. Szeryf miał rację, on zna życie. Szkoda, że go nie posłuchałam. Jest pan największym egocentrykiem i egoistą pod słońcem!

- Lepiej się wyróżniać czymkolwiek niż wcale - rzekł Deakin z nieodpartą logiką. - A w związku z tym przypominało mi się coś naprawdę wyborczego. - Wstał. - Whisky gubernatora. Zdaje się, że skoro wszyscy są zajęci, nareszcie mam okazję się poczęstować.

Wyszedł na korytarz i minął sypialnie gubernatora i Mariki. Dziewczyna została na miejscu, rozgniewana i nieco zaskoczona, lecz po krótkim wahaniu cicho poszła za nim. Dotarła do drzwi przedziału dziennego akurat w chwili, gdy Deakin, stojąc przed barkiem w głębi pomieszczenia, jednym haustem opróżniał szklaneczkę whisky. Nic z tego nie rozumiejąc, patrzyła ze zdumieniem, jak nalewa sobie drugą porcję bourbona, wypija połowę i odwraca od okna szklany wzrok. Jego ogorzała, zawzięta twarz była okrutna, nieprzejednana.

Z marsem na czole i rozszerzonymi oczami cicho weszła do przedziału. Gdy znalazła się metr od Deakina, odwrócił się od niej. Z jego twarzy przebijała ta sama śmiertelna nienawiść. Marika cofnęła się, jakby w obawie, że ją uderzy. Minęło kilka sekund, nim zdał sobie sprawę z jej obecności. Jego twarz stopniowo przybrała swój normalny wyraz - a raczej brak wyrazu.

- Nieźle mnie pani wystraszyła - odezwał się uprzejmie.

Nie od razu odpowiedziała. Wciąż zdumiona, podeszła do niego jak we śnie, wyciągnęła rękę i dotknęła go nieśmiało, bojaźliwie.

- Jak pan się naprawdę nazywa? - szepnęła. Wzruszył ramionami.

- John Deakin. - Kim pan jest?

- Słyszała paru, co mówił szeryf...

Nagle zamilkł. Z korytarza doleciały odgłosy rozmowy, głośnej rozmowy, popartej, jak można się było domyślać, wymowną gestykulacją. Do przedziału wszedł Claremont, prowadząc ze sobą

gubernatora, Pearce'a i O'Briena.

- Jeśli go tu nie ma, to znaczy, że wypadł i leży gdzieś na poboczu - mówił pułkownik. - A nie ma go. Gdybyśmy się tak cofnęli, powiedzmy, z pięć mil...

- A niech cię diabli, Deakin! To moja whisky! - przerwał Fairchild, któremu do morza kłopotów doszło kolejne zmartwienie.

- I to wyborna - przytaknął Deakin z uznaniem. - Każdego może pan nią śmiało częstować, nie przyniesie panu wstydu.

Pearce wysunął się do przodu i bez słowa ostrzeżenia uderzył go z furją w nadgarstek, wytrącając mu szklankę.

- Bardzo pan dzielny, szeryfie... z tym wielkim rewolwerem u pasa - rozległ się gniewny głos Mariki. Mimowolna reakcja dziewczyny zaskoczyła ją samą nie mniej niż pozostałych.

Z wyjątkiem Deakina, wszyscy wybałuszyli na nią oczy. Pearce zerknął z powrotem na więźnia. Malujące się na jego twarzy zaskoczenie ustąpiło miejsca pogardzie, która wyraźnie przebijała z jego ruchów, gdy wyciągał colta z olster, rzucał go na kanapę i uśmiechał się do Deakina zachęcająco.

Ten nie zareagował. Szeryf zamachnął się lewą ręką i grzbietem pięści uderzył go silnie w podbródek, w sposób uwłaczający każdemu prawdziwemu mężczyźnie.

Więzień zachwiał się i opadł ciężko na kanapę. Kilka sekund później, gdy pozostali mężczyźni odwrócili wzrok, zawstydzeni tak niemęską reakcją, dźwignął się na nogi, starł krew z rozciętej wargi i przeszedł na drugą stronę przedziału. Stał koło drzwi. Wkrótce, przy akompaniamencie pisku hamulców, inni przecisnęli się koło niego i wybiegli na zewnątrz. Marika bez pośpiechu ruszyła za nimi i zatrzymała się przed Deakinem. Wyjęła z torebki skrawek batystu i musnęła rozciętą wargę. - Biedak - powiedziała. - Mieć tak mało życia przed sobą.

- Póki co, jeszcze żyję.

- Nie pana miałam na myśli. Szeryfa.

Wyszła na korytarz i nie odwracając się, zniknęła w swojej sypialni. Deakin odprowadził ją zamyślonym spojrzeniem, podszedł do barku i nalał sobie bourbona.

Kiedy tak uszczuplał stan zawartości gubernatorskiej butelki, Banlon wolno cofał pociąg. Na samym końcu składu - to jest na tylnym pomoście drugiego wagonu z końmi - stało czterech ludzi. Chroniąc się przed siarczystym mrozem i śniegiem, byli opatuleni po uszy. Claremont i Pearce obserwowali pobocze po prawej, gubernator i O'Brien - po lewej. Pociąg pełznął do tyłu mila za milą, lecz nic nie zauważyli. Śnieg po obu stronach toru był dziewiczy, nietknięty, jedynie po przejeździe lokomotywy osiadło na nim nieco sadzy. A choć padało, to nie na tyle, by zakryć, świeże

ślady na głębokim po kostki białym puchu na ziemi, nie mówiąc już o przykryciu ciała człowieka. Krótko mówiąc, nie było śladu ani po wielebnym, ani po tym, że wypadł lub został wypchnięty.

Claremont i O'Brien jednocześnie wyprostowali się i odwrócili z obu stron pomostu. Pułkownik wolno pokręcił głową, na co major przytaknął niechętnie, odwrócił się z powrotem, wychylił za barierkę i pomachał ręką. Banlon, który już bez mała dwadzieścia minut spoglądał do tyłu, dał znak, że zrozumiał. Pociąg zatrzymał się z szarpnięciem, a po chwili ruszył do przodu. Czterej mężczyźni ociągając się zeszli z pomostu i zniknęli w stosunkowo ciepłym wagonie z końmi.

Natychmiast po powrocie do przedziału dziennego Claremont zebrał tam wszystkich ośmiu ocalałych pasażerów, oprócz Banlona i Rafferty'ego, Zaległa napięta atmosfera podejrzliwości, zagrożenia i strachu. Wszyscy unikali nawzajem swojego wzroku i tylko Deakin nie przejmował się, na kogo patrzy.

Claremont ze znużeniem pomalował czoło.

- To niemożliwe - rzekł. - Absolutnie wykluczone. Wiemy, że pastora nie ma w pociągu. Wiemy też, że nie mógł go opuścić. A jednak nikt go nie widział, odkąd wyszedł z tego przedziału. Ludzie nie znikają tak po prostu. - Pułkownik rozejrzał się po słuchaczach, lecz nikt nie przyszedł mu z pomocą, nikt nie zareagował, jedynie Carlos, ich czarny kucharz, ze skrępowaniem szurał nogami, czując się nieswojo w takim towarzystwie. - No, powiedzcie sami.

- Nie znikają, powiada pan? - odezwał się ciężko Fairchild. - A jednak jakoś mu się to udało.

- I tak, i nie - wtrącił Deakin.

Antagonizm szeryfa natychmiast dał znać o sobie.

- Co to znaczy „i tak, i nie”? - warknął Pearce. - Co pan wie na ten temat?

- Nic. Bo i skąd? Od wyjścia pastora do chwili, gdy Henry doniósł nam o jego zniknięciu, siedziałem tutaj. Panna Fairchild świadkiem. Pearce chciał zareplikować, lecz Claremont powstrzymał go ruchem ręki i zwrócił się do więźnia:

- Ma pan jakiś pomysł?

- Owszem, mam. To prawda, że nie mijaliśmy żadnych kanionów w czasie, kiedy Peabody mógł zniknąć. Ale przejeżdżaliśmy przez dwa mosty. To były takie małe mostki bez poręczy, więc pastor mógł wypaść bez śladu.

- Ciekawa teoryjka, Deakin. - O'Brien ani myślał kryć niedowierzania. - Wyjaśnij nam jeszcze tylko, dlaczego Peabody wyskoczył...

- Wcale nie wyskoczył. Wypchnięto go. A właściwie ktoś go podniósł i wyrzucił za most. Był przecież taki drobny. Duży i silny mężczyzna mógłby to zrobić bez trudu. Ciekawe, kto by to mógł być. Nie ja. Mam alibi. Panna Fairchild też odpada. Nie jest dużym i silnym mężczyzną, a poza tym ja jestem jej alibi, choć dla was moje świadectwo jest pewnie nic nie warte. Za to wy jesteście i duzi, i silni. Wszyscy. Sześciu dużych, silnych mężczyzn. - Zamilkł i bez pośpiechu przyjrzał się każdemu z osobna. - Ciekawe, który z was to zrobił?

- To absurd! - Gubernator nieomal bełkotał. - Czysty absurd! - Ten człowiek oszalał - stwierdził zimno Claremont.

- Ja tylko próbuję dorobić teorię do faktów - tłumaczył się Deakin łagodnie. - Chyba że ktoś ma lepszą?

Krępujące milczenie powiedziało mu, że nikt nie ma lepszej teorii. - Ale komu zależało na zabiciu nieszkodliwego, pocziwego pastora? - zapytała Marika.

- Nie wiem. A komu zależało na wykończeniu nieszkodliwego, pocziwego doktora Molyneux? Któż to chciał załatwić dwóch - jak sądzę także nieszkodliwych - kawalerzystów, Oaklanda i Newella?

Szeryfowi od razu nasunęły się nieuniknione podejrzenia. - A kto powiedział, że coś im się stało? - warknął.

Deakin przyglądał mu się długo, z politowaniem, jakby chciał pokazać wszem i wobec, że nawet upór, z jakim unika bijatyki z szeryfem, nie dorównuje jego bezgranicznej pogardzie dla tego człowieka. Widać było, że postawa więźnia jest dla Pearce'a coraz bardziej nie do zniesienia.

- Jeżeli po tym wszystkim, co się wydarzyło, wierzy pan jeszcze, że zniknęli za sprawą przedziwnego zrzędzenia losu, to czas najwyższy, żeby przekazał pan odznakę szeryfa komuś, kto między uszami ma głowę. A swoją drogą, szeryfie, to właśnie pan może być tym, kogo szukamy.

Pearce z odpychającym wyrazem twarzy ruszył ku niemu, wywijając pięścią, lecz Claremont szybko zagroził mu drogę. Jeżeli pułkownikowi czegoś brakowało, to w każdym razie nie autorytetu.

- Dość tego, szeryfie! Za dużo już było przemocy!

- Całkowicie zgadzam się z pułkownikiem - rzekł Fairchild, wydymając policzki. Mówił dobitnie, z prawdziwie gubernatorskim namaszczeniem. - Chyba zawodzą nas nerwy. Nie wiemy, czy to, co nam sugeruje ten... ten przestępca, odpowiada prawdzie. Nie wiemy, czy doktora Molyneux zamordowano... - Fairchild miał wspaniałą dar akcentowania pewnych słów, po których następowała znacząca pauza - mamy na to tylko słowo Deakina, podobnie jak i na to, że kiedyś był lekarzem... a wszyscy wiemy, ile jest warte jego słowo.

- Pan mnie publicznie oczernia, gubernatorze - powiedział więzień. - Konstytucja mówi wyraźnie,

że obywatel - w tym wypadku ja - ma prawo domagać się zadośćuczynienia za takie bezpodstawne oszczerstwa. Mam sześciu świadków na to, że pan mnie znieważył. - Rozejrzył się. - Proszę zauważyć, że nie wszyscy są przychylnie nastawieni.

- Proszę! On mówi o prawie! - Fairchild poczerwieniał jak burak, a wytrzeszczone, nabiegłe krwią niebieskie oczy omal nie wyszły mu z orbit. - Ktoś, kto drwi sobie z prawa, morderca i podpalacz, ma czelność powoływać się na świętą konstytucję naszego kraju! - Umilkł,

zdając sobie sprawę, że jego forma aktorska pozostawia w tym momencie wiele do życzenia. - Nie wiemy, czy Oaklanda i Newella zamordowano - podjął przerwany wątek. - Nie wiemy, czy Peabody naprawdę padł ofiarą...

- Strzępi pan język na próżno - przerwał mu Deakin pogardliwie i spojrzał na niego z namysłem. - A może nie zamierza pan zamknąć się w nocy na klucz? - Zrobił dłuższą pauzę, lecz gubernator nie skorzystał z niej, wobec czego dorzucił: - No, chyba że ma pan podstawy sądzić, że pan akurat może spać spokojnie.

Fairchild przeszył go wzrokiem.

- Zapłacisz mi za tę insynuację, Deakin! - syknął.

- Patrzcie państwo, kto tu mówi o insynuacjach - odciął się Deakin zmęczonym głosem. - Zapłacę? Czym? Głową? To już od dawna przesądzone. A to dobre! Wszyscy, jak tu siedzicie, uparliście się oddać mnie w ręce sprawiedliwości, a tymczasem jeden z was ma na swych rękach krew czterech ludzi. A może nie czterech. Może osiemdziesięciu czterech.

- Osiemdziesięciu czterech? - Fairchild wykrzeszał z siebie resztki wyniosłości.

- jak to pan mówił, nie wiemy, czy stratę wagonów z żołnierzami należy uznać za wypadek. - Więzień zapatrzył się w dal, a po chwili znów spojrzał na gubernatora. - Tak samo jak nie wiemy, czy tylko jeden z was ośmiu - a mówię „ośmiu, bo choć nie ma ich tu z nami, nie możemy wykluczyć Banlona i Rafferty'ego, natomiast musimy wykluczyć pannę Fairchild - jest sprawcą tych zabójstw. Możliwe, że dwóch lub więcej zbrodniarzy działa w znowie. Jeśli tak, to wobec prawa są oni równie winni. Wiem, bo praktykowałem medycynę sądową, choć pewnie nikt z was mi nie uwierzy.

Co rzekłszy, Deakin ostentacyjnie odwrócił się plecami do reszty towarzystwa, oparł łokcie na mosiężnej poręczy i wyjrzał przez okno w gęstniejący, śnieżny mrok.

Rozdział szósty

Banlon płynnie zatrzymał pociąg, unieruchomił koło hamulcowe i zablokował je olbrzymim kluczem. Otarł szmatą pot z czoła i ze znużeniem odwrócił się do Rafferty'ego, który z przymkniętymi oczami stał oparty o ścianę kabiny, dosłownie słaniając się na nogach.

- Starczy - powiedział. - Starczy. Jestem skonany.

- Dwa trupy - podsumował maszynista, wyrztał w mrok i zadymkę i wzdrygnął się. - Chodź pan. Zajrzemy do pułkownika.

Pułkownik siedział tymczasem tak blisko rozpalonego piecyka, jak to tylko możliwe. Wokół niego stłoczyli się gubernator Fairchild, O'Brien, Pearce i Marika. Wszyscy trzymali szklanki z jakimiś napojami. W kącie po drugiej stronie przedziału przycupnął na podłodze skulony z zimna Deakin. Jak można się było spodziewać, on nie miał nic do picia.

Otworzyły się drzwi prowadzące na przedni pomost i do środka weszli Banlon i Rafferty, wpuszczając za sobą mroźne powietrze i tumałny gęstego śniegu. Szybko zatrzasnęli drzwi. Obaj byli bladzi i skrajnie wyczerpani.

Maszynista ziewnął jak smok, dyskretnie zasłaniając usta, bo nie ziewa się w obecności pułkowników i gubernatorów. Nie mogąc się powstrzymać, ziewnął raz jeszcze.

- Fajrant, pułkowniku - oświadczył. - Albo się położymy, albo padniemy na twarz.

- Dobra robota, Banlon, spisaliście się na sto dwa. Nie omieszkam poinformować o tym waszych pracodawców z Union Pacific. A z was, Rafferty, jestem dumny. - Claremont zastanowił się. - Możecie zająć moje łóżko, Banlon. Rafferty, wy się prześpicie u majora.

- Dziękuję. - Maszynista ziewnął po raz trzeci. - Jeszcze jedno, pułkowniku. Ktoś musi pilnować ciśnienia w kotle.

- Czy to nie marnotrawstwo opału? Nie możecie po prostu wygasić w piecu, a potem rozpaść na nowo?

- Nie da rady. - Banlon stanowczo potrząsnął głową, z góry wykluczając wszelką dyskusję na ten temat. - Na rozpalenie pod kotłem stracilibyśmy ze dwie godziny i tyle samo opału, ile zużyjemy na utrzymanie ognia. Ale nie w tym rzecz. Chodzi o to, że jeżeli zamarzłaby woda w rurach skraplacza... ano, pułkowniku, na piechotę do Fortu Humboldta jest stąd ładny kawałek drogi.

Deakin podniósł się sztywno.

- Mnie spacerować nie bawią. Zajmę się kotłem.

- Ty? - Pearce również wstał, łypiąc na więźnia podejrzliwie. - Skąd ta nagła chęć współpracy?

- Nie mam najmniejszego zamiaru z wami współpracować, co to, to nie. Ale tu chodzi także o moją skórę... a zdążyliście się już chyba przekonać, jak bardzo o nią dbam. Poza tym, szeryfie, odnoszę wrażenie, że nie jestem tu mile widziany, co rani moją subtelną duszę. I jest mi zimno, tu ciągle wieje, a tam, w kabinie, będzie ciepło i przyjemnie. Nie mam też ochoty przyglądać się przez cały wieczór, jak trąbicie whisky. No i z dala od was będę się czuł bezpiecznej... myślę o panu, Pearce. I wreszcie jestem jedynym człowiekiem, któremu możecie zaufać... chyba pan nie zapomniał, szeryfie, że z nas wszystkich tylko ja stoję poza wszelkimi podejrzeniami?

Deakin odwrócił się i spojrzał pytająco na maszynistę, który z kolei popatrzył na pułkownika. Po chwili wahania Claremont skinął głową. - Co pół godziny przegarniaj w palenisku - rzekł Banlon. - Opału dokładaj tyle, żeby strzałka manometru stała między niebieską a czerwoną kreską. Jeśli przejdzie za czerwoną, to obok masz zawór do wypuszczania pary.

Deakin skinął głową i wyszedł. Pearce spoglądał za nim z niepokojem. - Nie podoba mi się to - powiedział odwracając się do Claremonta. - Co stoi na przeszkodzie, żeby odczepił lokomotywę i odjechał bez nas? Wszyscy wiemy, że on nie cofnie się przed niczym.

- Ten drobiazg, szeryfie. - Maszynista wyciągnął olbrzymi klucz. - Zablokowałem koło hamulcowe. Może pan się nim zaopiekuje?

- Z miłą chęcią. - Pearce wziął klucz, usiadł i odprężył się. Gdy sięgał po szklanę, O'Brien wstał i skinął głową na Banlona i Rafferty'ego.

- Chodźcie, pokażę wam, gdzie będziecie spali.

Trzej mężczyźni wyszli z przedziału. O'Brien zaprowadził podopiecznych na tył drugiego wagonu, wpuścił maszynistę do sypialni Claremonta, a żołnierza do swojej. Omiótł pomieszczenie ruchem ręki.

- Odpowiada wam? - zapytał.

Kiedy Rafferty rozglądał się z należnym szacunkiem, major szybko wyciągnął z szafki butelkę whisky i schował ją za plecami, tak żeby żołtierz jej nie zobaczył.

- Oczywiście, majorze. Bardzo dziękuję.

- Świetnie. A więc dobranoc. - O'Brien wyszedł i cofnął się do kuchni. Nie zawracając sobie głowy pukaniem, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Mała kuchnia miała najwyżej dwa metry na półtora, a piec drzewny i szafki na garnki, patelnie, zastawę i żywność tak ją zagracaly, że dosłownie nie było się tam jak obrócić. Mimo to Carlos i Henry, siedzący na mikroskopijnych

stołkach, nie sprawiali wrażenia ludzi, którym przeszkadza ciasnota. Obaj spojrzeli na wchodzącego majora - kelner z właściwą sobie grobową, nieszczęśliwą miną, kucharz zaś jak zwykle rozpromieniony.

O'Brien postawił butelkę na maleńkim stoliku.

- Przyda wam się. I włożcie na siebie co tylko macie, na dworze jest zimno jak w psiarni. Niedługo wracam. - Rozejrzył się ciekawie. - Nie byłoby wam wygodniej w swoich przedziałach?

- Na pewno tak, panie O'Brien. - Carlos uśmiechnął się od ucha do ucha i wskazał piecyk, zbyt gorący, by można go było dotknąć. - Ale nie mielibyśmy tego. Kuchnia jest najcieplejszym miejscem w pociągu.

W kabinie maszynisty było równie gorąco. I choć panowała w niej teraz nieco niższa temperatura niż zwykle, ponieważ gnane wichrem tumany śniegu bez przerwy wdzierały się do środka, to jednak bijąca z paleniska ognistoczerwona łuna, przy której dwie lampy naftowe były właściwie zbędne, stwarzała przynajmniej złudne wrażenie ciepła. Ale Deakin nie czuł zimna. Jego twarz świeciła od potu, kiedy dokładał do pieca.

Wrzucił ostatnią kłodę drewna, wyprostował się i zerknął na manometr. Strzałka dochodziła do czerwonej kreski. Z zadowoleniem pokiwał głową i zamknął drzwiczki pieca. W kabinie od razu zapanował półmrok, a po chwili zrobiło się wręcz ciemno, gdy zdjął z haka lampę naftową i przeszedł z nią do tendra, wciąż jeszcze w dwóch trzecich wyładowanego drewnem. Postawił lampę na podłodze i gorączkowo zabrał się do pracy.

Piętnaście minut później, mimo iż temperatura w otwartym tendrze oscylowała wokół zera, pot lał się z niego strumieniami. Nic dziwnego - dźwiganie ciężkich kłód, zwłaszcza w takim tempie, nie należy do lekkich zajęć, a Deakin przeniósł już z prawej strony tendra na lewą co najmniej połowę drewna. Wyprostował się z trudem, pomasaował obolałe krzyże i zajrzał do kabiny.

Strzałka manometru opadła poniżej niebieskiej kreski. Czym prędzej otworzył piec, przegarnął w palenisku, rzucił mu trochę szczap na pożarcie i zamknął drzwiczki. Wrócił do morderczej harówki w tendrze, nawet nie zerknąwszy na manometr.

Przeniósł jeszcze ze dwadzieścia polan, oświetlił z bliska nietknięte stosy drewna i przyjrzał im się uważnie. Odgarnął dalsze dziesięć szczap, znów sięgnął po lampę i przyklęknął powoli. Jego zazwyczaj beznamiętną twarz wykrzywił ślepy gniew.

Dwaj mężczyźni, dosłownie zamarznięci na kość, leżeli stłoczeni obok siebie pod kłodami. Wystarczył mu jeden rzut oka, by poznać, że nie żyją. Usunął jeszcze kilka szczap, odsłaniając ich całkowicie. Obaj mieli paskudnie roztrzaskane głowy i obaj ubrani byli w mundury kawalerii Stanów Zjednoczonych. Nie ulegało wątpliwości, że są to zaginieni oficerowie Claremonta - kapitan Oakland i porucznik Newell.

Deakin otrząsnął się z gniewu - już dawno zrozumiał, że w swoim zawodzie nie może sobie pozwolić na takie uczucia. Wstał i szybko zaczął przenosić drewno z powrotem, układając je w równe stosy, aż doprowadził wszystko do stanu pierwotnego. Z powodu wymaganej precyzji i gwałtownie narastającego zmęczenia ta praca zabrała mu dwukrotnie więcej czasu niż poprzednia.

Kompletnie wykończony, jeszcze raz spojrzął na manometr i stwierdził, że strzałka znowu opadła niebezpiecznie. Kiedy otworzył drzwiczki pieca, palenisko ledwie się tliło. Słaniając się ze zmęczenia, dołożył tyle drewna, że piec nie pomieściłby już ani jednej szczapy. Znow zamknął drzwiczki i znow nawet nie rzucił okiem na manometr. Postawił kołnierz, nacisnął kapelusz na uszy i zeskoczył na pobocze. Szalejąca biała zamieć na chwilę pozbawiła go tchu.

Idąc wzdłuż toru, nie próbował się kryć - widoczność była praktycznie zerowa, więc i tak nie miałyby to znaczenia. Minął wagon gubernatora i następny, z kuchnią i sypialniami oficerów. Dochodząc do jego końca, zatrzymał się raptownie i nadstawił uszu... Wyraźnie usłyszał dziwny, przypominający bulgot dźwięk... rzecz jasna, dziwny w danej sytuacji, gdyż w normalnych okolicznościach zidentyfikowałby go bez problemu. Cicho jak duch zrobił kilka kroków i ostrożnie wyjrzał za róg wagonu.

Ktoś siedział na poręczy wagonu z prowiantem i odchyliwszy do tyłu głowę, pociągał z butelki. Śnieg zacinał teraz niemal poziomo, od strony lokomotywy, dzięki czemu człowiek na pomoście był osłonięty przed zamiecią. Deakin bez trudu rozpoznał w nim Henry'ego.

Oparł się plecami o ścianę wagonu, odetchnął z ulgą i przetarł czoło rękawem kożucha. Cicho cofnął się o parę kroków i wrócił szerokim łukiem. Tym razem podchodził ostrożniej. Na czworakach zbliżył się do pociągu i spojrzął w górę. Wagonu z prowiantem pilnował od tyłu drugi mężczyzna. Czarna, okrągła jak księżyc w pełni twarz Carlosa nie pozostawiała wątpliwości co do osoby strażnika, choć teraz - co rozumiałe - nie rozjaśniał jej tradycyjnie promienny uśmiech.

Deakin powtórzył niedawny manewr i równie szerokim łukiem dotarł na tyły pierwszego wagonu z końmi. Wszedł na pomost, ukradkiem wśliznął się do środka i zamknął za sobą drzwi. Kiedy zmierzał na drugą stronę wagonu, jakiś spłoszony koń zarżał głośno. Deakin natychmiast zbliżył się do niego i pogłaskał go po szyi, szepcząc coś kojącym tonem. Koń obwąchał jego twarz i uspokoił się. Carlos nie zainteresował się hasłem, jeśli go w ogóle usłyszał, ale też nie miał powodu do niepokoju - rzenie dolatujące z wagonu pełnego koni nie mogło budzić podejrzeń, a poza tym ta noc nie sprzyjała czujności.

Dotarłszy na przód wagonu, Deakin wyjrzał przez szparę w drzwiach. Nie dalej niż metr od niego Carlos posępnie kontemplował przemarznięte stopy. Deakin zajął się skrzynią zawierającą paszę dla zwierząt. Bezszelestnie, z uwagą usunął kilka górnych desek i warstwę siana, wydobył aparat telegraficzny i zabrał go na drugą stronę wagonu. Na pomoście rozejrzał się - widoczność wciąż była praktycznie żadna - zeskoczył na śnieg i szybko zaczął oddalać się od pociągu.

Już po pięćdziesięciu metrach trafił na słup telegraficzny. Rozwinął kabel aparatu, przywiązał go sobie wolnym końcem do pasa i zaczął się wspinać na słup.

Zaczął to w tym wypadku nadzwyczaj trafne określenie. Udało mu się wspiąć raptem o metr, po czym zawisł na słupie bezradnie, niezdolny podciągnąć się ani o włos. Śnieg, mróz i wichura pokryły słup twardą skorupą lodu, którego praktycznie zerowy współczynnik tarcia wykluczał pewny uchwyt i uniemożliwiał dalszą wspinaczkę. Deakin zsunął się na ziemię i po namyśle oderwał od koszuli spory kawałek materiału, który przedarł na dwie części.

Podszedł do najbliższego odciągu słupa, objął go nogami, ręce wsadził w zaimprovizowane na poczekaniu rękawice i znów zaczął się wdrapywać. Była to wyczerpująca wspinaczka, zwłaszcza po tym, co niedawno przeszedł, ale przynajmniej wykonalna. Dotarł na szczyt i usiadł okrakiem na poprzecznej belce, najbardziej niepokojąc się tym, że zupełnie stracił czucie w przemarzniętych dłoniach. Nie stać go było na luksus odmrożenia rąk.

Na szczęście ominęła go ta wątpliwa przyjemność, o czym przekonał się, walcząc z narastającym bólem, gdy przez dobre dwie minuty rozcierał i ugniatał obolałe dłonie. Odwiązał kabel od pasa, podłączył go starannie do drutu telegraficznego i wrócił na ziemię tą samą drogą, którą się dostał na górę. Zsunął się po drucie tak szybko, że dłonie, które jeszcze niedawno uważał za odmrożone, teraz paliły go, niczym wyjęte z ognia. Rozpakował telegraf z brezentu, nachylił się, w miarę możliwości osłaniając go przed śniegiem, i zaczął nadawać.

W Forcie Humboldta, gdzie pogoda nie była ani lepsza, ani gorsza niż tam, gdzie znajdował się Deakin, Sepp Calhoun, Biała Ręka i dwaj inni ludzie siedzieli w gabinecie komendanta. Jak zwykle, buty Calhouna bezceremonialnie obchodziły się z biurkiem pułkownika Fairchilda, a jego ręce równie bezceremonialnie poczywały sobie z pułkownikowską whisky i cygarami. Biała Ręka siedział na krześle z twardym oparciem, sztywno wyprostowany, przezornie nie tykając stojącej przed nim szklanki. Wtem otworzyły się drzwi i wszedł jakiś człowiek. Z wyrazu jego twarzy, choć maskowały ją pokryte śniegiem baki i broda, widać było, że przyszedł w sprawie nie cierpiącej zwłoki.

Calhoun i Biała Ręka wymienili spojrzenia i szybko ruszyli do drzwi. Dotarli do sali telegraficznej w chwili, gdy Carter przepisywał treść depechy. Bandyta zerknął na niego i na Simpsona - drugiego wziętego do niewoli telegrafistę - skinął głową strażnikom i tradycyjnie zasiadł za biurkiem. Biała Ręka stał. Carter skończył pisać i podał blankiet Calhounowi. Na twarzy bandyty natychmiast odmalował się zawód i gniew.

- A niech to nagły szlag trafi!

- Kłopoty, Calhoun? - zapytał spokojnie Indianin. - Kłopoty dla Białej Ręki?

- Kłopoty dla Białej Ręki - przytaknął biały. - Słuchaj: „Z żołnierzami niewypał. Wszystkie wagony pod silną strażą. Co radzicie?” Jak to się stało, że ci skończeni idioci...

- Takie gadanie nic nam nie pomoże, Calhoun - przerwał mu Indianin. Bandyta spojrzał na niego bezmyślnie. - Pomóc mogę tylko ja i moi wojownicy.

- To niedobra noc.

Calhoun ruszył do drzwi, otworzył je i wyszedł na dwór. Biała Ręka poszedł w jego ślady i zamknął drzwi za sobą. W mgnieniu oka obaj byli biali od śniegu.

- Bardzo zła noc, Biała Ręko.

- Korzyści są wielkie. To twoje własne słowa, Calhoun.

- Dacie radę? W taką noc?

Biała Ręka w milczeniu skinął głową.

- Więc dobrze. Wylot Przełęczy Złamanego Serca. Z jednej strony urwisko, z drugiej strony strome zbocze z mnóstwem skał, za którymi możecie się ukryć. Zostawcie konie pół mili...

- Biała Ręka sam wie, co robić.

- Przepraszam. Chodź, kažemy im przekazać Banlonowi, żeby zatrzymał tam pociąg. Będziesz miał najłatwiejszą robotę pod słońcem, Biała Ręko.

- Wiem. Wcale mi się to nie podoba. Jestem wojownikiem i moim żywiołem jest walka. Masakry nie znoszę.

- Korzyści są wielkie.

Indianin bez słowa pokiwał głową. Obaj wrócili do sali telegraficznej, gdzie Carter wystukiwał depeszę. Calhoun przerwał mu ruchem ręki, skreślił szybko parę słów i podał kartkę strażnikowi, który przekazał ją telegrafście. Bandyta odwrócił się do Simpsona.

- A ty słuchaj uważnie, przyjacielu.

Carter nadał depeszę, a Simpson ze słuchu przepisał jej treść.

- I co, Simpson? - rzucił Calhoun, gdy Carter skończył stukać kluczem.

- „Niech Banlon zatrzyma pociąg dwieście metrów za wschodnim wjazdem na Przełęcz Złamanego Serca.

Bandyta z uznaniem skinął głową Carterowi. - Kto wie, może uda ci się dożyć starości.

Nim skończył mówić, ze słuchawek doleciał stukot następnej, krótkiej tym razem depeszy. Carter przetłumaczył ją na żywo, nie czekając na tradycyjną kontrolę Simpsona.

- „Zrozumiałem. Bez odpowiedzi.”

Calhoun uśmiechnął się niemal dobrotliwie. - Mamy ich, Biała Ręko.

Deakin, jeśli wierzyć jego minie, nie podzielał tego zdania. Zdjął słuchawki, silnym szarpnięciem odłączył kabel telegrafu od drutów i mocno pchnął aparat, który spadł w ciemność, koziołkując na stromym zboczu. Nie zwlekając dłużej, ruszył szybko z powrotem, ominął pociąg szerokim łukiem i dotarł do lokomotywy. W kabinie maszynisty otarł twarz ze śniegu i spojrzał na manometr.

Strzałka opadła niebezpiecznie nisko. Deakin otworzył piec, zerknął na ledwie żarzące się węgielki i zaczął dorzucać drewna na palenisko. Tym razem - ze zmęczenia lub z obawy przed tym, co go czeka - nie śpieszył się. Z niemal ojcowską czułością obserwował manometr, czekając cierpliwie, aż strzałka przesunie się ponad czerwoną kreskę. Banlon wspomniał, że jest to granica bezpieczeństwa, lecz Deakin najwyraźniej się tym nie przejmował. Zamknął drzwiczki rozpalonego pieca, ze skrzynki z narzędziami wyjął puszkę smaru i dwa haki kolejowe, postawił barani kołnierz i zeskoczył na pobocze.

Przezornie wybrał okreśną drogę i przemknął się w pobliżu tylnego pomostu wagonu z prowiantem. Carlos tkwił na posterunku, skulony i drżący z zimna, bezskutecznie usiłując pokonać chłód nocy butelką bourbona. Deakin pokiwał głową z zadowoleniem. Na czworakach zbliżył się do pociągu, wśliznął się na tory i, czołgając się między szynami, powoli dotarł do tylnego wózka zwrotnego wagonu. Tam zatrzymał się : ostrożnie odwrócił na plecy.

Dokładnie nad sobą ujrzał sprzęgło łączące dwa wagony - ten z prowiantem z tym, który wiózł konie. Nad sprzęgłem znajdowały się pomosty obu wagonów. Na jednym z ruch, półtora metra od Deakina, stał wyraźnie widoczny z dołu Carlos.

Ostrożnie, żeby wytłumić szcęk metalu, Deakin chwycił dwa środkowe łańcuchy sprzęgła i spróbował je odkręcić, lecz natychmiast porzucił ten zamiar. Zdał sobie sprawę, że jest to zadanie niewykonalne, a zresztą gdyby się przy nim upierał, zostawiłby skórę dłoni przymarznąętą do metalu. Podniósł puszkę ze smarem i obficie zwilżył gwint śruby. Nagle usłyszał jakiś dźwięk. Delikatnie odstawił puszkę na śnieg i odwrócił się powoli.

Dźwięk ten wydała odstawiana butelka. Carlos wyprostował się i zaczął krążyć po metalowym pomoście, przytupując i zabijając ręce. Wkrótce uznał, że w przeciwieństwie do problematycznego rozgrzania się od zewnątrz, od wewnątrz uda mu się rozgrzać z całą pewnością, i wrócił do butelki bourbona.

Deakin z powrotem zabrał się do dzieła. Znow chwycił oba łańcuchy, znow spróbował je odkręcić i znow skutek był taki sam. Żaden. Delikatnie, ostrożnie puścił sprzęgło, sięgnął za pazuchę i wyjął dwa haki. W porównaniu z łańcuchami, metal, który trzymał w ręku, był niemal ciepły. Powoli, z uwagą, wsunął haki w ogniwa łańcucha i przekręcił jeszcze raz. Dodatkowa dźwignia spełniła zadanie - śruba zazgrzytała cicho i drgnęła. Deakin zamarł w bezruchu i spojrzał w górę. Carlos wzdrygnął się, wyprostował i rozejrzał bez entuzjazmu, by zaraz na nowo zbratać się z butelką.

Deakin ponowił atak na śrubę. Używając na przemian smaru i haków, wkrótce doprowadził do tego, że zostały mu jeszcze dwa, trzy obroty. Odłożył haki i odkręcił ją do końca palcami. Obie połówki śruby rozdzieliły się. Opuścił je powoli, bezdźwięcznie, aż zawisły pionowo na końcach łańcuchów.

Spojrzał w górę. Carlos ani drgnął. Deakin na czworakach cofnął się trasą, którą tam dotarł, wysunął się spod wagonu na pobocze i okrężną drogą wrócił do lokomotywy. Zgodnie z jego przewidywaniami, strzałka manometru stała na niebieskiej kresce. Wkrótce, po kolejnej operacji napychania nienasyconej paszczy pieca, co napawało go coraz większą odrazą, strzałka podskoczyła znów na czerwoną linię. Deakin opadł na składane krzesło w rogu kabiny i zamknął oczy.

Trudno powiedzieć, czy spał, czy nie, lecz jeśli zasnął, to znaczy, że miał w głowie chronometr, ponieważ w regularnych odstępach czasu budził się, dorzucał do pieca i wracał na swoje miejsce. Gdy Banlon i Rafferty wrócili w towarzystwie O'Briena do lokomotywy, zastali go zgarbionego na krzeselku, ze zwieszoną głową i brodą spoczywającą na piersi. Wyglądało na to, że śpi. Nagle drgnął i uniósł głowę.

- Tak właśnie myślałem - O'Brien odezwał się zimno, z pogardą. - Zaspało się, co, Deakin?

Więzień bez słowa wskazał kciukiem manometr. Banlon spojrzał na strzałkę. - Długo sobie nie pospał, majorze. Ciśnienie w porządku. - Maszynista odwrócił się obojętnie i rzucił okiem na tender. Równe stosy szczap wyglądały tak, jakby nikt ich nie ruszał. - Paliwa też zużył tyle, ile powinien. Dobra robota. No ale nic dziwnego, trzeba mieć fach w ręku, żeby spalić takie Lake's Crossing...

- Wystarczy, Banlon. - O'Brien szybko skinął głową. - Hej, ty tam, idziemy.

Deakin wstał sztywno i zerknął na zegarek.

- Północ! Czyli że siedzę tu już siedem godzin! Mówiliście o czterech.

- Banlon musiał się wyspać. Czego ty chcesz, Deakin? Współczucia? - jedzenia.

- Carlos przygotował kolację - rzekł major. Więzień zastanawiał się w duchu, kiedy kucharz znalazł na to czas. - Dostaniesz w kuchni. My już jedliśmy.

- Nie wątpię.

O'Brien i Deakin zeskoczyli na pobocze i weszli na przedni pomost wagonu gubernatora. Major wychylił się i machnął ręką. Banlon dał znak, że zrozumiał, i zniknął w kabinie. O'Brien odwrócił się i otworzył drzwi do przedziału dziennego.

- No co, wchodzis

Deakin pomasaował czoło.

- Za chwilę. Niech pan nie zapomina, że świeże powietrze wpada do kabiny maszynisty tylko podczas jazdy. Po siedmiu godzinach w lokomotywie mam głowę jak bania.

O'Brien popatrzył na niego z namysłem. Doszedł do jedynie słusznego wniosku, że na pomoście Deakin nie może zmajstrować nic złego, więc skinął głową, wszedł do przedziału i zamknął za sobą drzwi.

Banlon otworzył przepustnicę. Koła pośliznęły się na oblodzonych szynach, lokomotywa zaczęła sapać pracowicie, a wysoki komin rozbuchał się ogniem jakby dostał czkawki. Nagle sapanie ustało - koła złapały przyczepność i pociąg ruszył z miejsca. Trzymając się poręczy, Deakin wychylił się i spojrzał do tyłu. Zamieć i zmrok sprawiały, że nie był tego całkiem pewny, mógł to być tylko wytwór jego wyobraźni, ale zdawało mu się, że między wagonem z prowiantem a pierwszym wagonem z końmi tworzy się niewielki odstęp. Pół minuty później, gdy pociąg wszedł w zakręt, co znacznie ułatwiło mu obserwację, wiedział już, że wyobraźnia go nie poniosła. Oba wagony z końmi stały na torze w odległości dwunastu, trzynastu metrów, szybko niknąc w ciemności.

Deakin wyprostował się. Jego twarz na pozór była jak zwykle kamienna, nieprzenikniona, a jednak można było doszukać się na niej przeblysków satysfakcji. Otworzył drzwi przedziału i wszedł do środka. Gubernator, Claremont, Pearce i O'Brien skupili się przy piecyku, niańcząc szklanki. Marika siedziała na uboczu, z rękami splecionymi skromnie na kolanach. Ona nic nie piła. Wszyscy jednocześnie odwrócili się do drzwi. O'Brien skinął kciukiem w stronę drugiego wagonu.

- Kolacja czeka w kuchni. - Gdzie mam dziś spać?

- Mógłbyś nauczyć się słowa „dziękuję”.

- Nie przypominam sobie, żeby ktoś podziękował mi za te siedem godzin w lokomotywie. Gdzie mam spać?

- Tutaj - odpowiedział mu Claremont. - Niech pan się położy na którejś z tych kanap.

- Co? Tak blisko barku? - zadrwił Deakin i ruszył do drzwi.

- Deakin! - zatrzymał go pułkownik. Więzień odwrócił się z powrotem. - Solidnie pan się tam napracował. Nie chciałem, żeby to tak wypadło. Zmarznięty?

- Jakoś przeżyłem.

Claremont spojrzał na gubernatora, który po chwili wahania skinął głową. Pułkownik sięgnął do barku, wyjął butelkę bourbna i podał ją Deakinowi, który z oporem przyjął podarunek.

- Jak to powiedziała panna Fairchild, skoro nie udowodniono panu jeszcze winy, jest pan niewinny. Chyba się rozumiemy - rzekł Claremont. - To pana trochę rozgrzeje.

- Dziękuję, pułkowniku. Bardzo to ładnie z pańskiej strony. Więzień skierował się do drzwi. Marika podniosła wzrok, uśmiechając się do niego nieśmiało. Deakin minął ją obojętnie. Dziewczyna przybrała równie beznamiętny wyraz twarzy jak on.

Cudem jakimś upchali się we trzech w ciasnej kuchni. Carlos i Henry nie odmówili szczodrego poczęstunku z butelki Deakina, a on sam zaatakował kolację. Jego porcja była równie imponująca, co niesmaczna, ale trudno się dziwić, że kucharz nie był w najwyższej formie. Wyskrobał talerz widelcem, podniósł szklankę i wypił do dna.

- Przepraszam, panie Deakin - usprawiedliwił się skruszony Carlos. - Obawiam się, że stwardniało w piekarniku.

Deakin przezornie nie pytał, co mianowicie stwardniało.

- Było pyszne, naprawdę. Właśnie tego mi było trzeba. - Ziewnął. - A teraz przyda mi się co innego. - Wziął butelkę, lecz po namyśle odstawił ją z powrotem na stolik. - Kiepski ze mnie pijak. Nie skończylibyście tego za mnie, chłopaki?

Carlos rozpromienił się.

- Spróbujemy, panie Deakin. Niech pana o to głowa nie boli. Więzień wrócił do przedziału dziennego w chwili, gdy gubernator, Claremont, Pearce i O'Brien zbierali się do sypialni. Marika już wcześniej wyszła. Żaden z nich nie raczył się do niego odezwać, nikt nawet na niego nie spojrział. Dorzucił do pieca, wyciągnął się na kanapie od strony lokomotywy, wyjął zegarek i sprawdził, która godzina. Była pierwsza w nocy.

Rozdział siódmy

- Pierwsza w nocy - powiedział Sepp Calhoun. - Wrócisz przed świtem?

- Wrócę - obiecał Biała Ręka, wyszedł po schodkach z gabinetu komendanta i dołączył do swoich wojowników. Na dziedzińcu fortu zebrało się co najmniej pięćdziesięciu Indian. Siedzieli na koniach, biali od gęsto zacinającego śniegu. Wódz Pajutów wskoczył na siodło i uniósł dłoń w uroczystym pozdrowieniu. Calhoun odpowiedział takim samym gestem. Indianin zawrócił konia i pogalopował do bramy. Pięćdziesięciu wojowników ruszyło za nim.

Deakin drgnął, obudził się i przerzucił nogi przez krawędź łóżka. Spojrzał na zegarek. Była czwarta nad ranem. Wstał, cicho przeszedł korytarzem obok sypialni gubernatora i Mariki, minął jadalnię, wyszedł na tylny pomost i przeskoczył na sąsiedni. Podkrał się do okna i zajrzał do środka wagonu.

Półtora metra od niego para kościstych nóg wystawała z kuchni na korytarz. Niewątpliwie były to nogi Henry'ego. Kelner na zmianę krzyżował je i prostował. Jak widać, nie spał.

Zamyślony Deakin odsunął się od okna i przeszedł na skraj pomostu. Wspiął się na poręcz, przytrzymał okapu i z wysiłkiem podciągnął się na zasypany śniegiem, oblodzony dach. Wstrząsy

i kołysanie wagonu nie ułatwiały mu zadania, gdy ryzykownie posuwał się na czworakach od jednego wentylatora do drugiego.

Pociąg jechał teraz wzdłuż wąskiego, głębokiego kanionu, ogrodzony szpalerem ośnieżonych sosen, których gałęzie, uginając się pod ciężarem śniegu, niemal omiatały dachy wagonów. Wiedziony instynktem, Deakin dwukrotnie obejrzał się w samą porę, by dostrzec pędzące na niego grube konary. Tylko błyskawiczne padnięcie na dach uchroniło go od zrzucenia na ziemię. Gdy dotarł na koniec wagonu, milimetr po milimetrze wysunął głowę za krawędź dachu i spojrzał w dół. Po pomoście dreptał opatulony po uszy Carlos. Bynajmniej nie zaskoczony jego obecnością Deakin odczołgał się do tyłu, na czworakach przeszedł na środek wagonu, odwrócił się i wstał. Z najwyższym trudem utrzymując równowagę, ruszył w kierunku lokomotywy.

Widząc zbliżającą się potężną gałąź sosny, nie wahał się ani chwili. Wiedział, że jeżeli nie zrobi tego teraz, prawdopodobnie nie zdobędzie się po raz drugi na tak samobójczy krok. Żeby złagodzić skutki zderzenia, cofnął się szybko, rozkładając szeroko ręce na wysokości piersi.

Złapał gałąź oburącz i z przerażeniem stwierdził, że jest o wiele cieńsza niż przypuszczał - zmyliła go gruba warstwa śniegu. Gałąź ugięła się. Desperacko zarzucił na nią nogi i wisząc w ten sposób, szybował pół metra nad dachem. Zerknął w dół. Nieświadom niczego Carlos mignął mu zaledwie trzydzieści centymetrów pod plecami i zniknął z widoku.

Deakin opuścił nogi i złościąc obcasami podwójny ślad na oblodzonym dachu, spoglądał do tyłu. Nagle puścił gałąź, wiedząc doskonale, że któryś ze sterzących wentylatorów może mu wypruć wnętrzności.

Nie doszło do tego, ale w tym ułamku sekundy nie był w stanie docenić swojego szczęścia. Mimo iż padając starał się trzymać głowę wysoko, upadek na plecy kompletnie go ogłuszył. Paradoksalne, ale czynnikiem, któremu zawdzięczał życie, okazał się ów zdradziecki lód. Gdyby nie on, na skutek hamowania Deakin w najlepszym razie straciłby przytomność. Ostateczny rezultat mógł być tylko jeden - obojętne czy nieprzytomny, czy połamany, zleciałby na pobocze. A tak, znikome tarcie spowodowało, że zaczął sunąć poślizgiem wzdłuż wagonu. Było prawie pewne, że przy tej szybkości przeleci za krawędź dachu i spadnie na tor, gdzie spotka go wyrok ostateczny - śmierć.

A jednak kolejny paradoks sprawił, że uratowały go potencjalnie śmiertelne wentylatory. Bez namysłu, instynktownie, wyciągnął rękę i złapał za jeden z nich. Odniósł wrażenie, że coś wyrwało mu prawe ramię z barku, wentylator brutalnie wydarł się z jego uścisku, lecz szybkość, z jaką sunął, wyraźnie się zmniejszyła. Ponownie wyciągnął rękę. Znowu przeszył go dojmujący ból, ale teraz już ślizgał się w tempie nieomal spacerowym. Zobaczył, że zbliża się trzeci i ostatni wentylator. Tym razem objął go oburącz i zacisnął lewą rękę na prawym nadgarstku. Czuł, że jakaś potężna siła znowu wrywa mu prawe ramię, czyżby odrosło mu nowe? Ale trzymał się twardo. Zatoczył szeroki łuk, wypadając nogami poza dach. Ale trzymał się dalej. Wiedział, że musi coś zrobić, bo siły go opuszczają. Powoli, zmagając się z bólem, podciągnął się na środek dachu, doczołgał na tył wagonu

i nie tyle zszedł, co spadł na pomost.

Łapczywie chwytając powietrze, siedział tam dobre pięć minut, zgięty w pół, nie mogąc złapać tchu i czując się jak pierwszy człowiek, który przepłynął Niagarę w beczce. Dokonał oceny rozmiarów strat: piękna kolekcja połamanych żeber z przodu, tam, gdzie trafiła go gałąź, tyleż samo złamanych żeber na plecach, po upadku na dach, a do tego prawe ramię połamane w Bóg wie ilu miejscach. Dopiero gruntowny przegląd ciała pozwolił mu stwierdzić, że kości wciąż ma całe. Wiedział, że przez dłuższy czas będzie zdrowo posiniaczony i obolały, ale na takie drobiazgi można machnąć ręką, zapomnieć o nich. Nie wyłączą go z obiegu. Wstał, otworzył tylne drzwi wagonu z prowiantem i wszedł do środka.

Mijając stopy trumien i skrzynie z lekarstwami, przeszedł na przód wagonu, gdzie znajdowały się dwa małe otwory obserwacyjne i wyjrzał na zewnątrz. Carlos nadal spacerował po pomoście, nie zdając sobie sprawy, że coś się dzieje. Deakin zdjął barani kozuch, powiesił go w jednym okienku, a drugie zakrył grubym workiem. Dopiero wtedy zapalił jedną z rzędu lamp naftowych, zwisających z sufitu w równych odstępach. Zaniepokoił się trochę, widząc na prawej ścianie nieznaczny prześwit między deskami, przez który ewentualnie światło mogło się wydostać na zewnątrz. Ale zauważyć je mógł tylko ktoś znajdujący się po prawej stronie wagonu, a Carlos stał z przodu. Zresztą i tak nic na to nie mógł poradzić. Przestał więc o tym myśleć i wziął się do roboty.

Za pomocą śrubokręta i dłuta, które przezornie zabrał z kabiny maszynisty, podważył wieko żółtej, okutej mosiądzem skrzyni z impregnowanego drewna, oznakowanej stemplem: ZAOPATRZENIE

KORPUSU MEDYCZNEGO ARMII STANÓW ZJEDNOCZONYCH. Wieko odskoczyło z głośnym trzaskiem, lecz Deakin podszedł do tego niefrasobliwie - wszelkie łajdactwa łatwiej można uprawiać podczas jazdy niż w trakcie postoju. Stare wagony, zardzewiałe koła i rozklekotane podwozia telepiąc się po szynach robiły tyle hałasu, że nawet z bliska uniemożliwiały normalną rozmowę. W wagonie z prowiantem trzeba by chyba strzelać z rewolweru, żeby zwrócić uwagę Carlosa, który tak czy inaczej miał inne sprawy na głowie - przestał dreptać w kółko i znów przyssał się do butelki, wierząc bardziej w rozgrzewanie się od środka.

Rzadko się zdarza, żeby lekarstwa pakowano do nie oznakowanych, szarych metalowych puszek. Deakin wziął jedną z nich i otworzył. Bez śladu zdziwienia spojrzął na połyskujące metalicznie naboje - najwyraźniej odkrycie to nie było dla niego zaskoczeniem. Otworzył jeszcze dwie puszkę. Zawierały to samo, co pierwsza.

Zostawił skrzynię z wyłamanym wiekiem - widocznie uznał, że drogę powrotną ma już zamkniętą, więc nie musi się przejmować tym, czy ktoś odkryje ślady jego działalności - i zabrał się do następnej, którą otworzył z takim samym brakiem szacunku dla rzekomej własności rządu Stanów Zjednoczonych. Znalazł w niej to samo, co w pierwszej. Z lampą w ręku przeszedł na tył wagonu, nie interesując się pozostałymi skrzyniami zawierającymi - jeśli wierzyć oznakowaniu - lekarstwa. Zatrzymał się przy trumnach i zaczął wyciągać jedną z dolnego stojaka. Nawet biorąc pod uwagę stan jego barków i ramion, czynność ta kosztowała go nadspodziewanie wiele wysiłku jak na rzekomo pustą trumnę.

W przeciwieństwie do niego Carlos nie trwonił sił i energii. Najwyraźniej nie stracił jeszcze wiary w skuteczność whisky jako lekarstwa na mróz. Przyłożył butelkę do ust, wycelował nią w niebo, opuścił ją niechętnie, potrząsnął i odwrócił do góry dnem. Bez skutku - była pusta. Z żalem ruszył chwiejnie do bocznej poręczy, wychylił się i cisnął butelkę w mrok nocy. Przez moment smętnie obserwował jej lot, dopóki nie rozplynęła się w ciemnościach i zadymce. Nagle jego mina zmieniła się krańcowo, choć niedawnego smutku nie zastąpił tradycyjnie promienny uśmiech. Rysy kucharza stwardniały, a jego oczy zwęziły się błyskawicznie, kontrastując z okrągłą jak księżyc w pełni twarzą. Carlos na chwilę zacisnął powieki, lecz obraz sprzed sekundy nie zniknął - widział wyraźny promień światła biegnący wzdłuż ściany sąsiedniego wagonu. Nadspodziewanie cicho i zwinnie, jak na kogoś o tak okazałej posturze, przeskoczył na pomost wagonu z prowiantem, sięgnął za pazuchę i wyjął groźnie wyglądający nóż.

Po drugiej stronie wagonu Deakin usunął z trumny zmaltretowane wieko, uniósł lampę i zajrzał do środka. Jego twarz wyrażała jedynie gorycz i gniew, ani śladu zdziwienia czy szoku - znalazł to, czego się spodziewał. Wielebny Peabody spoczywał w nader stosownym miejscu. Od wielu godzin już nie żył.

Deakin opuścił wieko i wyciągnął następną trumnę, dużo cięższą od poprzedniej, jeśli sądzić po ilości czasu i energii, jaką mu to zabrało. Bez pardonowo pomagając sobie dłutem, otworzył ją w kilka sekund. Zajrzał do środka i ledwie dostrzegalnie ze zrozumieniem skinął głową. Trumnę wypełniały po brzegi zabezpieczone grubą warstwą smaru karabiny powtarzalne typu „Winchester,

ładowane dźwignią, z cylindrycznym magazynkiem w łożu.

Deakin puścił wieko, ustawił na nim lampę, wyciągnął na podłogę trzecią trumnę i otworzył ją wprawnie. Dostrzegł, że także tę wypełniają po brzegi fabrycznie nowe winchestery, gdy naraz coś

obudziło jego wyostrzoną czujność. Zerknął w lewo. Płomień lampy zamigotał, tylko raz, jak gdyby poruszony nagłym przeciągiem w miejscu, gdzie nie ma prawa być żadnych przeciągów.

Odwrócił się w tej samej chwili, gdy Carlos skoczył na niego z wzniesionym do ciosu nożem. Wykręcił uzbrojoną rękę. Krótka, lecz zażarta walka skończyła się z chwilą, gdy obaj potknęli się o trumnę i rozdzielili padając. Deakin poleciał między dwa rzędy trumien, a Carlos na środek wagonu. Zerwali się błyskawicznie. Świadom tego, że jest nie uzbrojony, Deakin pomimo bólu i zmęczenia był o włos szybszy. Murzyn natarł na niego, trzymając nóż tak, jakby zamierzał rzucać. Nie mając możliwości uniku ani obrony w tej ciasnej przestrzeni, Deakin kopnął wściekle w najbliższą trumnę - tę, na której stała lampa. Wieko wystrzeliło w górę, na chwilę zasłaniając go przed wzrokiem Carlosa, a jednocześnie lampa roztrzaskała się na podłodze. Wagon pogrążył się w ciemnościach.

Deakin nie miał zamiaru czekać. Walka z przeciwnikiem uzbrojonym w nóż, którego się nie widzi, to pewne samobójstwo. Rzucił się do wyjścia, wypadł na pomost i zatrzasnął za sobą drzwi. Nie rozglądał się, do wyboru miał tylko jedną drogę - na dach. Wdrapał się tam, położył i czekał, by skoczyć na Carlosa, gdy tylko ukaże się na pomoście, lub - jeszcze lepiej - cofnąć się, zaczekać, aż wystawi głowę ponad dach i wtedy skopać mu ją z ramion. Ale sekundy mijały, a kucharz się nie pojawiał. Gdy wreszcie zrozumiał, w czym rzecz, było już niemal za późno. Odwrócił głowę i wpatrzył się w mleczny świat pełen szarawego, zacinającego śniegu. Przetarł oczy, osłonił je ręką i znów spojrzał przed siebie.

Niecałe trzy metry od niego Carlos z nożem w ręku czołgał się ostrożnie środkiem dachu. Wyszczерzone w szerokim uśmiechu zęby błyskały na tle czarnej twarzy. Widać było, że kucharz bawi się na sto dwa i wie, że już wkrótce ubawi się jeszcze lepiej. Deakin nie podzielał jego radości, takie atrakcje nie były mu potrzebne do szczęścia. Czuł, że w tej chwili średnio krzepki pięciolatek poradziłby sobie z nim bez większych kłopotów. A jednak sprzyjała mu pewna okoliczność, bo wprawdzie Carlos zachował, jak widać, pełnię sił fizycznych, lecz bardzo wątpliwe, czy to samo dałoby się powiedzieć o jego władzach umysłowych - wszak w jego żyłach płynęła niebagatelna ilość whisky.

Odwracając się na czworakach do nacierającego Carlosa, Deakin ujrzał kątem oka coś, co wyglądało jak długi most przerzucony nad kanionem. Możliwe zresztą, że był to tylko wytwór jego wyobraźni, ale nie miał czasu tego sprawdzać. Murzyn zbliżył się już na półtora metra

i błyskając zębami w szerokim, bestialskim uśmiechu, szykował się do rzutu nożem. Nie wyglądał na kogoś, kto nie trafia do celu. Deakin wyszarpnął zza siebie prawą rękę i cisnął zmrożoną bryłą śniegu w oczy kucharza. Oślepiony Carlos instynktownie

wykonał rzut, lecz nóż rozminął się z Deakinem, który skoczył do przodu i wyrznął Murzyna barkiem w klatkę piersiową.

Okazało się, że Carlos jest nie tylko gruby, ale i silny. Przyjął cios bez zmruczenia oka - inna sprawa, że oblodzony dach prawie zupełnie pozbawił Deakina impetu - oburącz chwycił więźnia za szyję i zaczął go dusić.

Deakin spróbował wyrwać się z uścisku Murzyna, przekonał się, że jest to niemożliwe, i zbierając resztki sił, z wściekłością zaczął okładać go po twarzy i tułowiu. Carlos tylko uśmiechnął się od ucha do ucha. Deakin stopniowo podciągnął nogi pod siebie i dygocząc z wysiłku, wstał razem z uczepionym jego szyi Murzynom, który nawet nie próbował mu w tym przeszkadzać, pochłonięty tylko i wyłącznie duszeniem.

Walczyli w groteskowo wolnym tempie, szukając oparcia dla nóg na zdradliwej powierzchni dachu. Carlos zerknął w lewo. Wjeżdżali właśnie na most, pod którym otwierała się na pozór bezdenne otchłań kanionu. Murzyn odsłonił zęby, częściowo ze zwierzęcego wysiłku, a częściowo ze świadomości bliskiego triumfu, i jeszcze mocniej wpił palce w szyję więźnia. Zbytńia pewność siebie albo raczej ilość wypitego alkoholu sprawiła, że nie przejrzał zamiarów Deakina, gdy ten wstał i zmusił go, by zrobił to samo. Olśnienie przyszło za późno.

Trzymając Murzyna za klapy, więzień gwałtownie rzucił się do tyłu Zaskoczony Carlos, nie mogąc utrzymać równowagi na oblodzonej powierzchni, z braku wyboru przewrócił się na niego. Kiedy padali, Deakin podkurczył nogi tak, że kolanami niemal dotykał brody, wsparł stopy o brzuch kucharza i z całej siły wyprostował nogi, jednocześnie przyciągając Carlosa do siebie. Wszystko to razem wzięte rozerwało morderczy uścisk Murzyna, który, daremnie wymachując rękami i nogami, wystrzelił jak z katapulty za krawędź dachu, przeleciał nad barierką mostu i runął w przepaść kanionu.

Deakin szybko przytrzymał się wentylatora i spojrzał w dół. Carlos, koziółkując powoli, zniknął właśnie w śnieżnej głębinie. Z czarnej otchłani doleciał przeciągły, zamierający krzyk strachu.

Nie tylko on usłyszał ostatni dźwięk, jaki kucharz wydał na tym świecie. Henry, który pilnował akurat stojącej na ogniu kawy, nagle podniósł głowę. Przez chwilę stał jak wryty, czekając na kolejny krzyk, a nie doczekawszy się, wzruszył ramionami i zajął się kawą.

Bez tchu, oddychając z wysiłkiem i masując posiniaczony kark - choć sprawiało mu to tyleż ulgi, co bólu - Deakin przez chwilę trzymał się jeszcze wentylatora, po czym doczołgał się na skraj dachu i opuścił na tylny pomost. Wszedł do wagonu, zapalił lampę i wrócił do przerwanego zajęcia. Otworzył kolejne dwie skrzynie przeznaczone dla korpusu medycznego armii. Tak jak poprzednie, także i te zawierały amunicję. Piątą z nich chciał zostawić w spokoju, gdy naraz zauważył, że jest nieco dłuższa od innych. To wystarczyło, żeby puścił dłuto w ruch. Skrzynia była wyładowana szarymi workami z gutaperki, w jakich zwykle przewozi sil proch strzelniczy.

Postanowił otworzyć jeszcze jedną skrzynię, choć na pozór niczym się nie różniła od swej poprzedniczki. Tę z kolei wypełniały małe, cylindryczne przedmioty o długości dwudziestu centymetrów, owinięte w szary, natłuszczony papier, zapewne wodoodporny. Wziął dwie sztuki, schował je do kieszeni, zgasił lampę i przeszedł na drugą stronę wagonu. Zdjął z kołka swój barani kozuch i właśnie wbijał się w niego, gdy przez odkryte okienko dostrzegł, że otwierają się drzwi sąsiedniego wagonu i Henry wychodzi na pomost. Kelner niósł dzbanek z kawą, dwa kubki i latarnię. Zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się ze zdziwieniem. Widocznie Carlos nie miał zwyczaju schodzić z posterunku.

Deakin nie zwlekał. Przebiegł przez wagon, wyszedł na pomost i zajął miejsce przy okienku.

Henry, trzymając latarnię wysoko ponad głową, otworzył drzwi i powoli wszedł do wagonu z prowiantem. Spojrzał w lewo i stanął jak wryty. Na jego twarzy odmalowało się krańcowe osłupienie, skądinąd całkiem zrozumiałe - nie oczekiwał, że zostanie sześć tak bezceremonialnie otwartych skrzyń, wystawiających na pokaz amunicję, proch strzelniczy i dynamit. Powoli, jak w transie, odstawił dzbanek i kubki i wolno ruszył w głąb wagonu. Na widok trzech otwartych trumien - dwóch zawierających winchestery i jednej z doczesnymi szczątkami wielebnego Peabody - rozdziawił usta i wybałuszył oczy. Gdy wreszcie doszedł do siebie, rozejrzał się z wściekłością, jak gdyby chciał się upewnić, czy obłąkany wandal, który narobił tyle szkód, nie czai się gdzieś w pobliżu. Po chwili wahania cofnął się, rozmyślił i skierował na tył wagonu. Deakin z wprawą wspiął się na dach.

Henry wyszedł na pomost. Minęło ładne parę sekund, nim jego oszołomiony umysł przyjął do wiadomości to, co podpowiadały mu otępiałe, szwankujące zmysły. Jego mina, kiedy uświadomił sobie, że dwa ostatnie wagony zniknęły, była niemal karykaturą strachu i niedowierzania. Przez dłuższy czas kelner stał jak skamieniały. Nagle odzyskał władzę w rękach i nogach, okręcił się na pięcie i wpadł przez otwarte drzwi do wagonu. Deakin zeskoczył z dachu i ruszył za nim, tyle że bardziej dostojnym krokiem.

Henry pobiegł do wagonu gubernatora i wpadł do przedziału dziennego, gdzie Deakin powinien spać twardo na kanapie. Instynkt go nie zawiódł - więzień się ulotnił. Kelner nie tracił czasu na okazywanie zdumienia czy innych miotających nim uczuć, zwłaszcza że na tym etapie to raczej widok śpiącego Deakina wprowadziłby go dopiero w prawdziwe osłupienie. Zawrócił na pięcie i pobiegł z powrotem. Tyle spraw kłębiło mu się w głowie, że nie przyszło mu na myśl spojrzeć w górę, gdy przeskakiwał z pierwszego wagonu do drugiego, a zresztą wątpliwe, czy udałoby mu się dostrzec przykucniętego na dachu więźnia. Wpadł do środka, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Deakin natychmiast zeskoczył na pomost i zaciekawiony stanął u wylotu korytarza.

Nie musiał długo czekać. Usłyszał gwałtowne łomotanie w drzwi i słowa Henry'ego. I głos, i mina kelnera świadczyły, jak bardzo jest podenerwowany.

- Na miłość boską, majorze, szybko! Nie ma ich! Zniknęły!

- Coś ty znowu wymyślił?! - warknął O'Brien z irytacją, jak przystało na człowieka brutalnie

wyrwanego z głębokiego snu. - Gadaj do rzeczy, człowieku!

- Zniknęły, majorze. Oba wagony z końmi... już ich nie ma. - Co takiego?! Upiłeś się!

- Niestety nie, a szkoda. Mówię panu, że zniknęły. Poza tym skrzynie z amunicją i dynamitem są otwarte. Trumny też. Nigdzie nie ma Carlosa. I Deakina. Przepadli bez śladu. Słyszałem krzyk, majorze...

Deakin nie czekał na dalszy ciąg. Wszedł do pierwszego wagonu, minął jadalnię i zatrzymał się przed sypialnią Mariki. Sprawdził, że drzwi są zamknięte na klucz, otworzył je wytrychem, wszedł do środka i zamknął je na klamkę. Na stoliku nocnym obok łóżka paliła się przygaszona lampka. Podkręcił ją, by rzuciła więcej światła, usiadł koło śpiącej pod kocem dziewczyny i potrząsnął ją delikatnie za ramię. Wzdrygnęła się, odwróciła i spojrzała na niego. Otworzyła oczy jeszcze szerzej, rozchyliła usta i... zamknęła je wielką dłoń.

- Nie! Jeśli ci życie miłe, siedź cicho! - Widząc, że dziewczyna coraz bardziej wytrzeszcza na niego oczy, Deakin potrząsnął głową. Swoją postawą próbował dodać jej otuchy, lecz sytuacja wyraźnie temu nie sprzyjała. - Z mojej strony nic pani nie grozi, panienko - dodał

i wskazał kciukiem drzwi. - Chodzi o tych pani przyjaciół. Ścigają mnie. I zabiją, jeśli dam się złapać. Mogę się ukryć u pani?

Cofnął dłoń. Marika już się nie bała, ale tętno na jej szyi waliło jak młotem, a jej oczy wciąż były czujne. Poruszyła wargami bezdźwięcznie. - Dlaczego miałabym pana ukrywać? - wyszeptała po chwili.

- Uratuje mi pani życie, to i ja panią uratuję.

Nie doczekał się odpowiedzi. Dziewczyna patrzyła na niego bez słowa, co wynikało nie tyle z obojętności, ile z faktu, że nic a nic nie rozumiała. Wreszcie potrząsnęła głową. Wywrócił pas na lewą stronę, odpiął guzik ukrytej kieszonki i wyciągnął z niej wizytówkę. Dziewczyna obejrzała ją, nic z tego nie pojmując. Nagle rozszerzyła oczy, pokiwała głową i spojrzała na niego, powoli przyjmując do wiadomości treść wizytówki. W tej samej chwili z korytarza doleciały czyjeś głosy. Marika wysunęła się z łóżka, ponaglając Deakina, który zajął jej miejsce, przycisnął się do ścianki przedziału i naciągnął koc na głowę. Dziewczyna przygasiła lampkę i właśnie wskakiwała z powrotem do łóżka, gdy ktoś zapukał do drzwi. Nie odpowiedziała, zajęta poprawianiem koców tak, by jak najlepiej ukrywały Deakina. Pukanie powtórzyło się, tym razem bardziej stanowczo.

Marika wsparła się na łokciu.

- Kto tam? - spytała zaspanym głosem. - Major O'Brien, proszę pani.

- Proszę, niech pan wejdzie. Otwarte.

O'Brien stanął w drzwiach, nie kwapiąc się, by wejść dalej.

- Co pan sobie myśli, budząc mnie o tak niehumanitarnej porze? - zaatakowała go z oburzeniem.

- Chodzi o tego więźnia, Deakina - wyjaśnił major ze skruchą. - Uciekł.

- Uciekł? Niech pan nie będzie śmieszny! Gdzież można uciec na tym odludziu?

- O to właśnie chodzi. Tu nie ma gdzie uciec. Dlatego sądzimy, że schował się w pociągu.

Marika zmierzyła go zimnym wzrokiem. - I pan uważa, że pewnie ja go...

- Ależ nie, nic podobnego, panno Fairchild - pośpieszył z zapewnieniem O'Brien. - Ale mógł się tu wśliznąć, jak pani spała.

- Chyba nie siedzi pod moim łóżkiem? - odparła zgryźliwie.

- Nie, to widać. Proszę wybaczyć, że panią niepokoiłem. - O'Brien wycofał się z niezwykłym jak na niego pośpiechem i jego oddalające się kroki ucichły. Deakin wystawił głowę spod koców.

- A niech mnie! - odezwał się ze szczerym podziwem w głosie. - Spisała się pani na sto dwa. I ani razu pani nie skłamała. W życiu bym nie uwierzył...

- Proszę wstać! Pan jest cały wytarzany w śniegu. Zimno mi!

- Nie. To paru wstaje. Niech się pani ubierze i sprowadzi tu pułkownika Claremonta.

- Mam się ubrać?! W pana... w pana obecności?! Deakin zakrył oczy.

- Moje droga... chciałem powiedzieć, proszę pani... w tej chwili mam na głowie inne, nie tak przyjemne sprawy. Widziała pani moją wizytówkę. Niech pani uważa, żeby was nikt nie podsłuchał. I żeby was nikt nie zobaczył po drodze. Niech pani nie mówi, że tu jestem.

Marika zrewanżowała mu się bardzo staromodnym, badawczym spojrzeniem, ale nie protestowała. Wyraz jego twarzy wykluczał wszelką dyskusję. Ubrała się szybko, wyszła i dwie minuty później wróciła w towarzystwie oszołomionego pułkownika.

Kiedy zamknęła drzwi, Deakin odrzucił koce i opuścił nogi na podłogę.

- Deakin! - Claremont nie wierzył własnym oczom. - Deakin! Co on tu... - przerwał i sięgnął do pasa po broń.

- Zostaw pan ten cholerny rewolwer! - warknął więzień ze znużeniem. - Niedługo będzie pan miał aż nadto okazji, żeby sobie postrzelać. Ale nie do mnie.

Podał mu swoją wizytówkę. Claremont wziął ją z wahaniem, obejrzał i jeszcze dwukrotnie przeczytał napis.

- „John Stanton Deakin - odczytał na głos. - Rząd Stanów Zjednoczonych... tajny agent... Allan Pinkerton.” - Pułkownik nadspodziewanie szybko odzyskał zimną krew i spokojnie oddał wizytówkę. - Pana Pinkertona znam osobiście. To jego podpis. Pana też już znam. A raczej słyszałem o panu. W tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym roku występował pan jako John Stanton. Wyświetlił pan wtedy kradzież siedmiuset tysięcy dolarów z pociągu Adams Express.

Deakin potwierdził ruchem głowy. - Co pan rozkaże, panie Deakin?

- On ma rozkazywać panu?! Ależ pan go dopiero co poznał, pułkowniku! - wtrąciła Marika z osłupieniem. - Skąd pan wie, czy... może go pan chociaż przesłucha albo...

- Moja droga, nie przesłuchuje się ludzi takich jak John Stanton Deakin - przerwał jej Claremont łagodnie.

- Ależ ja nigdy nie słyszałam...

- My się nie ogłaszamy w gazetach - wyjaśnił cierpliwie Deakin. - Czytała pani przecież... „tajny agent”. Na pytania przyjdzie jeszcze czas, a na razie ścigają mnie, więc i za wasze życie nie dałbym złamanego grosza. - Zamyślił się. - Zresztą nawet gdyby mnie nie szukali, nie mielibyście przed sobą długiego życia. Tyle że wypadki potoczyły się szybciej niż myślałem. W tym pociągu wszyscy mają teraz tylko jeden cel... zabić nas za wszelką cenę. - Uchylił drzwi i nasłuchiwał przez chwilę. - Są z przodu, naradzają się. To nasza jedyna szansa. Chodźcie. - Zdarł pościel z łóżka Mariki i schował ją pod kożuch.

- Po co to panu? - spytał Claremont. - Później. Idziemy.

- Idziemy? - parsknęła dziewczyna nieomal z wściekłością. - A mój stryj?! Nie mogę zostawić...

- Już ja dopatrzę, żeby czcigodny i prawy gubernator, czyli pani ukochany stryj, stanął przed sądem za morderstwo, zdradę stanu i kradzież na wielką skalę - przerwał jej cicho Deakin.

Nic nie pojmując, Marika spojrzała na niego bez słowa. Widać było, że przeżyła szok. Deakin powoli otworzył drzwi. Z przedziału dziennego dobiegały podniesione i wzburzone głosy. Właśnie mówił Henry.

- Richmond! Tam go spotkałem. W Richmond! - Kelner był wyraźnie rozgoryczony. - To było w sześćdziesiątym trzecim. Szpieg Unii. Widziałem go tylko raz. Uciekł nam wtedy. Ale to na pewno on.

- Chryste Panie! Agent federalny! - Ziejącej nienawiści w głosie O'Briena towarzyszył wyraźny lęk. - Wie pan, co to oznacza, gubernatorze?

Gubernator wiedział aż za dobrze.

- Łapcie go! - krzyknął piskliwym, rozedrganym głosem. - Na miłość boską, łapcie go! Macie go złapać i zabić! Zrozumiano? Zabić! Zabić!

Deakin nachylił się do ucha Mariki.

- Zdaje się, że to o mnie mu chodzi - wyszeptał. - Prawda, że uroczy staruszek?

Przemknął się na palcach korytarzem, mając za sobą roztrzęsioną, bladą jak śmierć dziewczynę. Pochód zamykał dziwnie spokojny Claremont. Szybko minęli jadalnię i wyszli na tylny pomost. Deakin bez słowa wskazał na dach. Zaskoczony pułkownik spojrział na niego z ukosa, lecz zaraz pokiwał głową. Przy pomocy agenta raz-dwa wspiał się na górę, przytrzymał wentylatora i podał rękę dziewczynie. Wkrótce wszyscy troje stali obok siebie na dachu, odwrócenii plecami do zacinającego śniegu.

- Coś okropnego! - odezwała się dziewczyna, szczękając zębami. Dygotała z zimna, a nie ze strachu. - Zamarzniemy tu na śmierć.

- Niech pani nie narzeka na dachy pociągów - zganił ją Deakin. - Dla mnie są jakby drugim domem. Poza tym w tej chwili trudno o bardziej bezpieczne miejsce w całym pociągu. Uwaga!

Ponaglenni jego okrzykiem schylili się w samą porę, by gruba, najeżona szpilkami gałąź sosny omiotła im plecy.

- Ma się rozumieć, jeżeli uważa się na te cholerne gałęzie - dorzucił Deakin.

- Co dalej? - Claremont był niezwykle opanowany, choć jego mina zdradzała, że w każdej chwili liczy na dobrą zabawę.

- Zaczekamy. I posłuchamy sobie. - Agent położył się na dachu i przysunął ucho do wentylatora. Pułkownik natychmiast poszedł w jego ślady. Agent przyciągnął Marikę do siebie.

- Nie widzę powodu, żeby mnie pan obejmował - stwierdziła oziębłe. - To romantyczne otoczenie tak na mnie działa - wyjaśnił. - Jestem bardzo czuły na takie rzeczy.

- Kto by pomyślał? - Jej głos był lodowaty jak noc zimowa.

- Nie chcę, żeby zleciała paru z tego cholernego dachu! - burknął, na co zamilkła urażona.

- Są tam - powiedział cicho Claremont. Deakin skinął głową. O'Brien, Pearce i Henry, każdy z bronią w ręku, stali niezdecydowani w jadalni.

- Skoro Henry słyszał krzyk, a Deakin pobił się z Carlosem, to może obaj wypadli z pociągu i... -

szeryf zawiesił głos.

Do jadalni wbiegł gubernator, jeśli w jego wypadku można mówić o biegu. Stracił oddech, nim pokonał pierwsze dwa metry.

- Moja bratanica! - wysapał. - Zniknęła!

Zbici z tropu, zaniemówili na chwilę. O'Brien pierwszy doszedł do siebie i zwrócił się do Henry'ego:

- Idź sprawdzić, czy pułkownik Claremont... nie, sam pójdę. Deakin i Claremont wymienili spojrzenia. Agent odwrócił się i wyrzwał za dach w samą porę, by dostrzec, jak O'Brien szybko przechodzi do sąsiedniego wagonu. Zwrócił uwagę, że major zapomniał o podstawowej zasadzie gościnności, w myśl której należy schować broń do kabury przed wizytą u dowódcy. Cofnął się do wentylatora i z roztargnieniem na powrót objął dziewczynę. Tym razem nie zgłosiła zastrzeżeń.

- Posprzeczaliście się z Carlosem? - spytał Claremont. - Trochę. Na dachu wagonu z prowiantem. Spadł.

- Carlos? Spadł? Ten miły, wesoły człowiek? - Widać było, że zdolność Mariki do przyswajania nowych i coraz bardziej niepożądanych wiadomości jest na wyczerpaniu. - Ale... ale może mu się coś stało. Może leży gdzieś koło torów i zamarza powoli na śmierć.

- To prawda, że coś mu się stało. Ale nie leży koło torów i nic nie czuje. Przejeżdżaliśmy wtedy przez most. Spadł na samo dno kanionu. - Pan go zabił - szepnęła ochryplym głosem. Deakin z trudem dosłyszał jej słowa. - To morderstwo!

- Każdy ma jakieś hobby. - Deakin przytulił ją mocniej. - A może wolałaby paru, żebym to ja leżał tam zamiast niego? Niewiele brakowało.

Milczała przez dłuższą chwilę.

- Przepraszam - powiedziała w końcu. - Jestem strasznie głupia. - To fakt - przyznał niezbyt szarmancko Claremont. - A co teraz, panie Deakin?

- Opanujemy lokomotywę. - Tam będziemy bezpieczni?

- Owszem, jak już się pozbędziemy naszego przyjaciela Banlona. Claremont nie wierzył własnym uszom.

- Niestety, pułkowniku. Banlon też. - Nie wierzę.

- Dusze tych trzech ludzi, których zabił, uwierzyłyby mi bez wahania.

- Zabił trzech ludzi?

- Tylko o trzech wiem na pewno.

Claremont błyskawicznie przystosował się do nowej sytuacji. - A więc jest uzbrojony? - zapytał spokojnie.

- Nie wiem. Myślę, że tak. W każdym razie Rafferty ma ze sobą karabin. Banlon może się nim posłużyć... rzecz jasna, jak już wypchnie pańskiego żołnierza z pociągu.

- Czy on nas może usłyszeć? I zatrzymać?

- Na tym świecie nigdy nic nie wiadomo, pułkowniku.

- Moglibyśmy zająć stanowiska w pociągu. U wylotu korytarza. Mam rewolwer...

- To beznadziejne. Oni są gotowi na wszystko. Z całym szacunkiem, pułkowniku, wątpię, czy włąda pan rewolwerem tak jak Pearce czy O'Brien. Zresztą nawet gdyby pan ich powstrzymał, nie obyłyby się bez strzelaniny. A Banlon po pierwszym strzale miałby się na baczności. Nie dopuściłby nikogo do lokomotywy i nie zatrzymując się, zawiózłby nas wprost do Fortu Humboldta.

- I co z tego? Bylibyśmy wśród przyjaciół.

- Obawiam się, że nie. - Deakin przytknął palec do ust i wystawił głowę za dach w chwili, gdy O'Brien przeskakiwał z powrotem do pierwszego wagonu. Znow przyłożył ucho do wentylatora. Sądząc po głosie, major stracił właściwy sobie spokój i ogładę.

- Pułkownik też przepadł! Henry, zostań tu i nie przepuszczaj nikogo, w żadną stronę. Strzelaj bez ostrzeżenia. Tak, żeby zabić. Nathan, gubernatorze... zaczniemy od ostatniego wagonu i przeszukamy cały ten cholerny pociąg.

Tymczasem pułkownik klęczał na dachu i nie bacząc na ponaglenia Deakina, spoglądał za siebie.

- Wagony z końmi! Nie ma ich! - Później, później! Idziemy.

Wszyscy troje bezszelestnie przeczołgali się środkiem dachu na drugą stronę wagonu. Deakin opuścił się na pomost i zajrzał przez okienko do środka. Henry stał w korytarzu po drugiej stronie, strategicznie oparty o ścianę jadalni, skąd mógł pilnować obu wejść do wagonu. Oczywiście miał rozbiegane, a w prawej ręce ścisnął wzniesiony do strzału rewolwer.

Deakin spojrział w górę, całkiem zbytecznie przytknął palec do ust, wskazał na drzwi wagonu i pomógł dziewczynie i Claremontowi zejść na pomost. Bez słowa wyciągnął rękę do pułkownika, który po chwili wahania dał mu rewolwer. Wymownym gestem pokazał, że mają zostać na miejscu, przeszedł na drugą stronę poręczy, przytrzymał się tylnej ściany tendra i stanął na buforze. Z

wysiłkiem podciągnął się na tyle, by wyrzucić zza stosu drewna.

Banlon wyglądał przez okno na tor przed lokomotywą, a Rafferty pracowicie dorzucał opału na palenisko. Nie zamykając pieca, żołnierz odwrócił się i ruszył do tendra. Deakin szybko opuścił głowę. Rafferty podniósł dwie kłody i wrócił do kabiny. Agent natychmiast podciągnął się i mając świadomość pewnej wpadki, gdyby któryś z mężczyzn w kabinie się obejrzał, szybko, lecz ostrożnie przebiegł po stosie drewna i zeskoczył na podłogę tendra.

Banlon znieruchomiał nagle, gdy coś - prawdopodobnie przelotne odbicie ruchu w szybie - zwróciło jego uwagę. Powoli odwrócił się od okna i spojrzął na Rafferty'ego, który podchwycił jego wzrok. Obejrzel się do tyłu jednocześnie. Półtora metra za nimi stał Deakin z coltem wycelowanym w pierś maszynisty.

- Widzę, że masz tu karabin - zwrócił się do żołnierza. - Nie próbuj po niego sięgać. Przeczytaj to.

Rafferty niechętnie wziął od niego wizytówkę, obejrzał ją w padającym z paleniska świetle i oddał z niepewną, zdziwioną miną.

- Pułkownik Claremont i panna Fairchild są na pierwszym pomoście. Pomóż im się tu dostać. Tylko spokojnie, Rafferty, bardzo spokojnie, jeśli nie chcesz, żebym ci rozwalil mózg.

Żołnierz zawahał się, skinął głową i wyszedł. Dwadzieścia sekund później wrócił w towarzystwie Claremonta i Mariki. Kiedy przechodzili z tendra do kabiny, Deakin zbliżył się do Banlona, złapał go za kłapy, popchnął na ścianę i niezbyt łagodnie przystawił mu lufę colta do gardła.

- Gdzie twój rewolwer, Banlon? Tacy jak ty nie rozstają się z bronią. Maszynista wyglądał tak, jakby w każdej chwili miał zwymiotować. Z trudem chwycił powietrze, próbując zmniejszyć ucisk lufy rewolweru. W tych okolicznościach jego udane oburzenie wystawiało mu markę przedniego aktora.

- Co to ma znaczyć, jak pragnę zdrowia? Pułkowniku...

Deakin szarpnął go i odwrócił twarzą do ściany. Wykręcił mu rękę tak, że dłoń maszynisty znalazła się między jego łopatkami, i popchnął go do otwartego wyjścia po prawej stronie kabiny, na schodki.

- Skacz!

Banlon z przerażeniem wytrzeszczył oczy. Pomimo zadymki widział uciekające mu spod nóg strome, kamieniste zbocze wąwozu. Deakin dźgnął go lufą colta w plecy.

- Powiedziałem: skacz!

Oślupiała i przerażona Marika chciała podejść do niego, lecz powstrzymała ją dłoń Claremonta.

- Skrzynka z narzędziami! - wrzasnął Banlon. - Jest pod skrzynką z narzędziami!

Agent cofnął się, pozwalając maszyniście na powrót do środka kabiny. Ruchem colta pokazał mu, że ma stanąć w rogu i zwrócił się do Rafferty'ego:

- Weź jego broń!

Żołnierz spojrzał na swego dowódcę, który skinął głową. Sięgnął więc pod skrzynkę z narzędziami, pomacał dookoła, wyciągnął rewolwer i podał go Deakinowi. Claremont odebrał od agenta swojego colta i ruchem głowy wskazał na tender.

- Oni nie są głupi - rzekł Deakin. - Migiem się zorientowali, że skoro nie ma nas w pociągu, to musimy być na dachu, a skoro i tam nas nie ma, to możemy być tylko tutaj. Zresztą i tak zdradzą nas ślady na śniegu. - Odwrócił się do Rafferty'ego. - Nie spuszczaaj oka z Banlona. Jeżeli choćby drgnie, zabij go.

Zabić go?

- Do grzechotnika nie strzelałbyś tak, żeby go tylko ranić, prawda? Banlon niesie śmierć szybciej niż każdy grzechotnik. Zabij go, mówię. Zresztą i tak czeka go stryczek.

- Stryczek? Ja i stryczek?! - Twarz Banlona zmieniła się nie do poznania. - Nie wiem, za kogo ty się masz, Deakin, ale prawo... Agent zrobił jeden długi krok i bez ostrzeżenia uderzył go na odlew

w twarz. Maszynista zatoczył się na przyrządy kontrolne, brocząc krwią z nosa i ust.

- Prawo - rzekł Deakin - to ja.

Rozdział ósmy

Banlon bezskutecznie przykładał do nosa i ust wyjątkowo niehigieniczny tampon. Zabiegi te nie przynosiły widocznych rezultatów - nadal obficie broczył krwią. Jego pomarszczona twarz była jeszcze bardziej poorana i ściągnięta niż zwykle, a brązowa, pergaminowa skóra jeszcze bledsza. Rozbieganymi oczami przypominał zaszczute dzikie zwierzę, szukające nie istniejącego wyjścia z matni. Przenosił wzrok z Deakina na Claremonta i z powrotem, nie znajdując w tym żadnej pociechy - ich twarze były bezlitosne.

- Koniec z tobą, Banlon - stwierdził pułkownik. - Kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Prawo to John Stanton Deakin, tajny agent rządu federalnego. Wiesz, co to znaczy.

Maszynista wiedział aż za dobrze. Jeszcze bardziej przypominał osaczone zwierzę.

- Celuj w tułów, a nie w głowę - przykazał Deakin Rafferty'emu. - Nie trzeba nam tu rykoszetów.

Odwrócił się, podszedł do tendra i zaczął odrzucał drewno ze stosu w prawym rogu. Marika i Banlon nie spuszczały z niego oka. Claremont odwiódł kurek rewolweru i dzielił uwagę między Deakina i Banlona. Tylko Rafferty, wypełniając powierzone mu zadanie, patrzył wyłącznie na maszynistę.

Deakin skończył robotę, wyprostował się i odstąpił na bok. Marika podniosła dłoń do ust w klasycznym geście. Jej ciemne, zamglone oczy wydawały się nienormalnie wielkie na tej szarej jak popiół twarzy. Claremont wlepił wzrok w poskręcane, częściowo odsłonięte zwłoki dwóch ludzi w mundurach.

- Oakland! Newell!

- A nie mówiłem? Stryczek - rzekł Deakin ponuro i zwrócił się do pułkownika: - Teraz już pan wie, dlaczego nie mógł pan ich znaleźć w Reese City. W ogóle nie opuścili pociągu.

- Wpadli na coś, czego nie powinni wiedzieć?

- W każdym razie rozegrało się to tutaj, w kabinie. Właśnie tu zginęli... nikt przecież nie taszczył dwóch martwych oficerów peronem pełnym żołnierzy. Wątpię, czy w takim miejscu jak kabina maszynisty mogli zauważyć coś podejrzanego. Raczej usłyszeli, jak ktoś rozmawia z Banlonem na jakiś podejrzaną temat i przyszli to zbadać. To był ich ostatni błąd na tym świecie.

- Ten ktoś to Henry. Banlon sam mi powiedział, że wysłali palacza - to znaczy Jacksona - do miasta, a sami...

- A sami ukryli Oaklanda i Newella pod drewnem. Właśnie dlatego Jackson musiał umrzeć. Odkrył zwłoki. - Deakin pochylił się i starannie ułożył kłody z powrotem na ciałach zabitych oficerów. - Moim zdaniem Banlon obawiał się, że za szybko zużywają opał i że Jackson w końcu ich znajdzie, więc spoił go tequilą, licząc na to, że uda mu się pozbyć zwłok, jak palacz zaśnie. Ale pijany Jackson zamiast pójść spać, zaczął coraz rozrzutniej gospodarować drewnem. Wybrał wszystkie kłody z rogu i znalazł ich. Wtedy Banlon musiał go zabić. Uderzył go pewnie kluczem francuskim, ale cios nie był śmiertelny.

- Jak Boga kocham, pułkowniku, nie wiem, o czym ten wariat gada! - zaskomlał piskliwie maszynista. Coraz bardziej przypominał osaczone zwierzę.

Claremont nawet na niego nie spojrział, całą jego uwagę pochłaniał Deakin.

- Proszę dalej.

- Po upadku na skałę Jackson zginął na miejscu. Ale na karku miał głęboką, krwawiącą ranę.

- A umarli nie krwawią.

- Otóż to. Banlon przywiązał Jacksonowi szmatę do ręki, zrzucił go w przepaść, przetarł szybę, żeby wyglądało na to, że palacz tam pracował, a potem opowiedział nam swoją bajeczkę.

- Nie uda ci się tego udowodnić! - przerwał mu maszynista ochryple. W jego głosie brzmiał nieskrywany strach.

- Masz rację. Nie uda mi się też udowodnić, że specjalnie spowodowałeś awarię pociągu, żebyście mieli czas na przecięcie linii telegraficznej do Reese City.

- W Reese City widziałem, jak majstrował przy przepustnicy - rzeka Claremont powoli.

- Pewnie ją obluzowywał. Nie mogę też udowodnić, że pod pozorem ładowania opału celowo zatrzymał pociąg, żeby mogli podłożyć ładunek wybuchowy za sprzęgło pierwszego wagonu z końmi... nastawiony tak, żeby wybuch nastąpił, gdy będziemy dojeżdżać do

szczytu najbardziej stromego podjazdu na trasie. Nietrudno domyślić się, dlaczego nikt nie wyskoczył ani nie próbował zatrzymać wagonów. Po wyciągnięciu wraków na pewno okaże się, że drzwi były zamknięte na klucz i że hamulcowego zamordowano.

- Specjalnie? - wyszeptała Marika. - Tych wszystkich ludzi zamordowano?

Rozległy się cztery szybkie wystrzały i gwizd rykoszetów, gdy kule odbiły się od stalowych ścian kabiny i wyleciały ze świstem w ciemność i śnieg. Nie do wiary, ale żaden z odbitych pocisków nie wpadł do środka pomieszczenia.

- Padnij! - krzyknął Deakin. Wszyscy jednocześnie rzucili się na podłogę kabiny i tendra... to znaczy wszyscy z wyjątkiem Banlona. On już nie miał nic do stracenia. Jakimś cudem w jego rękę znalazł się blisko półmetrowy klucz francuski, zatoczył śmiertelny łuk i spadł na głowę leżącego żołnierza. Cios był miażdżący. Banlon wyrwał karabin z bezwładnych rąk i odwrócił się do Claremonta, który celował z rewolweru w stronę tendra.

- Nie ruszać się! - krzyknął i patrząc na Deakina dorzucił: - Chciałbym, żebyś choć drgnął.

Nikt się nie poruszył. - Rzućcie broń! Rzucili broń.

- Ręce do góry i wstawać!

Wszyscy troje wstali, lecz tylko Deakin i Claremont unieśli ręce. - Głucha jesteś? - warknął Banlon na Marikę.

Wyglądało na to, że dziewczyna faktycznie ogluchła. Z niedowierzaniem wpatrywała się w Rafferty'ego. Nie ulegało wątpliwości, że żołnierz nie żyje. Banlon przesunął karabin.

- Trzeci raz nie powtórzę, panienko.

Powoli, jak we śnie, uniosła ręce. Banlon odwrócił się do agenta. Marika wciąż wyciągała prawą rękę w stronę zwisającej z sufitu lampy naftowej. Nie wiadomo, czy Deakin zauważył ten ukradkowy ruch - jego oczy i twarz nic nie wyrażały. Dziewczyna zacisnęła dłoń na lampie.

- Nie wiem, po co tu przyniósł tę białą pościel, ale w sam raz się przyda - rzekł Banlon. - Włóż tam na drewno i pomachaj prześcieradłem. Jazda!

Marika odczepiła lampę i zamachnęła się gwałtownie. Banlon ujrzał kątem oka błysk światła. Okręcił się na pięcie, uskakując w bok, lecz było już za późno. Lampa trafiła go w twarz. Nie wypuścił karabinu z rąk, ale na całe dwie sekundy stracił równowagę, a dla człowieka takiego jak Deakin dwie sekundy to aż nadto czasu. Agent rzucił się do przodu i rąbnął maszynistę bykiem. Karabin z łoskotem upadł na podłogę, a Banlon zwałił się jak kłoda na kocioł. Deakin skoczył na niego jak dziki kot, chwycił go za gardło i dwukrotnie uderzył jego głową o stal.

Twą Deakina nie była już beznamiętna. Kiedy zerknął na lewo i zatrzymał przelotne spojrzenie na zwłokach żołnierza, wykrzywił ją dziki, nieludzki grymas. Patrząc na niego, Marika po raz pierwszy poczuła strach. Agent znów spojrzał na Banlona. Nie wiedział, czy maszynista żyje, czy nie, ale było mu to obojętne. Raz jeszcze walnął jego głową o kocioł, tym razem łamiąc mu podstawę czaszki, przerzucił go sobie przez ramię, zrobił dwa kroki i wypchnął go z kabiny.

Pearce i O'Brien stali na przednim pomoście pierwszego wagonu. Nagle obaj zerknęli na pobocze, w samą porę, by rozpoznać koziołkujące zwłoki maszynisty, nim skryła je ciemność. Wymienili spojrzenia i czym prędzej wrócili do wagonu.

Na twarzy Deakina chwilowe nieprzejednanie ustąpiło miejsca tradycyjnie beznamiętnej minie.

- No, dalej - odezwał się do Mariki zachęcająco. - Wiem. Nie powinienem tego robić.

- Dlaczego? - odparła rozsądnie. - Sam, pan mówił, że niczego by mu pan nie udowodnił.

Po raz drugi tej nocy beznamiętność opuściła Deakina. Z osłupieniem wlepił wzrok w dziewczynę.

- Zdaje się, że mamy ze sobą więcej wspólnego niż paru myśli. Uśmiechnęła się słodko.

- A skąd pan wie, co ja myślę? .

W przedziale dziennym O'Brien, Pearce, Henry i Fairchild odbywali taradę wojenną, choć prawdę mówiąc gubernator niezbyt się udzielał. Trzymając pełną szklankę whisky, wpatrywał się w piecyk z miną cierpiętника.

- To straszne! - jęknął słabym głosem. - Okropne! Jestem skończony. O mój Boże!

- Kiedy odkryłem, że wydał pan majątek na łapówki, byleby zostać gubernatorem, i wiedząc, z kim mam do czynienia, przyjąłem pana do naszej spółki z Nathanem, jakoś nie widział pan w tym nic strasznego - wściekł się O'Brien. - Kiedy wpadł pan na pomysł, że Nathan byłby

dla nas najbardziej przydatny jako agent do spraw Indian i osobiście mianował go pan ich przedstawicielem na tym terytorium, też nie uważał pan, że to okropne. Nie widział pan nic złego w tym, żeby domagać się połowy zysków dla siebie. Rzygać mi się chce, jak na pana patrzę, gubernatorze Fairchild.

- Nie sądziłem, że wpakujemy się w taką kabałę - mruknął Fairchild posępnie. - Te zabójstwa, morderstwa. I jak tu uczciwy człowiek ma zachować spokój ducha? - Nie zważając na okrzyk zdumienia majora, a może nie dosłyszawszy go, ciągnął: - Nie powiedzieliście mi, że weźmiecie moją bratanicę jako zakładniczkę na wypadek kłopotów z jej ojcem. Nie powiedzieliście mi...

- Już ja bym panu powiedział... - przerwał mu rozsierdzony szeryf. - Może to i lepiej, że mam ważniejsze sprawy na głowie.

- Podobno jesteście ludźmi czynu - odciął się gubernator, lecz jego riposta wypadła nader żałośnie. - Dlaczego nic nie robicie?

O'Brien spojrzał na niego z pogardą.

- A niby co mamy robić, stary durniu?! Widziałeś, jak zabarykadowali tender drewnem? Musielibyśmy mieć działo, żeby się do ruchu dobrać, za to oni siedzą sobie spokojnie z bronią w rękę, wyglądają przez szpary i tylko patrzą, żeby któryś z nas wychylił nosa i dał się ustrzelić. Z odległości dwóch metrów trudno spudłować - zakończył z goryczą.

- Kto mówi o frontalnym ataku? Wdrapcie się na dach z drugiej strony wagonu i zajdźcie ich od góry. W ten sposób będziecie mieli widok na cały tender.

O'Brien przemyślał to sobie i przyznał: - Mimo wszystko nie jest pan taki głupi.

Tymczasem w kabinie maszynisty Deakin oswajał się z przyrządami, a Claremont dokładał do pieca. Marika zarzuciła na ramiona płachtę brezentu i siedząc na drewnie, uważnie obserwowała pomost pierwszego wagonu przez specjalną szparę w barykadzie. Pułkownik zamknął drzwiczki pieca i wyprostował się.

- A więc zaczęło się od Pearce'a? - zapytał.

- Tak - potwierdził Deakin. - Właśnie od niego. Od dawna już mamy go na liście podejrzanych. To prawda, że kiedyś walczył z Indianami, ale sześć lat temu przeszedł na ich stronę. Naturalnie, w oczach społeczeństwa nadal uchodzi za człowieka w służbie Wuja Sama, który ojcowskim okiem dogląda rezerwatów. Whisky i broń, to jego ojcowskie oko!

- A O'Brien?

- W stosunku do niego nie mieliśmy żadnych podejrzeń. Znamy każdy szczegół jego służby wojskowej. To świetny żołnierz, ale jako człowiek jest zepsuty do szpiku kości... pamięta pan tę patetyczną scenę w Reese City, kiedy to wspominali z Pearcem stare, dobre czasy i bitwę pod Chattanooga w sześćdziesiątym trzecim? O'Brien naprawdę tam walczył. Ale Pearce znajdował się wtedy o tysiące kilometrów stamtąd... był zwiadowcą jednej z sześciu kompanii kawalerii na terenach, które rok później weszły w skład nowo proklamowanego stanu Nevada. A zatem O'Brien też stał się podejrzany.

- To samo dotyczy także gubernatora?

- Jakże inaczej? Jest słabego charakteru, chciwy i dał się poznać jako lepszy kombinator.

- I zawiśnie na tej samej gałęzi co oni? - Na tej samej.

- Podejrzewał pan każdego.

- Taki już mój fach i taka natura. - Ale dlaczego nie mnie?

- Nie chciał pan zabrać Pearce'a. To oddalało od pana wszelkie podejrzenia. Ale ja chciałem, żeby szeryf pojechał z panem... i ze mną. Te wspaniałe listy gończe bardzo ułatwiły całą sprawę.

- Pan mnie oszukał - stwierdził Claremont z goryczą, ale bez urazy. - Wszyscy mnie oszukali. Rząd albo władze wojskowe mogły mnie dopuścić do tajemnicy.

- Nikt pana nie oszukał. Podejrzewaliśmy, że w Forcie Humboldta coś się stało, więc woleliśmy

trzymać oba atuty w ręku. Wsiadając do pańskiego pociągu wiedziałem o wypadkach w forcie tyle samo co pan. - Ale teraz już pan wie, co tam zaszło?

- Teraz już tak. - Deakin!

Na dźwięk swojego nazwiska agent odwrócił się błyskawicznie, sięgając po broń.

- Mam na muszce dziewczynę. Nic nie kombinuj, Deakin!

Deakin nic nie kombinował. Pearce siedział na dachu pierwszego wagonu, beztrząsowo wymachując nogami. W nieruchomej dłoni miał colta, a na twarzy ponury, wrogi uśmiezek.

Agent trzymał ręce z dala od ciała, co było podwójnie wskazane, bo tuż za szeryfem zauważył O'Briena, naturalnie z rewolwerem w garści. - Co mam robić? - zawołał.

- No, już lepiej, tajniaku! - odkrzyknął Pearce niemal jowialnie. - Zatrzymaj pociąg.

Deakin odwrócił się w głąb kabiny.

- Ten facet powiedział: zatrzymaj pociąg - mruknął pod nosem. Delikatnie przekręcił hamulec, jednocześnie zamykając przepustnicę. Nagle jednym gwałtownym ruchem zakręcił hamulec do końca, blokując koła lokomotywy. Nastąpiła seria ostrych, metalicznych trzasków, gdy bufory tendra i wagonów zderzały się po kolei.

Dla rewolwerowców na dachu skutki hamowania okazały się katastrofalne. Nagłe wytracenie szybkości w połączeniu z gwałtownym szarpnięciem zrzuciło Pearce'a z oblodzonego dachu na pomost, a jego broń koziołkując wypadła na pobocze, gdy przytrzymał się poręczy, by nie wypaść z pociągu. Nieco dalej O'Brien leżał plackiem, kurczowo uczepony wentylatora, by nie pójść w ślady szeryfa.

- Padnij! - krzyknął Deakin. Zwolnił hamulec, otworzył szeroko przepustnicę i dał nura do tendra. Claremont leżał już w kabinie, a Marika siedziała na podłodze w tendrze z wyrazem bólu na twarzy. Agent zaryzykował rzut oka ponad barykadę.

Pearce podniósł się już i właśnie umykał, szukając schronienia w wagonie. O'Brien, rozgoryczony i wściekły, składał się do strzału. Jego rewolwer plunął ogniem. Huk, metaliczny trzask kuli uderzającej o stal i jęk rykoszetu Deakin odebrał jako jeden dźwięk. Niemal odruchowo chwycił najbliższe polano i - nie wchodząc w pole widzenia majora - cisnął nim ponad barykadę.

O'Brien nie widział przeciwnika, do którego mógłby strzelać, ale uznał, że obejdzie się bez tego. Kula odbijająca się na chybił-trafił w ograniczonej metalowymi ścianami przestrzeni może być równie śmiertelna jak bezpośrednie trafienie. Kiedy zdejmował palec ze spustu, jego gniew ustąpił miejsca trwodze - zdawało mu się, że lecące na niego polano jest wielkie jak pień. Nie puszczać wentylatora, rzucił się w bok. Za późno - uderzenie sparaliżowało mu ramię i wytrąciło rewolwer,

który szerokim łukiem wypadł na pobocze. Nieświadom tego Deakin dalej ciskał w niego drewnem, uwijając się jak w ukropie. Major uchylił się przed niektórymi pociskami, inne odparował, ale i tak większość z nich doszła celu. Wycofał się więc jak rak i z ulgą schronił się na tylnym pomoście.

Deakin wstał i zaryzykował najpierw szybkie, potem nieco dłuższe spojrzenie za barykadę. Horyzont czysty. Na dachu i przednim pomoście wagonu nie było nikogo. Agent odwrócił się do dziewczyny.

- Jakież obrażenia?

Czule pomasowała obolałą część ciała.

- Tylko w miejscu, na które tak nagle klapnęłam.

Deakin uśmiechnął się i spojrzał na Claremonta. - A pan nie ucierpiał?

- Tylko na honorze.

Agent skinął głową, zwolnił bieg pociągu i z karabinem Rafferty'ego przeszedł do tendra, gdzie zaczął naprawiać świeżo powstałą wyrwę w barykadzie.

W przedziale dziennym gubernator i jego trzej kompani ponownie zwołali naradę wojenną. W atmosferze wyczuwało się przygnębienie, a właściwie defetyzm. Gubernator Fairchild trzymał tę samą - albo taką samą - szklankę pełną whisky. Ze skrajnie nieszczęśliwą miną wpatrywał się nerwowo w rozpalony piecyk. O'Brien i Pearce, który właśnie postawił na stole karafkę, wyglądali jak dwaj twardzi zawodowcy, nienawykli do ponoszenia tak druzgocących klęsk. Henry, również ze szklanką w rękę, z szacunkiem trzymał się na uboczu. Jego mina, jeśli to w ogóle możliwe, była jeszcze bardziej grobowa.

- Ma pan jeszcze jakieś genialne pomysły, gubernatorze? - warknął zeźlony Pearce.

- Pomysł był mój, ale wykonanie wasze. Czy to moja wina, że was przechytrzył? Bóg mi świadkiem, gdybym był o dwadzieścia lat młodszy...

- Ale nie jest pan - uciał O'Brien. - Więc niech pan się zamknie. - Mamy skrzynkę materiałów wybuchowych - odezwał się nieśmiało Henry. - Moglibyśmy rzucić laskę dynamitu...

- Ty też się zamknij, jak nie masz lepszych pomysłów. Ten pociąg jest nam potrzebny, żeby nim wrócić na wschód.

I znów zapadła ponura cisza, cisza, która skończyła się nagle, gdy karafka z whisky rozprysnęła się, a na przedział spadł deszcz alkoholu i ostrych jak brzytwa odłamków szkła. Wyraźnie usłyszeli znajomy huk wystrzału z karabinu. Gubernator odjął dłoń od policzka i w osłupieniu spojrzał na krew. Rozległ się drugi huk i czarny kapelusz szeryfa przeleciał przez pokój. Nagle zrozumieli.

Wszyscy czterej rzucili się na podłogę i pośpiesznie wyczołgali na korytarz prowadzący do jadalni. Padły jeszcze trzy strzały, ale nim zabrzmiał ostatni, w przedziale nie było już nikogo.

Deakin wyciągnął karabin ze szczeliny w barykadzie, wstał, wziął Marikę pod rękę i zaprowadził ją do kabiny. Jeszcze trochę zwolnił bieg pociągu, uniósł zwłoki Rafferty'ego, przeciągnął je do tendra i nakrył brezentem. Wrócił do lokomotywy.

- Stanę lepiej na straży - powiedział Claremont.

- Nie ma potrzeby. Dziś w nocy nie będą nas już niepokoić. - Deakin przyjrzał mu się uważnie. - Ucierpiał pan tylko na honorze, co? - Ujął pułkownika za lewą rękę i obejrzał broczącą krwią dłoń. - Niech pani z łaski swojej przemyje mu rękę śniegiem i owinie kawałkiem prześcieradła - zwrócił się do dziewczyny i spojrzał na tor przed lokomotywą. Pociąg rozwijał teraz najwyżej dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę, ale przy tak kiepskiej widoczności była to jazda na granicy bezpieczeństwa. Agent bez specjalnego zapachu zaczął dorzucać do pieca.

Pułkownik skrzywił się, gdy Marika przystąpiła do obmywania rany. - Tam na dachu wspomniał pan, że w forcie nie zastaniemy przyjaciół - odezwał się.

- Ależ zastaniemy... tyle że pod kluczem. Ktoś opanował Fort Humboldta. Idę o zakład, że to Sepp Calhoun, prawdopodobnie wspomagany przez Pajutów.

- Przez Indianin? A cóż oni na tym zyskają... oprócz represji?

- Bardzo dużo... a jeśli dostaną zapłatę, którą dla nich wieziemy, żadnych represji nie będzie.

- Zapłatę?

- Jest w wagonie z prowiantem. To dlatego umarł doktor Molyneux. Dlatego zginął Peabody. Molyneux powiedział, że idzie sprawdzić lekarstwa, więc musiał umrzeć.

- Musiał?

- Nie wieziemy żadnych lekarstw. Skrzynie, w których miały być lekarstwa, są pełne amunicji.

Claremont patrzył, jak Marika kończy bandażować jego dłoń. - Rozumiem - bąknął po dłuższej chwili. - A wielebny?

- Wielebny! Wątpię, czy Peabody widział jak wygląda kościół od środka. Od dwudziestu lat pracował jako agent, najpierw Unii, potem rządu federalnego, a przez ostatnie osiem był moim współnikiem.

- Kim? - zapytał ostrożnie Claremont.

- Przyłapali go, jak otwierał trumny. Wie pan, te dla ofiar epidemii. - Wiem. Wiem, do czego służą trumny - zirytował się pułkownik, zniecierpliwiony głównie tym, że niewiele z tego wszystkiego pojmuje.

- W Forcie Humboldta jest mniej więcej tylu chorych na cholere, ile szarych komórek w mojej głowie. - Deakin, nie wiedzieć czemu, był z siebie wyraźnie niezadowolony. Trumny są pełne szybkostrzelnych karabinów Winchestera, ładowanych dźwignią, z cylindrycznymi magazynkami w łożu.

- Nie ma takich.

- Już są.

- To dlaczego o nich nie słyszałem?

- Poza ludźmi z fabryki mało kto o ruch słyszał. Produkcja ruszyła zaledwie cztery miesiące temu, jeszcze nie trafiły do sprzedaży... ale pierwsze czterysta sztuk skradziono z fabryki. Teraz już wiemy, co się z nimi stało.

- Za to ja nie wiem, co się stało ze mną. Zupełnie się pogubiłem. A gdzie się podziały wagony z końmi, panie Deakin!

- Odczepiłem je.

- Naturalnie. Ale dlaczego? Agent zerknął na manometr.

- Chwileczkę. Ciśnienie spada.

Nie spadało natomiast napięcie w stosunkowo bezpiecznej jadalni, gdzie Fairchild i reszta kompanii po raz trzeci odbywali naradę wojenną. Naradę tyle ospałą, co milczącą. Gubernator, O'Brien i Pearce siedzieli w ponurej ciszy, której nawet wygrzebana skądś butelka whisky nie była w stanie przerwać, a Henry apatycznie dorzucał do pieca.

Gubernator wzdrygnął się.

- I nic? Nic nie potraficie wymyślić? - Nie - odparł zwięźle O'Brien.

- Musi być jakieś rozwiązanie! Henry wyprostował się.

- Za pozwoleniem, panie gubernatorze, obejdziemy się bez rozwiązania.

- Zamknijże się, człowieku! - burknął O'Brien.

Ale Henry uparł się, że powie, co ma do powiedzenia, i nie zamierzał się zamknąć.

- Obejdziemy się bez rozwiązania, bo nie ma żadnego problemu. Jedyne nasz ewentualny problem można by ująć tak: ca się stanie, jeżeli go nie zatrzymamy? A to całkiem proste. Będzie jechał, póki nie znajdzie się zdrow i cały u przyjaciół w Fortcie Humboldta.

Nastąpił gwałtowny wzrost zainteresowania, po czym zapadła długa, brzemnienna w domysły cisza. Wreszcie przerwał ją O'Brien:

- Jak Boga kocham, Henry, chyba masz rację! Jeśli nawet on wie, że sprzedajemy broń Indianinom, to wcale nie znaczy, że wie o nas wszystko, że zna nasze prawdziwe plany. Nie może o tym wiedzieć, to oczywiste: Bo i skąd? Nikt o tym nie wie. To wykluczone.... oprócz nas nikt nie miał kontaktu z fortem. Cóż by tu jeszcze dodać? – zakończył major wylewnie.

- Tyle tylko, panowie, że czeka nas zimna noc. Proponuję, żebyśmy pozwolili Deakinowi dalej bawić się w maszynistę. Idzie mu to wcale nieźle.

Fairchild sięgnął po butelkę, uśmiechając się szeroko.

- W fortcie Biała Ręka na pewno zgotuje mu ciepłe powitanie - rzekł, ciesząc się już na samą myśl.

Tymczasem Biała Ręka znajdował się szmat drogi od fortu i z każdą chwilą oddalał się od niego coraz bardziej. Śnieg wciąż padał, ale już nie tak gęsty. Wiatr wciąż dmuchał, ale już nie tak silnie. Dwie, trzy dziesiątki opatulonych po uszy wojowników galopowały za Białą Ręką szeroką, krętą doliną. Wódz podniósł głowę i spojrzał w lewo. Nad szczytami gór, od wschodu, pojawiły się już pierwsze promienie słońca.

Biała Ręka odwrócił się w siodle i wskazał na wschód, niecierpliwie ponaglaając swoich ludzi. Pajuci rozciągnęli szyki, cwałując coraz szybciej płaskim dnem doliny.

Prostując się znad paleniska, Deakin również zauważył oznaki przedświt. Rzucił okiem na manometr, z satysfakcją pokiwał głową i zamknął drzwiczki pieca. Claremont i Marika, bladzi i wymęczeni, zajmowali dwa składane krzeselka w kabinie. Deakin był w nie lepszej formie niż oni, ale nie mógł sobie jeszcze pozwolić na taki luksus, jak zmęczenie. Aby się czymś zająć i nie uśpić czujności, a może też z innych powodów, podjął swą opowieść w miejscu, w którym ją przerwał.

- No i tak. Wagony z końmi. Musiałem je odczepić. Indianie - niewątpliwie Pajuci pod wodzą Białej Ręki - szykują zasadzkę na nasz pociąg u wylotu Przełęczy Złamanego Serca. Znam to miejsce. Będą musieli zostawić konie co najmniej półtora kilometra stamtąd... a nie chcę, żeby mieli pod ręką jakiegóż inne.

- Zasadzka? Szykują zasadzkę? - Claremont był zupełnie skołowany. - Ależ zdawało mi się, że Indianie działają ręka w rękę z tymi... tymi sprzedawczykami w fortcie.

- To prawda. Ale są przekonani, że próba odczepienia wagonów z żołnierzami nie powiodła się...

więc chcą zniszczyć nasz oddział. Musiałem jakoś wywabić ich z fortu, bo inaczej nie dostalibyśmy się do środka.

- Są przekonani, że... - bąknął Claremont.

- Pamięta pan ten zaginiony telegraf? Nie znaleźliście go, bo go ukryłem. W skrzyni na siano w pierwszym wagonie z końmi. Kiedy zeszłej nocy zatrzymaliśmy się na postój, a ja doglądałem pieca, wziąłem sobie wychodne, żeby z niego skorzystać. Ci w forcie wzięli mnie za O'Briena.

Pułkownik przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. - Nie tracił pan czasu, panie Deakin.

- Rzeczywiście, nie próżnowałem.

- Ale dlaczego, dlaczego, dlaczego?! - Marika bezradnie rozłożyła ręce. - Czy dla kilku skrzyń karabinów warto było napadać na Fort Humboldta? Dlaczego Pajuci chcą zaatakować pociąg? Po co ta cała masakra żołnierzy? Dlaczego mój stryj, Pearce i O'Brien niażają swoje życie i kariery...

- Te trumny jadą do Fortu Humboldta wyładowane, prawda? Wracając na wschód też nie będą puste.

- Przecież sam pan mówił, że tam nie ma epidemii - zaproponował Claremont.

- Epidemii nie ma, to fakt. Jest za to coś zupełnie innego, coś, w zamian za co mężczyźni gotowi są stracić życie, honor, zaprzedać duszę. Obiły się panu o uszy te cztery nazwiska: MacKay, Fair, O'Brien - nie chodzi tu o jakiegoś krewnego naszego przyjaciela - i Flood?

Claremont spojrział na krew, przeciekającą przez prowizoryczny opatrunek

- Coś mi się kojarzy.

- To są właśnie ci czterej, którzy na początku roku odkryli tę wielką żyłę złota w Comstock. O ile nam wiadomo, wydobyli już kruszec wartości ponad dziesięciu milionów dolarów. Jest tylko jeden sposób, żeby go przewieźć na wschód... koleją. Rzecz jasna, dochodzą do tego jeszcze zwyczajne dostawy złota i srebra ze złóż w Kalifornii. I cały ten transport musi przejść przez Fort Humboldta. Moim zdaniem obecnie tylko w skarbcu federalnym może być więcej złota niż w forcie.

- Całe szczęście, że usiadłem - wtrącił Claremont. . - Niech pan się czuje jak u siebie w domu. Wie pan, że jeżeli przez jakieś terytorium przechodzi wielki transport złota, to najpierw zawiadamia się gubernatora stanu, który daje znać władzom wojskowym lub cywilnym, że mają zapewnić ochronę. Tym razem Fairchild nie zawiadomił żadnych władz. Poinformował natomiast O'Briena, ten z kolei Pearce'a, a szeryf Calhouna, który za ustaloną cenę zorganizował pomoc Pajutów. Proste, prawda?

- I całe to złoto miało pojechać na wschód w trumnach?

- Jakżeby inaczej? Kto by otwierał trumny... zwłaszcza ze zwłokami ofiar epidemii cholery? W razie potrzeby można by nawet pochować to złoto z wszelkimi honorami... a w nocy wykopać.

Claremont potrząsnął głową. Wyraźnie stracił ducha, był bliski rozpacz.

- W wagonach za nami siedzą bandyci, w forcie czeka na nas Seep Calhoun i jego banda zdrajców, a do tego jeszcze Bóg wie ilu Pajutów... - Spokojna głowa - pocieszył go Deakin. - Coś wymyślimy.

Marika obrzuciła go chłodnym, taksującym wzrokiem.

- Nie wątpię, że pan coś wymyślił, panie Deakin - powiedziała. - Prawdę mówiąc, już wymyśliłem.
-

Rozdział dziewiąty

Jałowy, pozbawiony wody wąwóz, którym biegła linia kolejowa, bardzo trafnie nazwano Przełęczą Złamanego Serca. W pewnym miejscu tor dochodził do małego rozwidlenia. Lewą, czy też południową odnogę wąwozu ograniczała niemal pionowa urwista skała, prawą zaś łagodny stok, opadający aż do wyschniętego koryta rzeki, usianego wielkimi głazami. Tworzyły one znakomitą kryjówkę - ma się rozumieć znakomitą dla ludzi, ale nie dla koni. Najbliższe miejsce, gdzie można było ukryć zwierzęta, znajdowało się po drugiej stronie doliny, półtora kilometra dalej. Był to gęsty zagajnik sosnowy. Właśnie tam Biała Ręka uniósł dłoń, zatrzymując oddział strudzonych jeźdźców.

Wódz Pajutów zsiadł z konia i wskazał na kamieniste zbocze wąwozu. - Tam stanie pociąg i tam się ukryjemy - powiedział. - Dalej musimy pójść pieszo. - Odwrócił się do dwóch wojowników. - Wy zostaniecie z końmi. Zaprowadźcie je głębiej w las. Nikt ich nie może zobaczyć.

Tymczasem w jadalni Henry drzemał koło piecyka, a Fairchild, O'Brien i Pearce siedzieli z głowami opartymi na blatach stołów i spali, a przynajmniej sprawiali takie wrażenie. W kabynie maszynisty Deakin ani myślał zasnąć - bez przerwy wyglądał przez okno na szyny. Śnieg wciąż sypał i widoczność była bardzo kiepska. Marika, równie daleka od snu, kończyła poprawiać białe prześcieradło spowijające Claremonta od stóp do głów niczym kokon. Tylko ramiona pułkownika były odsłonięte. Deakin skinął na niego ręką i wskazał przed siebie.

- Dojeżdżamy do Przełęcz Złamanego Serca. Mamy jeszcze ze trzy kilometry. Ale pan przejdzie tylko półtora. Widzi pan ten zagajnik sosnowy po prawej? - zapytał. Claremont skinął głową. - Tam zostawili swoje konie. Na pewno pod strażą. - Ruchem głowy wskazał karabin

w rękach pułkownika, należący kiedyś do Rafferty'ego. - Niech im pan nie daje równych szans. Niech pan sobie wybije z głowy uczciwą walkę.

Claremont bez słowa pokiwał głową. Jego twarz była równie bezlitosna jak twarz Deakina.

Biała Ręka i jeden z jego wojowników przycupnęli za urwistą skałą na zboczu po prawej stronie wąwozu, obserwując leżący poniżej wschodni wjazd na przełęcz. Śnieg już ledwie prószył, dzięki czemu widzieli tor aż po odległy zakręt. Jak dotąd, nic nie zauważyli. Nagle wojownik dotknął ramienia wodza. Obaj przekrzywili głowy, wyęzając słuch. Rozpoznali dalekie jeszcze, lecz wyraźne sapanie lokomotywy. Biała Ręka spojrzał na swego towarzysza i szybko skinął głową.

Deakin wyciągnął zza pazuchy dwie laski dynamitu, które zwędził wcześniej z wagonu z prowiantem, ostrożnie schował jedną do skrzynki z narzędziami, a drugą zatrzymał. Wolną ręką zdławił przepustnicę. Pociąg zwolnił.

O'Brien obudził się raptownie, podskoczył do najbliższego okna, szybko przetarł zaparowaną szybę

i wyrzwał na zewnątrz. Odwrócił się do Pearce'a.

- Zbudź się, Nathan! Zbudź się, zwalniamy! Wiesz, gdzie jesteśmy? - Na Przełęczy Złamanego Serca.

Spojrzeni po sobie ze zdziwieniem. Fairchild drgnął, wyprostował się i podszedł do okna.

- A ten co znowu knuje? - zapytał z niepokojem.

Deakin rzeczywiście coś knuł. Gdy pociąg zwolnił tak, jakby lada chwila miał stanąć na dobre, zapalił lont dynamitu, precyzyjnie wyliczył czas i wyrzucił ładunek z prawej strony kabiny. Jednocześnie Claremont stanął przy schodkach po lewej. W jadalni Pearce, O'Brien, Fairchild i Henry odskoczyli mimowolnie od okna, zasłaniając się rękami, gdy tuż przed sobą ujrzeli nagle oślepiający błysk, któremu towarzyszył głuchy, donośny huk. Po chwili znów przycisnęli twarze do ocalałej szyby. Tymczasem Claremont wyskoczył z lewej strony kabiny i stoczył się z nasypu. Przez chwilę leżał bez ruchu, prawie niewidoczny pod białym prześcieradłem. Deakin przyspieszył.

Zdumienie czterech mężczyzn w jadalni nie dorównywało osłupieniu Białej Ręki i jego towarzysza.

- Być może nasi przyjaciele chcieli nas uprzedzić, że nadjeżdżają. Widzisz, już ruszyli.

- Tak. Ale widzę coś jeszcze! - Drugi Indianin zerwał się na nogi. - Wagony z żołnierzami! Żołnierze! Nie ma ich!

- Na ziemię, głupcze! - Tym razem stalowe nerwy zawiodły wodza Pajutów. Osłupiały, patrzył ze zdumieniem, jak na Przełęcz Złamanego Serca wjeżdża pociąg składający się tylko z trzech wagonów.

O'Brien był równie zdumiony.

- A skąd ja mam wiedzieć, co on knuje, do ciężkiej cholery?! - ryknął. - Przecież to wariat!

- A może jednak spróbuje się pan dowiedzieć? - rzekł Fairchild zgryźliwie.

Pearce podał mu swój rewolwer.

- Coś panu powiem, gubernatorze. Niech pan sam się dowie. Fairchild chwycił broń. Zachowywał się jakby postradał rozum. - Zgoda. Zaraz się dowiem.

Z bronią w ręku podszedł do drzwi z przodu wagonu, uchylił je lekko i wyrzwał bojaźliwie. Sekundę później zagrzmiał wystrzał z colta i kula utkwiała w ścianie wagonu ćwierć metra od jego głowy. Gubernator wycofał się czym prędzej, zatraskując za sobą drzwi. Najwyraźniej minęły mu heroiczne ciągoty. Wrócił roztrzęsiony do jadalni.

- I co, udało się panu czegoś dowiedzieć? - zainteresował się Pearce. Gubernator nie odpowiedział. Rzucił rewolwer na stół i sięgnął po butelkę.

W kabinie maszynisty Deakin zawołał: - Goście?

- Mój stryj! - odkrzyknęła Marika, z odrazą wpatrując się w dymiącego colta.

- Trafła go pani? - Nie.

- Szkoda.

Claremont, nadal spowity w białe prześcieradło, powoli wczołgał się na szczyt nasypu i ostrożnie spojrzął przed siebie. Pociąg, oddalony już o dobry kilometr, wpelzał na przełęcz. Pułkownik popatrzył na głązy w korycie wyschniętej rzeki, ale nic nie zobaczył, żadnego ruchu. Tego się zresztą spodziewał - Biała Ręka był doświadczonym wojownikiem i zdradzał swą obecność dopiero w ostatniej chwili. Przeniósł wzrok na zagajnik po drugiej stronie doliny. Jeżeli Deakin się nie mylił, to właśnie tam Indianie ukryli konie. Pułkownik od jakiegoś czasu nie wątpił już w trafność jego przypuszczeń. Dotarcie do sosen było trudne, ale wykonalne - niewielka odnoga koryta

rzeki dochodziła pod sam zagajnik i gdyby tylko udało mu się do niego przedostać, resztę drogi odbyłby pod osłoną. Jedyne ryzyko wiązało się z przejściem przez tor. Claremont był zbyt doświadczonym żołnierzem, żeby lekceważyć niebezpieczeństwo, ale uważał, że wszystko przemawia na jego korzyść. Zdawał sobie sprawę, że strażnicy przy koniach będą z żywym zainteresowaniem śledzić wypadki rozgrywające się po drugiej stronie doliny, ale - na zdrowy rozum - powinni obserwować pociąg i ukrytych Pajutów, ci zaś znajdowali się półtora kilometra na lewo od niego. W dodatku dopiero świtało, a śnieg nie przestał jeszcze całkiem prószyć. Claremont nie wahał się ani chwili, już choćby dlatego, że wiedział, iż nie ma wyboru. Opierając się tylko na łokciach i kolanach, jak widmo zaczął się czołgać przez tor.

Deakin zdławił nieco przepustnicę. Marika zerknęła na niego ze swego posterunku w tendrze.

- Zatrzymujemy się? - spytała.

- Zwalniamy. - Agent wskazał prawą stronę kabiny. - Proszę się tam położyć.

Z wahaniem opuściła tender.

- Myśli pan, że dojdzie do strzelaniny?

- Ba, kwieciami nas nie obsypią, to pewne.

Pociąg zwolnił do jakichś piętnastu, dwudziestu kilometrów na godzinę, ale najwyraźniej nie zamierzał stanąć. Ta oczywista prawda dotarła wreszcie do Białej Ręki. Zaskoczenie, a potem irytacja wodza szybko przeszły w gniew.

- Głupcy! - krzyknął. - Głupcy! Dlaczego się nie zatrzymują? Skoczył na równe nogi, wymachując rękami. Pociąg jechał dalej. Biała Ręka dał znak do skoku. Indianie wyskoczyli z ukrycia i potykając się na kamienistym, pokrytym śniegiem stoku, rzucili się pędem ku torom. Deakin przytomnie zwiększył trochę szybkość,

I znów O'Brien, Pearce, gubernator i Henry wyglądali przez okno. Tym razem ich niepokój był ze wszech miar usprawiedliwiony.

- Biała Ręka! - zawołał szeryf. - Biała Ręka i jego wojownicy! Na miłość boską, co to ma znaczyć?! - Wybiegł na tylny pomost. W chwili, gdy dołączyła do niego reszta kompanii, pociąg zaczął zwalniać.

- Moglibyśmy teraz wyskoczyć - odezwał się Fairchild. - Biała Ręka osłoniłby nas ogniem i...

- Idioto! - Możliwe, że Pearce darzył kiedyś szacunkiem gubernatora swojego stanu, ale teraz uczucie to zmalało do zera. - Deakin

Sam nas do tego zaprasza. Na piechotę do Fortu Humboldta jest jeszcze ładny kawałek drogi.

Pomachał ręką, wskazując lokomotywę. Biała Ręka dał znak, że zrozumiał, odwrócił się i krzyknął do swoich ludzi coś, czego mężczyźni na pomoście nie dosłyszeli. Indianie natychmiast wycelowali strzelby.

Deakin padł na podłogę, kiedy grad kul zasypał lokomotywę. Wykorzystując przerwę w strzelaniu, zaryzykował i wyrzwał na zewnątrz. Indianie, ładując w biegu strzelby, wyraźnie doganiali pociąg. Agent jeszcze bardziej zwiększył szybkość.

- O co mu chodzi, u diabła? - zastanawiał się coraz bardziej zaniepokojony O'Brien. - Gdyby tylko chciał, już dawno zostawiłby ich w...

Major i szeryf spojrzeli sobie w oczy.

Claremont dotarł bezpiecznie do zagajnika, a teraz ukradkiem przemykał się szybko między sosnami, zataczając łuk, by zejść Indian od tyłu. Był pewien, że strażnicy stoją na skraju lasu, obserwując rozgrywającą się po drugiej stronie doliny scenę. Jego nieprzejednana twarz dobitnie świadczyła, że bez skrupułów gotów jest strzelać im w plecy. Świadomość, że w jego rękach spoczywa teraz los tylu ludzi, nie mówiąc już o złocie, a do tego wspomnienie żołnierzy, których tak niedawno utracił, wybiły mu z głowy wszelkie pomysły o uczciwej walce.

Koni było wszystkiego z sześćdziesiąt sztuk. Nie były spętane ani przywiązane - indiańskie mustangi są równie dobrze ujeżdżone jak konie kawalerii Stanów Zjednoczonych. Claremont wybrał spośród nich trzy, które uznał za najlepsze - resztę zamierzał spłoszyć - i zbliżył się do nich powoli. Żaden koń nie zarżał ani nie parsknął. Niektóre spojrzały na niego obojętnie, inne w ogóle się nim nie zainteresowały -- przenikliwy ziąb im także dawał się we znaki i nic poza tym ich nie obchodziło. .

Strażnicy - było ich dwóch - stali na samym skraju lasu, tuż za ostatnimi końmi, i spoglądali po sobie z namysłem, wsłuchując się w chaotyczną strzelaninę po drugiej stronie doliny. Claremont podszedł do nich na siedem metrów i schował się za grubą sosną. Udało mu się to dzięki temu, że miękki śnieg i sporadyczne tupanie koni wytlumiały jego kroki, a Indianie byli bez reszty pochłonięci rozgrywającą się trzy kilometry dalej bitwą. Z tej odległości karabinu nie potrzebował. Oparł go więc cicho o pień i wyciągnął colta.

Na pomoście Pearce i O'Brien gorączkowo wymachiwali rękami, wskazując na sosnowy zagajnik i dając znaki, że Biała Ręka i jego wojownicy natychmiast powinni tam wrócić.

Wódz Pajutów zrozumiał w końcu, o co im chodzi, stanął i zatrzymał swoich ludzi. Odwrócił się i wskazał las.

- Do koni! - krzyknął. - Wracać do koni!

Skoczył w stronę zagajnika, ale dał tylko jednego susa. Zatrzymał się raptownie, gdy w mroźnym powietrzu rozbrzmiały wyraźnie dwa wystrzały z rewolweru. Z nieprzeniknioną twarzą poklepał po ramieniu dwóch najbliższych wojowników i bez pośpiechu ruszył truchtem do lasu. Jego zachowanie wyraźnie wskazywało, że już nie muszą się śpieszyć.

- Teraz wiemy, po co Deakin zwolnił i rzucił ten cholerny dynamit! - warknął rozwścieczony Pearce. - Chciał odwrócić naszą uwagę, żeby Claremont mógł wyskoczyć z drugiej strony! Niepokoją mnie tylko dwie sprawy, o których nic nie wiemy... skąd się tu wziął Biała Ręka i skąd, jak mi Bóg miły, Deakin wiedział, że on tu będzie?!

Indianie opuścili broń i zgromadzili się niepokieszeni trzysta metrów od pociągu. Deakin obejrzał się i zwolnił.

- Musimy go zatrzymać! - W głosie Fairchilda brzmiała histeria. - Musimy, musimy, musimy!!! Słuchajcie, wleczmy się teraz w spacerowym tempie. Możemy wyskoczyć, okrążyć go po dwóch z każdej strony i...

- I popatrzeć, jak dodając gazu nasz przyjaciel macha nam ręką na pożegnanie - dokończył za niego O'Brien.

- Jest pan pewny, że właśnie dlatego zwolnił? - A widzi pan inny powód?

Claremont, prowadząc za sobą dwa luzaki, skierował swego konia na szczyt wąskiej odnogi doliny. Pozostałe konie rozproszyły się i teraz galopowały spłoszone przed nim, stopniowo zwalniając biegu. Pułkownik ściągnął wodze. Pomimo drobnego śniegu, w odległości czterech kilometrów ujrzał po prawej stronie odgałęzienie następnej doliny. Widział wyraźnie sterczące słupy telegraficzne. Był to zachodni wylot Przełęczy Złamanego Serca.

Claremont skrzywił się z bólu i spojrzał na zabandażowaną dłoń. I ona, i wodze ociekały krwią. Podniósł wzrok i spał konia.

Pociąg przyspieszył, zostawiając Indian coraz bardziej w tyle. Biała Ręka z kamienną twarzą obserwował powrót dwóch zwiadowców, których wysłał do lasu. Jeden z nich bez słowa podniósł obie ręce. Biała Ręka skinął głową i odwrócił się. Wojownicy ruszyli za nim. W dwuszeregu szybko podążyli wzdłuż toru za znikającym pociągiem.

Na pomoście ostatniego wagonu Fairchild, O'Brien, Pearce i Henry markotnie obserwowali znikających za zakrętem Pajutów. Ich podły nastrój jeszcze bardziej się pogłębił, gdy usłyszeli dwa szybkie wystrzały z rewolweru.

- A to co znowu? - spytał zrozpaczony Fairchild.

- To Claremont, bez dwóch zdań - odparł szeryf z przekonaniem. - Pewnie dał sygnał Deakinowi, że rozpędził konie Pajutów na cztery wiatry. Oznacza to, że Białą Rękę i jego wojowników czeka długa wędrówka do Fortu Humboldta, a zanim tam dotrą, Deakin będzie już na nich czekał.

- Jest jeszcze Sepp Calhoun - wtrącił gubernator z nadzieją w głosie. - Moja babka prędzej by sobie poradziła z Deakinem niż Calhoun - stwierdził Pearce. - Poza tym on jest wiecznie zalany. - Jego twarz ściągnęła się w grymasie gniewu. - A nie mówiłem? Przyspieszył.

Pociąg faktycznie nabierał szybkości. Czterej mężczyźni spojrzeli po sobie z niepokojem.

- Pewnie stracił nadzieję, że wskoczymy - rzekł O'Brien, wychylił się przez poręcz i spojrzał w kierunku jazdy. Odskoczył gwałtownie, gdy rozległ się suchy trzask. Drżącą ręką zdjął kapelusz i spojrzał na postrzępioną dziurkę w rondzie.

- Jak widać, zachował nadzieję na co innego - zauważył sucho Pearce.

Deakin wyglądał przez okno lokomotywy na tor. Śnieg przestał padać. Do miejsca, gdzie zachodni wylot Przełęczy Złamanego Serca łączy się z doliną, mieli jeszcze dwieście metrów. Właśnie tam umówił się z Claremontem.

- Trzymaj się! - rzucił do Mariki, zamknął przepustnicę i przekręcił koło hamulcowe do oporu. Przy akompaniamencie szczęku i łoskotu zderzających się buforów, zablokowane koła napędowe zapiszczały na szynach. Czterej mężczyźni na tylnym pomoście spoglądali po sobie z coraz większym osłupieniem i lękiem. Agent podał dziewczynie rewolwer Banlona i wyjął drugą laskę dynamitu ze skrzynki z narzędziami.

Pociąg stanął w miejscu.

- Teraz! - powiedział Deakin. Dziewczyna zeskoczyła na pobocze, upadła i przeturlała się, krzycząc z bólu. Agent zwolnił hamulec, włączył bieg wsteczny i otworzył szeroko przepustnicę. Po

chwili dołączył do Mariki.

Minęło dobre parę sekund, zanim mężczyźni na pomoście uświadomili sobie, że jadą do tyłu, a nie do przodu. O'Brien pierwszy doszedł do siebie. Wychylił się i otworzył szeroko oczy, widząc Deakina, stojącego na poboczu z wycelowanym w niego rewolwerem. Ledwie zdążył odskoczyć do tyłu, padł strzał.

- Chryste Panie! - Słownictwo majora było cokolwiek osobliwe. - Wyskoczyli z pociągu!

- Więc nikt nie prowadzi?! - Fairchild był bliski hysterii. - Skaczcie, na miłość boską!

O'Brien powstrzymał go stanowczym gestem. - Nie!

- Bój się Boga, człowieku, pamiętasz, co się stało z żołnierzami w tamtych wagonach?

- Ten pociąg jest nam potrzebny. - Major skierował się do lokomotywy. - Robiłeś kiedy za maszynistę, Nathan?

Pearce zaprzeczył ruchem głowy.

- Ja też nie. Ale spróbuję. - Wskazał kciukiem za siebie. - Zajmij się Deakinem.

Pearce skinął głową i zeskoczył na ziemię. Pociąg rozpędził się tymczasem do całkiem przyzwoitej szybkości i szeryf koziołkując sturlał się ze stromego nasypu. Na jego szczęście głęboki śnieg zamortyzował upadek, tak że wylądował wprawdzie bez tchu, za to zdrowy i cały. Natychmiast zerwał się na nogi i rozejrzał.

Pociąg, wciąż przyspieszając, oddalił się już o jakieś pięćdziesiąt metrów. Pearce spojrział w przeciwną stronę i zobaczył głowę i ramiona Deakina, który podtrzymywał słaniającą się na nogach Marikę.

- Tego tylko brakowało - rzekł agent. - Co panią boli? - Kostka. I nadgarstek.

- Da paru radę stanąć o własnych siłach? - Nie wiem. Chyba nie.

- To niech pani siada. - Bezceremonialnie posadził ją obok torów. Obrzuciła go staromodnym spojrzeniem, lecz jego uwagę zaprzętało już co innego. Zobaczył, że pociąg oddalił się o dobre pół kilometra, ale nie *mógł* zauważyć O'Briena, który przekradł się tymczasem do zabarykadowanego tendra. W obliczu nieznanych przyrządów w kabinie maszynisty major przystanął niezdecydowany.

Agent nachylił się i wsunął laskę dynamitu pod szynę koło podkładu. Obłożył ją ziemią

i kamieniami tak, że wystawał tylko lont.

- Chce pan wysadzić tor? - spytała Marika ozięble. - Właśnie.

- Ale nie dzisiaj - rozległ się głos Pearce'a. Szeryf zbliżył się do rni z coltem w garści, zerkając na dziewczynę, która prawą ręką ścisnęła lewy nadgarstek. - Może to cię nauczy, jak wyskakiwać z pociągu. - Odwrócił się od niej i spojrzał na Deakina. - Rewolwer. Ten, który masz pod kożuchem. Tylko wyjmuj go za lufę., przyjacielu. Deakin sięgnął za pazuchę i powoli wyciągnął broń.

- Ja też mam rewolwer, szeryfie - odezwała się Marika. - Niech się pan odwróci z rękami do góry.

Pearce odwrócił się powoli, wytrzeszczając oczy na colta w ręku dziewczyny.

Deakin ścisnął lufę swego rewolweru. Przeczuwając, co go czeka, Pearce uskoczył na bok, ale choć cios stracił przez to na sile, wystarczył, by zwalić go z nóg. Colt wypadł z bezwładnej dłoni. Szeryf dał nura, próbując odzyskać broń, lecz agent był szybszy. Skoczył na Pearce'a i zamachnął się nogą.

Na odgłos potężnego ciosu przerażona Marika skrzywiła się z odrazą i wyszeptała:

- Uderzył go pan od tyłu, kiedy stał z podniesionymi rękami, a potem... potem...

- A potem przykopałem mu w głowę. Następnym razem, jak będzie pani celować w kogoś takiego jak Pearce, niech pani najpierw odbezpieczy broń.

Spojrzała na niego, na swój rewolwer i powoli potrząsnęła głową. Wreszcie podniosła wzrok.

- Mógłby pan przynajmniej podziękować.

- Co? A tak, jasne. Dziękuję. - Rzucił okiem na tor. Pociąg już zniknął w oddali, kołysząc się gwałtownie na szynach. Spojrzał w przeciwną stronę. Zza wzgórza wypadł galopem Claremont, prowadząc na postronku dwa luzaki. Na znak Deakina ściągnął wodze i zatrzymał się. Agent przeciągnął Pearce'a wzdłuż torów, bezceremonialnie rzucił go na ziemię i wrócił do Mariki. Zapalił lont dynamitu, podniósł dziewczynę i szybko podbiegł z nią do koni. Podsadził ją na siodło, sam dosiadł drugiego luzaka i wszyscy troje ruszyli w drogę. Ujechawszy parę metrów, jak na komendę ściągnęli wodze i obejrzel się.

Wybuch był dziwnie cichy. Wyrzucił w powietrze ziemię i kamienie, a kiedy opadły i rozwiął się dym, ujrzeli zniszczony podkład i wygiętą szynę po lewej stronie toru.

- Wie pan, że to się da naprawić? - odezwał się Claremont niepewnie. - Odkręcą uszkodzony fragment toru, a na jego miejsce wstawią szynę zza pociągu.

- Wiem. Gdybym podłożył duży ładunek i zniszczył tor bezpowrotnie, z braku wyboru musieliby iść do fortu pieszo.

- No to co?

- To, że dotarliby tam cali i zdrowi. Marika spojrzała na niego ze zgrozą.

- Dla nas oznaczałoby to pewną śmierć - wyjaśnił. Nie zmieniło to nastawienia dziewczyny.

- Nie rozumie pani, że nie ma wyboru? - powiedział łagodnie. Marika wzdrygnęła się i odwróciła. Deakin spojrzał na nią beznamiętnie i popędził konia. Po chwili pułkownik i dziewczyna ruszyli za nim.

Rozdział dziesiąty

O'Brien z ulgą oparł się o ścianę kabiny, ocierając pot z czoła. Pociąg nadal jechał do tyłu, ale już coraz wolniej. Major wychylił się na zewnątrz i spojrzął w bok. Pół kilometra dalej w kierunku jazdy zobaczył Białą Rękę i jego wojowników. Wódz Pajutów stracił kamienny spokój. Na jego twarzy odmalowało się pełne niedowierzania zdziwienie, a potem radość. Pomachał do majora, skinął ręką na swoich ludzi i puścił się biegiem. Dwie minuty później w pociągu zaroilo się od Indian. Biała Ręka wszedł do kabiny maszynisty, gdzie powitał go O'Brien. Major natychmiast otworzył przepustnicę i pociąg ruszył z miejsca, tym razem do przodu.

- Spłoszyli wam wszystkie konie?

- Wszystkie. A dwóm moim ludziom strzelili w plecy. Zaoszczędził nam pan długiej drogi, majorze O'Brien. A dlaczego nie widzę mojego przyjaciela, szeryfa Pearce'a?

- Wkrótce go zobaczysz. Wsiadł, żeby załatwić pilną sprawę. O'Brien spojrzął przez okno na coraz bliższy zachodni wylot Przełęczu Złamanego Serca. Nagle wychylił się z kabiny. Wzrok go nie mylił - na torze leżał jakiś człowiek, a był nim nie kto inny, tylko Pearce. Major zaklął i skoczył do przepustnicy i hamulca.

Pociąg zatrzymał się z szarpnięciem. O'Brien i Biała Ręka wyskoczyli z kabiny, podbiegli do leżącego i zatrzymali się, spoglądając ponuro na skurczonego, zalanego krwią i wciąż nieprzytomnego szeryfa. Obaj jednocześnie podnieśli wzrok. Trzydzieści metrów przed sobą ujrzeli głęboką wyrwę pod torem, zniszczony podkład i wygiętą szynę.

- Deakin umrze za to - powiedział cicho Indianin. O'Brien spojrzął na niego przeciągle.

- Nie, jeżeli zobaczy cię wcześniej niż ty jego, wodzu - rzekł ponuro.

- Biała Ręka nie boi się nikogo.

- A więc czas, żebyś zaczął się bać Deakina. To agent rządu federalnego. Jest przebiegły jak wąż i zły duch mu sprzyja, jak byś ty powiedział. Szeryf Pearce może się uważać za szczęśliwca, że Deakin darował mu życie. Chodźmy, trzeba naprawić tor.

Naprawa zajęła Pajutom raptem dwadzieścia minut. Pracowali pod nadzorem O'Briena, w dwóch grupach - jedna usuwała uszkodzoną szynę, a druga odkręcała inną za pociągiem. Zniszczony fragment toru zrzucili z nasypu, a na jego miejsce wmontowali nowy. Układanie podkładów i wyrównywanie szyn nie jest zajęciem dla amatorów, ostatecznie jednak O'Brien uznał, że mimo całej prowizorki i bylejactwa, tor powinien wytrzymać. W tym czasie pojękujący szeryf, którego oparto o zderzak lokomotywy, powoli odzyskiwał przytomność. Henry podtrzymywał go troskliwie, bez przerwy

ocierając mu z krwi rozcięty policzek i efektownie posiniaczoną skroń.

- Jedziemy - zarządził O'Brien. Indianie, Pearce i Henry wsiedli do wagonów i tylko Biała Ręka dotrzymał towarzystwa majorowi. O'Brien zwolnił hamulec, minimalnie otworzył przepustnicę i z niepokojem stanął przy bocznym okienku. Szyny przechyliły się, na szczęście niegroźnie, gdy koła lokomotywy wjechały na nowo ułożony fragment toru. Major odsunął się od okna i otworzył przepustnicę do samego końca.

Deakin, Claremont i Marika zatrzymali się. Nie zsiadając z konia, agent szybko zaczął zmieniać opatrunek na krwawiącej dłoni pułkownika.

- Człowieku, liczy się każda minuta! - ponaglił go Claremont. - Tracimy tylko czas.

- Stracimy nie tylko czas, jeżeli nie zatamujemy tego krwotoku. - Deakin zerknął na dziewczynę, która ze ściągniętą z bólu twarzą i zaciśniętymi ustami trzymała się za lewy nadgarstek. - Jak z panią?
- W porządku.

Przyjrzał jej się szybko, obojętnie i zajął się ręką pułkownika. Zaledwie ruszyli w dalszą drogę, znów spojrzął na dziewczynę. Osunęła się w siodle i zwiesiła głowę.

- To nadgarstek tak panią boli? - zapytał.

- Nie, noga w kostce. Nie mogę wsunąć stopy w strzemień.

Deakin podjechał do niej z drugiej strony. Jej lewa noga zwisała bezwładnie obok strzemienia. Spojrzął przez ramię za siebie. Śnieg nie padał, pierzchające chmury odsłaniały wyblakły błękit nieba. Nad grzbietem góry ukazało się słońce. Agent znów spojrzął na Marikę - mając skreconą nogę i zwichnięty nadgarstek nie mogła utrzymać się w siodle. Podjechał bliżej, podniósł ją i posadził na koniu przed sobą. Wolną ręką ujął wodze jej mustanga i puścił się galopem. Claremont, który wyglądał nie lepiej niż dziewczyna, pocwałował za nimi. Jechali obok toru. Teren był płaski, stosunkowo mało zaśnieżony, więc pędzili do fortu w całkiem niezłym tempie.

Sepp Calhoun jak zwykle urzędował za biurkiem komendanta, z nogami na blacie, i swoim zwyczajem raczył się pułkownikowską whisky i cygarami. Oprócz niego w pokoju był tylko pułkownik Fairchild, który siedział na zwykłym drewnianym krześle, z rękami związanymi na plecach. Nagle otworzyły się drzwi i wszedł przyszczaty drab o spalonej słońcem twarzy.

- Wszystko w porządku, Carmody? - spytał Calhoun jowialnie.

- Jeszcze jak. Telegrafisci zamknięci razem z resztą, Benson pilnuje bramy, a Harris szykuje zarcie.

- Dobra. Akurat zdążymy wrzucić coś na ząb, zanim przyjadą nasi. Będą za niecałą godzinę. - Uśmiechnął się drwiąco do Fairchilda. - Bitwa na Przełęczy Złamanego Serca należy już do historii, pułkowniku. - Jeszcze bardziej wyszczerzył zęby. - „Masakra”, tak to chyba trzeba nazwać.

W wagonie z powianem poturbowany Pearce, choć już w znacznie lepszej formie, rozdawał karabiny i amunicję Pajutom, którzy tłoczyli się wokół niego. Ich tradycyjna indiańska rezerwa ulotniła się bez śladu. Z błyszczącymi oczami przekomarzali się i śmiali jak dzieci, uradowane nowymi zabawkami. Szeryf wyskoczył z wagonu i wgramolił się do tendra, dźwigając pod pachą trzy winchestery. Przeszedł do kabiny maszynisty i podał jeden karabin Indianinowi.

- Prezent dla ciebie, Biała Ręko. Wódz uśmiechnął się.

- Na twoim słowie można polegać, szeryfie Pearce.

Pearce próbował się uśmiechnąć, lecz przenikliwy ból szybko wybił mu to z głowy.

- Jeszcze dwadzieścia minut. Dwadzieścia minut i będzie po wszystkim.

Deakin miał nad nimi piętnaście minut przewagi. Ściągnął wodze i spojrzał przed siebie. Nieco ponad pół kilometra dalej zobaczył most kolejowy, a tuż za nim Fort Humboldta. Przesadził Marikę

na jej konia i dał znak, że oboje z Claremontem mają jechać przodem. Sam pokłusował za nimi z rewolwerem w rękę. W promieniach słońca trzech jeźdźcy ostrożnie przebyli most i zajechali galopem pod bramę. Benson - kawał draba o tępej, zwierzęcej twarzy - wyszedł na spotkanie z odbezpieczonym karabinem...

- Coście za jedni? - warknął przepitym głosem. - Macie tu do kogo interes?

- Nie do ciebie - odparł Deakin zimnym, rozkazującym tonem. - Prowadź do Seppa Calhouna. Byle szybko!

- Kogoś tu przywiózł?

- Ślepy jesteś? Więźniów. Z pociągu.

- Z pociągu... - Benson niepewnie pokiwał głową. Widać było, że myślenie nie jest jego najmocniejszą stroną. - To chodźcie. Poprowadził ich przez dziedziniec. Gdy dochodzili do gabinetu komendanta, drzwi otworzyły się i stanął w nich Calhoun. W obu rękach ścisnął rewolwery.

- Kogoś tu sprowadził, psiamać?! - warknął na Bensaona. - On mówi, że są z pociągu, szefie.

Nie zwracając uwagi na obu bandytów, Deakin skinął coltem na Claremonta i Marikę.

- Złaźcie! - rozkazał i zwrócił się do Calhouna: - Ty jesteś Calhoun? Pogadajmy w środku.

Szef bandy wycelował w niego rewolwery. - Ho, ho. Nie tak prędko. Coś ty za jeden?

- John Deakin - odparł agent z irytacją. - Przysłał mnie Nathan Pearce.

- To ty tak twierdzisz.

- Oni tak twierdzą. - Ruchem głowy Deakin wskazał oficera i dziewczynę. - To mój paszport. Zakładnicy, glejt na drogę, jak to zwał, tak to zwał. Nathan poradził, żebym wziął ich ze sobą na potwierdzenie moich słów.

- Widziałem już paszporty w lepszym stanie - orzekł nieco udobruchany Calhoun.

- Próbowali mnie wykiwać. Przedstawiam pułkownika Claremonta ,dowódcę zmiany garnizonu. A to jest panna Marika Fairchild, córka obecnego komendanta.

Calhoun wybałuszył oczy, rozdziawił usta i opuścił broń, lecz oprzytomniał natychmiast.

- Zaraz się przekonamy. Wchodźcie!

Razem z Bensonem wprowadził całą trójkę do środka, trzymając ich na muszce. Kiedy stanęli w drzwiach, pułkownik Fairchild wytrzeszczył oczy i powstał chwiejnie.

- Marika! Marika! I pułkownik Claremont!

Dziewczyna kuśtykając podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. - Najdroższa ty moja! Co oni ci zrobili? I skąd się tu wzięliście, na miłość boską?!

- Zadowolony? - Deakin zwrócił się do Calhouna.

- Dobra nasza, ale John Deakin... nie słyszałem o takim.

Agent schował rewolwer za pazuchę. Ten pokojowy gest wyraźnie uspokoił niezdecydowanego bandytę.

- A jak myślisz, kto ukradł te czterysta karabinów z zakładów Winchestera? - Deakin panował już nad sytuacją i wykorzystywał to bez skrupułów. - Na miłość boską, człowieku, nie traćmy czasu. Sprawy stoją kiepsko, bardzo kiepsko. Ten twój Biała Ręka wszystko spartolił. Nie żyje. Tak samo jak O'Brien. Pearce jest ciężko ranny. Żołnierze opanowali pociąg i jak tylko naprawią...

- Biała Ręka, O'Brien i Pearce...

Deakin skinął głową, wskazując Bensa. - Każ mu zaczekać na zewnątrz.

- Na zewnątrz?

- Za drzwiami. Mam jeszcze gorsze wieści, ale tylko do twojej wiadomości.

Calhoun odruchowo skinął głową na Bensona, który wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Czy może być coś gorszego od...

- I owszem. To. - Deakin z powrotem trzymał colta w ręku. Brutalnie wepchnął bandycie lufę rewolweru między zęby, odebrał mu oba colty i podał jeden Claremontowi, który natychmiast wziął Calhouna na cel. Agent wyciągnął nóż i przeciął więzy komendantowi fortu. Fairchild był nie mniej zdumiony niż Calhoun. Deakin położył na stole obok niego drugi rewolwer.

- Dla pana - powiedział. - jak pan odzyska władzę w rękach. Ilu ludzi ma Calhoun? Oprócz Bensona?

- Kim pan jest? Jak...

Agent chwycił Fairchilda za klapy.

- Ilu ludzi? - powtórzył z naciskiem.

- Dwóch. Nazywają się Carmody i Harris.

Deakin okręcił się na pięcie i wbił colta w nerki bandyty. Calhoun jęknął z bólu. Agent dźgnął go jeszcze raz.

- Masz na rękach krew wielu ludzi, Calhoun - powiedział z uśmiechem. - Tylko czekam na pretekst, żeby cię zastrzelić, możesz mi uwierzyć.

Calhoun, jeśli sądzić po jego minie, wierzył mu bez zastrzeżeń.

- Powiedz Bensonowi, że ma tu zaraz przyjść z Carmodym i Harrisem. Deakin szturchnął bandytę, zawlókł go do drzwi i uchylił je lekko. Benson przechadzał się po dziedzińcu tam i z powrotem.

- Sprowadź tu Carmody'ego i Harrisa! - warknął ochryple Calhoun. - Sam też przyjdź. Jazda!

- Co jest grane, szefie? Wyglądasz... wyglądasz jak śmierć. - Ruszaj się, psia twoja mać!

Benson zawahał się, ale pobiegł przez plac. Deakin zamknął drzwi. - Odwróć się! - polecił.

Calhoun usłuchał. Agent uderzył go lufą rewolweru i złapał, zanim upadł na podłogę. Marika obserwowała go z odrazą.

- Niech mi pani oszczędzi kazania - rzekł Deakin zimnym, obojętnym tonem. - Jeszcze chwila, a zacząłbym kęsać jak osaczony szczur. - Odwrócił się do Fairchilda. - Ilu ludzi wam zostało?

- Straciliśmy tylko dziesięciu... a drogo sprzedali swoją skórę. - Komendant wciąż masował

zdrętwiałe ręce. - Innych zaskoczyli we śnie. Calhoun i jego kompani obezwładnili wartowników i wpuścili Pajutów. I pomyśleć, że przyjęliśmy tych zdrajców na nocleg! Ale moi ludzie są teraz w opuszczonej kopalni, trzy kilometry stąd. Pilnują ich Indianie.

- Nie szkodzi, nie będą mi potrzebni. Nawet ich tu nie chcę. Otwarta walka to ostatnia rzecz, na jakiej mi zależy. Jak pan się czuje?

- Dużo lepiej, panie Deakin. Co mam robić?

- Na mój sygnał pójdzie pan do magazynu broni i przyniesie worek dynamitu i lonty. Będzie się pan musiał pośpieszyć. Gdzie jest areszt? - Tam na rogu - odparł Fairchild pokazując palcem.

- Klucz?

Komendant zdjął klucz z deski na ścianie za biurkiem i podał agentowi. Ten schował go, podziękował skinieniem głowy i stanął przy oknie.

Już po kilku sekundach ujrzał, jak Benson, Carmody i Harris pędzą na złamanie karku przez dziedziniec. Skinął głową na Claremonta i przy jego pomocy uniósł leżącego Calhouna mniej więcej do pionu. Kiedy trzech bandyci dobiegli do gabinetu komendanta, drzwi otworzyły się nagle i po schodkach sturlał się na nich nieprzytomny Calhoun. Zaskoczenie było całkowite. Uwięzieni w płataninie ciał Benson, Carmody i Harris nie stawiali oporu, gdy Deakin z rewolwerem w garści ukazał

się w drzwiach. Tuż za nim wyskoczył Fairchild i pobiegł przez plac do magazynu broni. Wkrótce i Deakin ruszył w tę sarną stronę, jedną ręką prowadząc swojego konia, a drugą, w której trzymał colta, popędzając trzech bandytów. Nieśli oni bezwładnego Calhouna. Kiedy zamykał ich w areszcie, w sąsiednich drzwiach pojawił się Fairchild z ciężkim workiem. Agent dosiadł konia, wziął worek, przerzucił go przez łęk i odjechał galopem. Za bramą skręcił w lewo. W drzwiach gabinetu komendanta stanęła Marika, podtrzymywana przez sianiającego się na nogach Claremonta. Jak się to mówi, wiódł ślepy kulawego. Razem z Fairchildem pośpieszyli do bramy.

Deakin wprowadził konia do niszy skalnej, powstałej przy budowie drogi, zeskoczył z siodła, przerzucił worek przez ramię i wszedł na most.

Pearce wychylił się przez okno po lewej stronie kabiny maszynisty i spojrzał przed siebie. Jego pokiereszowaną twarz wykrzywił szeroki uśmiech.

- Jesteśmy! - krzyknął triumfalnie. - jesteśmy prawie na miejscu! Biała Ręka stanął obok niego. Nieco ponad kilometr przed nimi znajdował się most. Indianin uśmiechnął się i czule pogładził kolbę winchestera.

Tymczasem Deakin umieścił po obu stronach mostu dwa wielkie ładunki wybuchowe w ułamach między filarem a przyporą. Zużył tylko połowę zawartości worka, ale ocenił, że tyle wystarczy.

Wspiął się na drewnianą przyporę, rzucił na wpół pusty worek na tor i ostrożnie wyjrzał za krawędź mostu. Pociąg zbliżył się już na dwieście metrów. Zarzucił więc worek na ramię i puścił się biegiem.

Pearce i Biała Ręka, wychyleni po obu stronach lokomotywy, spostrzegli go w chwili, gdy zbiegał już z mostu. Wymienili spojrzenia i jednocześnie podnieśli winchestery do oka. Niektóre kule utkwily w ziemi, inne odbiły się od skał wokół uciekającego Deakina, ale żadna nie sięgnęła celu - agent przez cały czas kluczył i uskakiwał, a rozkołysana lokomotywa nie ułatwiała strzelającym zadania. Kilka sekund później Deakin schronił się w skalnej niszy.

- Most! - wrzasnął Pearce. - Ten drań chce wysadzić most! O'Brien, z twarzą wykrzywioną wściekłością i strachem, zdławił przepustnicę i zakręcił hamulec. Pociąg zwolnił... ale był już na moście.

Fairchild, Marika i Claremont przystanęli i z odległości dwustu metrów obserwowali rozwój wypadków. Zdawało im się, że pociąg przejechał przez most, w każdym razie lokomotywa i tender z pewnością już go minęły. O'Brien, miotając pod nosem niezrozumiałe przekleństwa,

uświadomił sobie, że popełnił błąd, kto wie, czy nie ostatni w życiu. Zwolnił więc hamulec i otworzył przepustnicę do samego końca. Za późno! Niemal jednocześnie wystrzeliły w niebo dwa słupy ognia, rozległy się dwa grzmoty, które zlały się w jeden pomruk, i most przestał istnieć. Trzy wagony natychmiast zniknęły w przepaści, pociągając za sobą tender i lokomotywę. Tender właśnie ginął z widoku, a lokomotywa szybko szła w jego ślady, gdy z kabiny wyskoczyło trzech ludzi z winchesterami. Wylądowali twardo na litej skale. Nieubłagana siła przeciągnęła lokomotywę przez krawędź wąwozu i z przeraźliwym zgrzytem rozdzieranego metalu i trzaskiem pękającego drewna, cały pociąg runął w przepaść.

Pearce, O'Brien i Biała Ręka szybko pozbierali się po upadku. Widząc trzy wycelowane w siebie karabiny, Deakin zastygł w bezruchu jak sparaliżowany, lecz zanim padł choćby jeden strzał - dał susa do niszy. Ostatnie przeżycia stępiły refleks szeryfa i spółki.

Fairchild, Claremont i Marika rzucili się na ziemię, widząc trzech mężczyzn zmierzających ku nim z odbezpieczonymi winchesterami. Deakin sięgnął za pazuchę i powoli wyciągnął rękę... pustą.
Widocz

nie zgubił rewolwer na moście. Tamci byli już o piętnaście metrów od niego. Okrążając skałę, podchodzili do wylotu niszy. Zorientowali się, że Deakin nie ma broni. Nie widzieli jednak, że w prawej ręce trzyma laskę dynamitu z zapalonym lontem. Agent ryzykownie wyczekał do ostatniej chwili i cisnął dynamit ponad załomem skały.

Ładunek wybuchł im nad głowami, oślepiając ich na chwilę, Deakin wybiegł zza skały. Pomimo unoszącego się w powietrzu dymu i pyłu dostrzegł, że Indianin upuścił karabin i przyciska obie ręce do oczu. Dwie sekundy później Deakin trzymał jego winchestera i celował w lekko zamroczonego

szeryfa i majora.

- Nie radzę - powiedział. - Nie zmuszajcie mnie, żebym przeszedł do historii. Nie zmuszajcie mnie, żebym się zapisał w historii jako ten, który po raz pierwszy zastrzelił człowieka z winchestera.

Pearce pierwszy doszedł do siebie. Uskoczył na bok, podnosząc swój karabin. Winchester Deakina zagrział.

- Na dziś już starczy tworzenia historii - powiedział Deakin. O'Brien skinął głową i rzucił broń. Prawie nic nie widział przez załzawione oczy.

Podeszli do nich Fairchild, Marika i Claremont, który pewnie trzymał rewolwer w przestrzelonej dłoni. Deakin, komendant i dziewczyna stanęli na skraju zniszczonego mostu i spojrzeli w dół. Daleko, w głębi kanionu, leżały zgruchotane szczątki pociągu - zmiażdżone wagony,

a na ruch lokomotywa. Nie dostrzegli ani śladu życia, nawet najmniejszego ruchu.

- Oko za oko - stwierdził Deakin i westchnął ciężko. - No cóż, chyba mamy wszystkich najważniejszych... O'Briena, Calhouna i Białą Rękę.

- Wszystkich z wyjątkiem jednego - sprecyzował ponuro Fairchild. Agent przyjrzał mu się ciekawie.

- Wiedział pan o swoim bracie?

- Podejrzewałem go... ale nie byłem pewny. Czy... czy to on był ich szefem?

- Nie, O'Brien. Wykorzystał chciwość i słaby charakter pańskiego brata.

- I oto wszystkie jego ambicje i chciwość skończyły na dnie kanionu. - Tak jest lepiej... dla niego, dla pana, dla pańskiej córki.

- A co teraz?

- Jeden oddział pańskich żołnierzy sprowadzi konie, które zostały w wagonach po drodze. Drugi naprawi linię telegraficzną. Potem zadeszujemy, żeby przysłali nam wojsko i inżynierów, którzy odbudują most.

- A pan wraca do Reese City? - zapytała Marika.

- Wrócę, jak po nowym moście przejedzie pociąg, którym wywieziemy stąd to srebro i złoto. Nie spuszcze oka z tego transportu, dopóki nie znajdzie się w Waszyngtonie. Dopiero tam.

- Ale odbudowa mostu potrwa wiele tygodni - rzekł Fairchild. - Bardzo możliwe.

Marika uśmiechnęła się.

- Wygląda na to, że czeka nas długa i ciężka zima. Deakin odwzajemnił uśmiech.

- Czy ja wiem? - mruknął. - Śmiem twierdzić, że zejdzie nam szybko i przyjemnie.